



Przejazd łodzi przewoźników indyjskich na rzece w Argentynie.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI:

Bardzo dużą rolę w kosmetyce odgrywa puder. Wybór pudru jest tem trudniejszy, że bardzo wiele pudrów zawiera metale, które działają ujemnie na cerę. Poza tem prawie wszystkie pudry zagraniczne są tłuste, i choć przyjemne w użyciu zatykają pory w skórze, przez co utrudniają transpirację, sprzyjając tworzeniu się tak zwanej tłustej cery, wągrów, pryszczycy i t. p. Pudry które zawierają metale (bismut, ołów i t. d.) po kilku latach użycia nadają cerze szaro-żółte zabarwienie. Dlatego przy wyborze pudru trzeba być bardzo ostrożną. Ponieważ zagraniczne fabryki nie podają składu swych pudrów, przeto polecam puder, który wypróbowałam od lat 30, i którego zbawienne działanie na cerę mogłam stwierdzić niejednokrotnie. Jest to *puder Abarid*, który nie zawiera żadnych metali; a składa się z części roślinnych, zawiera między innymi sproszkowane części lilji białej (*Lilja Candida*), które już w zmierzchłej przeszłości były używane przez ówczesne elegatki, które dbały o zachowanie świeżej idealnej cery.

M-me ERCEDES

Środki tu wymienione nabywać można we wszystkich pierwszorzędnych drogerjach i perfumerjach.
Skład główny: *Warszawa, Perfumerja Perfection, Szpitalna 10.*

WYDAWNICTWO
KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA

ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK
NAOKOŁO ŚWIATA

POD NACZELNĄ REDAKCJĄ FERDYNANDA GOETLA

Jest pismem pierwszorzędnie i bogato ilustrowanem, na którego treść składają się opisy podróży, literatura egzotyczna, artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy, obszerny dział beletrystyczny, przegląd humoru, rozrywki umysłowe i t. d.

MIESIĘCZNY NAKŁAD NAOKOŁO ŚWIATA PRZEWYŻSZA
25,000 EGZEMPLARZY

co umożliwia dostarczanie czytelnikom pierwszorzędnego i ciekawego materiału w wytwornej i pięknej formie.

KAŻDY NUMER NAOKOŁO ŚWIATA ZAWIERA NA 200 PRZESZŁO SZPALTACH OKOŁO 8,500 WIERSZY DRUKU I 100 ILUSTRACYJ

Każdy numer stanowi zamkniętą w sobie całość.

ILUSTRATORAMI „Naokoło Świata” są następujący artyści:

M. BEREZOWSKA, K. GRUS, JAN HOLEWIŃSKI, K. MACKIEWICZ, B. NOWAKOWSKI, PROF. SIESTRZENCEWICZ, F. SIEDLECKI, PROF. WŁAD. SKOCHYLAS, K. SOPOČKO, J. TOM, M. WALENTYNOWICZ, J. WOŁYŃSKI I INNI.

STAŁĄ OBSŁUGĘ FOTOGRAFICZNĄ STANOWIĄ:

ST. BRZozowski, CHUSSEAU-FLAVIENS, J. GRAUDENZ, J. MALARSKI,
Z. MARCINKOWSKI i J. RYŚ.

Adres Redakcji i Administracji miesięcznika „NAOKOŁO ŚWIATA”
Warszawa, Zgoda 12. Telefon 122-14. (Telefon ekspedycji 104-32)

FILJE REDAKCJI:

*w Paryżu, Gebethner & Wolff 123, Boulevard St. Germain, 123
w Londynie, W. C. I. The Penn Club 9 Tavistock Square*

Cena numeru w kolorowej trójbarwnej okładce 2 zł. 50 gr.

PRENUMERATA kwartalna (za trzy numery z przes. poczt. w polec. opasce) 6 zł. 50 gr.

Cena okładki płóciennej na tom czterzeszytowy 2 zł. 50 gr.

Redakcja przyjmuje interesantów codziennie (prócz niedziel i świąt) od godziny 1 do 3-iej.

NAKOŁO SWIATA





Generał Miniewicz, dowódca K. O. P. i szef sztalu płk. Ułrch na wieży strażniczej



Strażnice polskie na Kresach

Napisał

St. Dzikowski

Kiedy dowódca korpusu Ochrony Pogranicza, generał Minkiewicz objeżdżał strażnicę na Wileńszczyźnie, przyjmowano go pewnego dnia wraz z całą świtą w zrujnowanym dworku kresowym, położonym zaledwie o sześć kilometrów od granicy. Dziwnego doznawało się wrażenia, patrząc na to zebranie, na mundury i twarze oficerów polskich w domostwie, które wciąż jeszcze przemawia jakby świeżymi śladami okrutnych przejść wojennych.

I oto, w czasie obiadu, kiedy nikt nie miał ochoty wygłaszania mów oficjalnych albo okolicznościowych toastów, rozmawiano swobodnie i bez przymusu. Korzystając ze sposobności, zagabnęliśmy gości o różne sprawy aktualne i skoro wywiązała się na ten temat ożywna rozmowa, szef sztabu, podpułkownik Ulrych z właściwym mu młodzieńczym temperamentem zawołał:

— Proszę panów, mieliśmy na pograniczu bataliony celne i te się skończyły, mieliśmy

policję i ta się również skończyła, teraz mamy K. O. P., ale Kop się skończyć nie może, bo to byłby wogóle koniec wszystkiego.

Jest to istotnie zasada bardzo ważna.

Kop nie jest instytucją przejściową, może podlegać najrozmaitszym zmianom i udoskonaleniom, ale już dzisiaj zachowuje się tak, jak gospodarz, który urządza się tutaj na stałe. Poczucie tej właśnie stałości daje się spoznać na każdym kroku—na wszystkich dalszych i bliższych posterunkach granicznych. Przyczynia się do tego w niemałym stopniu ściśle określenie warunków służby. Atmosfera niepewności i niezadowolenia, która panowała wszechwładnie pomiędzy funkcjonariuszami policji granicznej, uważającymi się za zesłańców na polską Syberję, znikła na szczęście. Zarówno żołnierz, jak i oficer Kopu zdają sobie dobrze sprawę z tego, co ich czeka za rok, za dwa lata, i t. d.

Przetasowywanie oddziałów odbywa się



Strażnica w Porzeczu (pow. Dziśnieński)

w ściśle określonych terminach, bez żadnych wyjątków. Szeregowiec odsluguje tutaj połowę swojej służby, oficerowie zaś wracają po trzech latach do swojego macierzystego pułku, aby uzupełnić wykształcenie zawodowe i zapoznać się ze wszystkimi postępami nowoczesnej wiedzy wojskowej.

Rozmawiając niejednokrotnie z szeregowcami Kopu, przekonałem się z wielką radością, że żołnierz naogół jest zadowolony. Żywią go doskonale, jest przeważnie skoszarowany, służba wprawdzie niebezpieczna, ale nie tak ciężka, jakby się wydawało, a przede wszystkim mniej ćwiczeń, niż w garnizonie. Dużo wrażeń nowych i interesujących!

Kiedy się zwiedza te osiedla żołnierskie, położone nieraz wśród olbrzymich lasów lub nieprzebranych bagien, odrazu ogarnia nas miła atmosfera. Słychać śmiechy wesołe, naszczekiwanie psów (na każdej strażnicy musi być jeden kundel, na którego wołają: „Trocki”) i rozlega się rażny akcent mazurski.

My wszyscy, którzy znamy żołnierza polskiego z różnych czasów wojennych, wiemy, że posiada on dwie nieocenione zalety.

Dobry humor i rezolucność!

Żołnierz polski jest wesoły i nigdy nie zapomina języka w gębie, nawet wtedy, kiedy stoi przed srogiem obliczem przełożonego.

Tak jest i na tym nowym naszym froncie.

Znacznie gorzej natomiast przedstawia się sprawa komendantów strażnic, którzy na tym ciężkim posterunku wytrwać muszą dziewięć miesięcy. Jest to niewątpliwie najcięższa służba w całym Kopie.

Wyobraźmy sobie młodego, dwudziesto-kilkoletniego porucznika rzuconego gdzieś zdala od ludzi, żyjącego pomiędzy żołnierzami i zdziczałym chłopstwem, pozbawionego wszelkich rozrywek kulturalnych i tak pochłoniętego swoimi obowiązkami, że o jakiejś wycieczce dalszej, w głąb kraju myśleć niepodobna. Jeśli zaś żonaty, z żoną na strażnicy mu mieszkać niewolno.

Zdajemy sobie chyba wszyscy dobrze z tego sprawę, że granica bolszewicka wymaga nieustającej czujności. Ta atmosfera perfidji, kłamstwa i nikczemnego podstępu, która panuje w pobliżu granicy, jest bardzo trudna do opanowania. Włóczą się tutaj dywersanci, szpiegowie, wywiadowcy, przemysłni-

cy i uciekinierzy z jednej i drugiej strony. W każdej wiosce bolszewicy mają swoich ludzi zaufanych, w każdym miasteczku prowadzi się pod najrozmaitszymi pokrywkami konspiracyjna robota.

Dlatego i zadania komendanta odcinka granicznego muszą być bardzo skomplikowane.

Samotność jego jest bezwzględna, czasami poprostu rozpaczliwa. Mijają nieraz długie miesiące i nawet dowódcy sąsiadujący ze sobą nie widują się wcale. Azeby czuć się dobrze w tych warunkach, trzeba być człowiekiem silnego charakteru, albo, co może jeszcze lepiej, samotnikiem z zamiłowania.

Odkryłem podczas mojej podróży raz takiego oryginała.

Był to komendant kompanji w Czystem, kapitan Stopa. Dziwne na mnie robił wrażenie ten człowiek milczący i skupiony, który w puszczy hałubickiej znalazł tyle zadowolenia. Postać jakby żywcem z jakiejś egzotycznej powieści wykrojona, bo my mamy także swój polski egzotyzm, o którym jednak mało kto wie. Stary kawaler i dziwak, wróg kobiet zawzięty. Z żołnierzami łączy

go stosunek prawie ojcowski. Zawołany gospodarz. W przeciągu kilku miesięcy własnymi środkami przemienił swój odwach w osadę wzorową. Nigdy nic z rolnictwem nie miał wspólnego, ale jego reformy i innowacje na tem polu wprowadzają w osłupienie tubylców, którzy się tu od czasu do czasu pokazują. Z zawodu przedwojennego prawnik, pochodzi z Krzeszowic pod Krakowem. Mówił mi, że całe życie marzył o takiej własnie egzystencji. Ma tylko jedno zmartwienie. A mianowicie, że za kilka miesięcy będzie musiał swoje Czyste porzucić i przenieść się do jakiegoś małomiasteczkowego garnizonu.

Doprawdy wielka szkoda!

Można sobie wyobrazić ileby taki człowiek mógł dokonać w przeciągu kilku lat.

Podobno na innych odcinkach znaleźć można jeszcze wielu takich ludzi.

Przeważnie jednak młodzi porucznicy klną na czem świat stoi.

Przypomina mi się mimowoli pewien epizod z mojej podróży kresowej.

Wracaliśmy z dłuższego objazdu granicy z komendantem kompanji kapitanem Cer-



Jarmark w miasteczku przygranicznym Dokszyce

klewiczem, znakomitym zresztą żołnierzem. Jechaliśmy od Porzecza przez Tamiłowicze ku Dokszycom. Był już późny wieczór i spieszyliśmy się do miłego dworku dokszyckiego, gdzie czekała na nas p. Jadwiga Mikulska i cała miejscowa inteligencja. Po drodze wy-

żenie, że ten młody oficer, którego potem zresztą bardzo polubiłem, życzył nam, żeby nas jakiś djabł białoruski wodził przez kilka godzin po manowcach.

Porucznik Nowakowski jest jednym z tych oficerów, na których bolszewicy wykonali zamach. Powiodło mu się jednak lepiej, niż innym nie-szczęśliwym naszym oficerom, którzy służą teraz bandytom bolszewickim za motyw do ich plugawej propagandy.

Porucznik Nowakowski jechał sam linią graniczną — jechał konno, z psem-wilkim i temu właśnie wiernemu towarzyszowi zawdzięcza swoje ocalenie. Pies bowiem na załomie drogi ostrzegł swego pana głuchem warknięciem. Oficer w mgnieniu oka wydobyl rewolwer i jechał dalej z palcem na cynglu. W kilka sekund potem wyskoczył z za krzaków czterech drabów w mundurach so-

wieckich i repetując karabiny, zaczęło wołać:

— Bieri jewo!

Ale zdecydowana postawa porucznika Nowakowskiego wywarła na nich tak silne wrażenie, że po pewnym czasie zrejęterowali bardzo pośpiesznie i na tem się skończyło.

Mam wrażenie, że po tym fakcie porucznik Nowakowski mógł mieć nieoficjalną rozmowę ze swoimi partnerami z przeciwka. Gdyby nawet tak się stało, trudnoby było ten dyskurs powtórzyć ze względu na niewątpliwą soczystość wyrażań, też z naprzeciwka zaczerpniętych.

Bądź co bądź jednak należy się zgodzić z poglądami generała Minkiewicza, że brawura naszych oficerów jest bardzo często niepotrzebna, a nawet karygodna. Leży co prawda w charakterze polskim i nieraz okoliczności ją wywołują. Wogóle bolszewicy mają przed nami na granicy respekt niemały. Opowiadano mi, że o ile odbywały się na granicy jakieś spotkania, to z naszej strony stawało np. dwóch oficerów i dwóch żołnierzy, a wysłannicy bolszewicy zjawiali



Wielbłąd, który nabrał tyle wody ile tylko wielbłąd nabrać potrafi, wypłut ją na bolszewików i przeszedł na polską stronę

padło jednak kapitanowi Cerklewiczowi wstąpić do Tamiłowicz, gdzie miał wypłacić jakieś pieniądze komendantowi miejscowego odcinka, porucznikowi Nowakowskiemu.

Zatrzymaliśmy się wśród wsi już uśpionej, gdzie tylko w kilku oknach migotały drżące światelka.

Po chwili nadbiegł porucznik Nowakowski.

W blasku latarki elektrycznej zobaczyłem jego młodą, zuchwałą twarz. Ta twarz była rozradowana. Nie trzeba było być wielkim psychologiem, żeby zrozumieć wówczas jego nastrój wewnętrzny. Myślał prawdopodobnie o tem, że narazie zjawił się ktoś ze świata, ktoś, z kim będzie można porozmawiać i miło spędzić wieczór.

Ale to nie było w naszym programie.

Kapitan Cerklewicz zawołał po chwili:

— No, jedziemy!

— Panowie jadą? — zapytał porucznik głosem tak nasyconym akcentem rozczarowania, że gdyby to ode mnie zależało, zostałbym w jego towarzystwie i pewnobyśmy całą noc przegadali do świtu.

Odjechaliśmy jednak mimo to i mam wra-

się otoczeni całymi oddziałami kawalerji ukryte dyskretnie na krzakach. Na wszystkie zaś zarzuty odpowiadali, tak jak odpowiadają na noty naszego ministerstwa spraw zagranicznych — stekiem kłamstw i wykrętów. Sądzę, że na naszym froncie granicznym wtedy dopiero zupełny nastąpi spokój, jeśli na każde uderzenie bolszewickie odpowiemy takimi samymi pięcioma.

Można to zrobić zupełnie nieoficjalnie, a że nasza dyplomacja będzie miała trochę kłopotu, to już trudno, od tego jest dyplomacja, żeby się kłopotowała.

Przejechałem wzdłuż granicy kilka północnych powiatów Rzeczypospolitej. Są miejsca, w których droga prowadzi już po stronie sowieckiej. Oficer, w którego towarzystwie się znajdowałem, zawsze mi to anansowało z naciskiem:

— Jesteśmy w Bolszewji!

Ostatecznie każdej chwili mogliby wyskoczyć gdzieś z ukrycia i „zafasować” — mieliby wszelkie nawet po temu prawo.

Tylko w bardzo niewielu miejscach można wogóle rozpoznać granicę — po słupach rzadka się ukazujących albo zasiekach druczanych, które w myśl idei, aby Rosję sowiecką od Europy drutem kolczastym odgrodzić, teraz się gdzieś ustawiają. Poza tem granica biegnie wśród lasów, wzdłuż jakiejś drogi albo poprostu miedzami polnemi. W Porzeczu, majątku państwa Józefowiczów, przechodzi ona przez sad dworski, a potem przez jezioro, za którym spotykają się łodzie strażnicze nasze i bolszewickie.

Tak więc właściwie same strażnice mówią o bezpośredniej bliskości frontu. Nie będę na tem miejscu wytyczać rozmaitych przeciwko nim zarzutów, odnoszących się zarówno co do ich wyglądu, jak i wewnętrznego rozmieszczenia. Stoją już, stać będą i w takim właśnie stanie muszą pełnić swoją ważną służbę.

Są to wielkie drewniane budowle, obejmujące tysiące metrów sześciennych, wykonane

jakby w stylu zakopiańskim, najbardziej widocznym na samej wieży strażniczej. Założone są zazwyczaj w takiej odległości od granicy, aby mogły objąć dość znaczny jej odcinek. Żołnierz czuwający tu przez dzień cały może doskonale obserwować teren przed nim leżący, a nawet bardzo często widzi strażnicę sąsiednią. Zaatakowanie tedy samej strażnicy w dzień jest prawie wyłączone. Stać się to może tylko w nocy — ale byłoby to również przedsięwzięcie ryzykowne. Dla sforsowania tego posterunku trzeba by stworzyć olbrzymią i doskonale uzbrojoną bandę — a o tworzeniu się tak ej poważnej jednostki bojowej musiałby już zgóry coś wiedzieć nasz wywiad, który teraz jest prowadzony znacznie lepiej i znacznie staranniej. Gdyby zaś nawet i to zawiodło, gdyby krążące wzdłuż granicy patrole nic nie spostrzegły, garść ludzi wałecznych i dobrze uzbrojonych może się długo bronić przeważającej ilości nieprzyjaciela. Będzie zawsze dość czasu, aby zapomocą odpowiednich rakiet zaalarmować kompanje i szwadrony kawalerji, stojące w pobliżu, któreby natychmiast pośpieszyły z pomocą. Bolszewicy, chcąc tedy strażnice zdobyć lub wykonać uderzenie na większe ośrodki ludzkie,



Strażnica policyjna w Polulance (pow. Duniłowicki)

musieliby poprostu rozpocząć niemal regularną wojnę, a to przynajmniej narazie nie jest ich zamiarem.

Wybudowanie strażnic, obsadzenie granicy przez K. O. P. przyczyniło się tedy do

znacznego bezpieczeństwa i wyłączyło akcję większych oddziałów, które już od dłuższego czasu nie pojawiają się na naszym terenie. Żołnierz i oficer Kopu jest elementem tak bardzo odpornym wobec ich propagandy, zmienia się zresztą tak często na najrozmaitszych odcinkach, że o jakiegokolwiek propagandzie w tym kierunku mowy być nie może.

Nie można się jednak ludzi, aby wobec tego zrezygnowali ze swojej działalności. Po staremu agituja i przemycają na nasz teren najrozmaitsze ciemne indywidua. Zdarzają się także i bandy z kilkunastu złożone zbrodniarzy, którzy napadają na dwory i szlacheckie zaścianki. Nieraz korzystając z właściwości terenu i przejść tajemnych udaje im się wybrnąć cało z zastawionych matni. Bądź co bądź jednak trzeba przyznać, że organizacja K. O. P. wpłynęła na zasadniczą zmianę metod dywersyjnych. Wielkie kundle uciekły z podwiniętymi ogonami, miejmy nadzieję, że dalsza akcja naszej obsady granicznej przepędzi także i małe pieski.

*

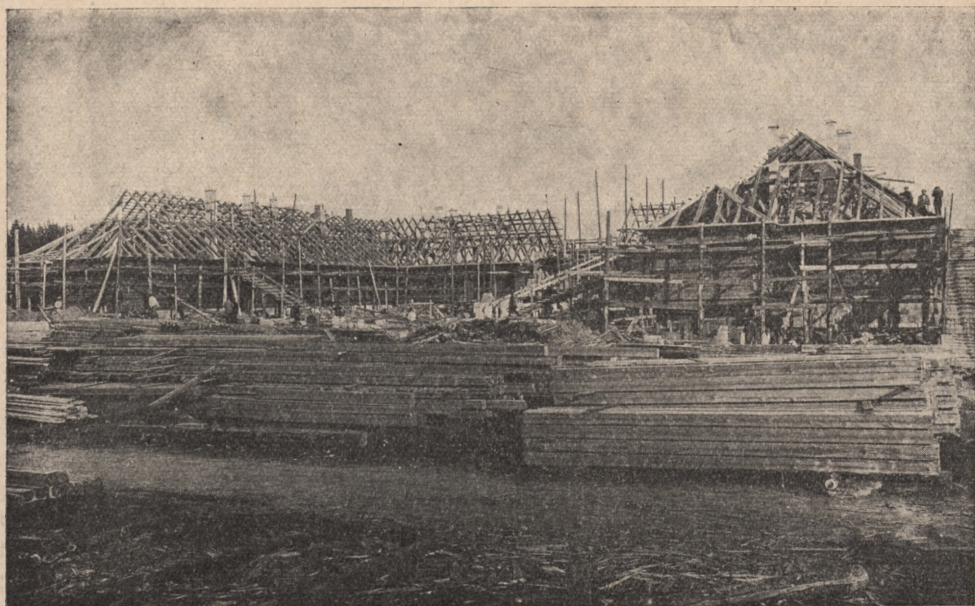
Działalność Kopu nie obejmuje tylko samej

l nji granicznej. Odwoły kompanijne, bataljony i komendy brygad sięgają dość daleko w głąb kraju i stały się wskutek tego ważnym fragmentem nowego życia wylaniającego się na kresach. Nieraz dźwigają z powrotem miasteczka, które wskutek zmiany warunków zupełnie podupadły. Przez zakładanie zaś licznych i dobrze zorganizowanych współdzielni, z których korzystać może także ludność miejscowa, regulują stosunki handlowe i zapobiegają wyzyskowi.

Prócz strażnic buduje się także i koszarzy zarówno dla piechoty, jak i dla kawalerji, stajnie, magazyny i składy. Wzdłuż całego pogranicza słysząc zgrzyt pił i uderzenia siekier. W niektórych miejscowościach tworzą się wzorowe żołnierskie kolonie, które świadczą dobrze o naszej przedsiębiorczości i umiejętności zagospodarowywania się. Oglądałem jedną z nich, w Zaświlu (pow. dziśnieński), położoną malowniczo nad brzegiem pięknego jeziora. Została ona zaprojektowana bardzo pomysłowo przez kierownika robót państwowych, inżyniera Łubiańskiego. Koszarzy i stajnie kawalerskie zostały już zbudowane i w istocie przedstawia-



Postłek żołnierzy K. O. P.



Budowa koszar piechoty K. O. P. w Podswilu

ją się doskonale. Wzorowy porządek i nieposzlakowana czystość uderzają niemal na każdym kroku. Stajnie opatrzone we wszystkie najnowsze urządzenia to prawdziwe pieścidelka. Po drugiej stronie odgrodzone żywopłotem kończą się już olbrzymie pomieszczenia dla piechoty. W takich warunkach żołnierz czuć się będzie doskonale, zwłaszcza skoro ta cała kolonja zostanie zadrzewiona i zamieniona w jeden wielki ogród.

Należałoby jednak jeszcze pomyśleć o jak najrychlejszej budowie domków, zwłaszcza dla żonatych oficerów i podoficerów, którzy narazie mają się mieścić w koszarach. Jest to sprawa bardzo ważna. Im lepiej zostanie zorganizowane życie tych ludzi, tem znaczniejsze muszą być owoce ich działalności w atmosferze spokojnej i dogodnej pod każdym względem. Musimy dokonać jak największych wysiłków, aby raz na zawsze usunąć z kresów atmosferę tymczasowości, która była dotychczas najbardziej szkodliwym elementem życia na rubieżach Rzeczypospolitej. Trzeba w granicach możliwości osłodzić dolę tych ludzi, którzy mają do spełnienia zadanie tak bardzo trudne i odpowiedzialne. Wówczas te kolonie żołnierskie staną się ośrodkami, promieniującymi na całą okolicę i tworzą własne, odrębne, niezależne życie.

Sądzę, że oficer i żołnierz polski wykazał już wiele dodatnich cech w tym kierunku.

Twierdzą to na podstawie osobistego doświadczenia. Przyjrzałem się zbliżeniu życia tych małych, granicznych garnizonów, gdzie kilkakrotnie przez czas dłuższy przebywałem.

Z prawdziwą radością mogę tu właśnie zaznaczyć, że oficer polski, który gdzieś z centrum kraju został rzucony na dalekie krańce państwa polskiego, posiada wyborną zdolność aklimatyzowania się i wytwarzania dookoła siebie atmosfery odpowiadającej jego zamiłowaniom i wymaganiom kulturalnym.

Przypomną mi się np. takie Hołubice, malutkie miasteczko położone dziś jeszcze na pograniczu powiatu duniłowickiego i dziśnieńskiego (gm'na hołubicka będzie włączona od stycznia, tak jak wszystkie gminy pograniczne, do powiatu dziśnieńskiego). Rezyduje tutaj bataljon siódmy, którym dowodzi major Chmielewski, który, będąc dobrym żołnierzem, nie zapomina o tem, że trzeba być także dobrym, przewidującym obywatelem. Mieszkalem tu przez kilka dni u miejscowego kwatermistrza, kapitana Koeniga. Widziałem także mieszkania innych oficerów. Mieszczą się one przeważnie w ubogich domkach żydowskich. Ale własnymi środkami i własnym przemysłem zmieniono je nie



Szwadron K. O. P.

do poznania. Zbudowano przepierzenia drewniane, przestawiono mebelki sprowadzone z kraju albo kupione za oszczędzone pieniądze, ozdobiono ściany, wyrzucono góry śmieci i błota. Są to schludne mieszkania, składające się z miniaturowych pokoiów. Wszędzie widać bukiety polnych kwiatów, a na półkach leżą często najnowsze pisma i książki. Wielu z oficerów nie zapomina o kształceniu się zawodowym, inni snują dalej swoje upodobania przedwojenne. Nie spostrzegłem tu nic takiego, co by odpowiadało niemieckiemu „der kleine Garnizon” albo atmosferze, którą odtworzył w swoich powieściach Kuprin. Nie zapraszano mnie ani razu na karty albo na jakieś okolicznościowe pijaństwo. Bardzo miłe wrażenie sprawiają żony oficerów, młode i pełne wdzięku osoby, które z dobrym uśmiechem i zadowoleniem dzielą dołę swoich mężów, które z tym samym zapalem będą się zagospodarowywać na jakimś nowym miejscu służby.

Poznałem kilka takich garnizonów, gdzie się spotyka ludzi z najrozmaitszych okolic Rzeczypospolitej, ludzi ze sobą żytych i co

najważniejsza przeważnie z własnego losu zadowolonych.

To bardzo ważne, może nawet najważniejsze ze wszystkich zalet. Nic bowiem bardziej szkodliwego, jak kilka podupadłych wielkości, wierzących, że tylko nielitościwy przypadek rzucił ich w środowisko najzupełniej obce, najzupełniej dla nich nieodpowiednie.

Tylko ludzie zadowoleni są w stanie na tych rubieżach wyniszczonych wojną, bezpańskich jeszcze i melancholijnych w swojej martwocie wytworzyć silną i nową kulturę polską. Może wyda się komuś dziwne, że o tem mówię. Zadania Kopu są przecież czysto wojskowe.

Nie jest tak jednak w istocie.

Czasy rządzenia z mieczem w rękę, czasy ślepej subordynacji i postrachu dawno już minęły. Życie współczesne wymaga nawet od żołnierza szerokich, obywatelskich horyzontów.

Tem się przeciwstawić musimy naszym sąsiadom, którzy, chcąc uszczęśliwić ludzkość, stosują na każdym kroku, niestety, pełno brutalnego chamstwa...



Ilustrował B. Nowakowski

Rycerska baśń

Napisał

Al. Junosza Olszakowski

Występy moje w Stockholmie, jako aktora charakterystycznego, zjednały mi dość dużą sławę w granicach Szwecji. Zrównoważonych i poczęści zastygłych w dobrobycie synów północy zdołałem rozgrzać sylwetkami wykłętych, ponurych morderców i samobójców. Wiesz dobrze, że role takie były dla mnie najbardziej odpowiednie i dlatego zawsze w nich celowałem. Jednak publiczność, patrząc na grę moją na scenie, zapomniała o tem, że nie tak łatwo odgrywać w poniedziałek przeklętego syna, we wtorek samobójcę, a we środę zbrodniarza. Praca, która była ponad moje siły, do reszty podkopała wątły organizm i wpadłem w silną depresję nerwową połączoną z halucynacjami. Publiczność tonęła w zachwycie, gdyż na scenie wpadałem w rodzaj szału. Jednak po jakimś

czasie, czując, że z każdym dniem sił mi ubywa, postanowiłem wypocząć kilka tygodni i wziąłem urlop z dyrekcji teatru. Korzystając z łaskawego zaproszenia margrabiego Vendoux, z którym zapoznałem się na jednym z kawalerskich pikników, udałem się do jego dóbr, położonych na północy Szwecji.

Cherburg, zamek rodzinny margrabiego, ze swemi średniowiecznymi basztami, dziedzińcem, zamkową kaplicą i wspaniałą bramą wjazdową wywarł na mnie silne wrażenie. Patrząc na mury napiętnowane stygmatem wieków, noszące na sobie ślady kui, odczuwałem sercem lub wyobraźnią mistyczną aureolę baśni, jakieś zapomniane dzieje w epoce średniowiecza, jakieś echa zamarłe, które legendą unosiły się nad zamkiem.

Margrabia Vendoux, młody i uprzejmy arystokrata, zaprowadził mnie osobiście do pokojów gościnnych, gdzie mogłem odświeżyć się po podróży i uporządkować garderobę. Ze względu na to, że gospodarz w ów dzień zajęty był bardzo kontrolą swych rozległych folwarków, udałem się sam na przechadzkę po całym zamku. Wnętrze jego nie nie mówiło o historycznym pochodzeniu. Były tam najnowsze meble paryskie, perskie dywany, kosztowne gobeliny, i tego rodzaju inne cacka, które wymyśliła kultura XX wieku. Natomiast zzewnątrz zamek przedstawiał się okazałe. Zewsząd brzmiała ku mnie cicha melodia przeszłości, baśni średniowiecza, życie rycerskie, a nawet, kiedy spojrzałem na pusty dziedziniec, okolony krążgankami i zamknąłem oczy, ucho moje dosłyszało jak z oddali tętent kopyt, rżenie rumaków i chrzęst zbroi żelaznych. Nie wiem — może to były nerwy, a może pieśń wieków. W ten sposób wałęsając się dość długo bez celu, zmęczony podróżą i nowymi wrażeniami, znalazłem się w kaplicy zamkowej. Nie było tam żywej duszy. Na ołtarzu paliły się dwie świece, cokolwiek rozświetlając panujący półmrok. Chłód i dziwny jakiś zaduch grobowy unosiły się w powietrzu. Wogóle wszelkie miejsca, gdzie ludzie się

modlą, wywierają na mnie wpływ uspakajający, przenosząc myśli w krainę więcej szczęśliwą od naszej. Kroki moje rozlegały się grzmiotem po arkadach sklepienia, toteż, pragnąc ciszy, usiadłem w ławce i oparłem głowę na rękach. Po chwili powieki zaczęły mi się kleić, spuściłem głowę jeszcze niżej i zasnąłem.

Gdyby mi teraz wypadło dokładnie opowiedzieć mój sen, przyznam się, że z trudnością wywiązałbym się z zadania. Nie był to sen, w który ludzie zwykle zapadają. Ja bym to nazwał pewną odmianą jasnowidzenia, wędrówką mego ciała astralnego w świat minionych zdarzeń. Wiedziałem, że śpię, a jednak widziałem wewnątrz kaplicy, ołtarz, obrazy świętych, ławki i chórągwie. Nie doś

na tem: widziałem siebie drzemiącego w ławce, z głową opartą na rękach. Dziwne nieprawdą? Czułem, że mogę myśleć, rozumować, obserwować, a nawet poruszać się, wiedząc zarazem, że śpię. Przeglądając się tedy, jak teraz myślę, oczyma duszy astralnej, wnętrzu kaplicy, doznałem wrażenia, jakby to, na co patrzę, było inne, aniżeli przed snem. Przede wszystkim uwagę moją zwróciły ławki. Kształt ich zmienił się zasadniczo i wątpię, czy w dzisiejszych czasach stolarze robili takie ławki. Pod ścianami było więcej chórągwi, ambona mniej



Ksiądz w czarnej sutannie pędził przodem, wymachując rękoma, zgiębiwszy po drodze stulę. Za nim biegł ów dziwnie ubrany człowiek...

bogata, na ołtarzu zaś stał srebrny krzyż, którego przedtem nie widziałem.

W czasie tej niemej obserwacji szept jakiś doszedł do mych uszu. Zwróciłem oczy w tę stronę i ujrzałem w konfesjonale księdza, spowiadającego jakiegoś mężczyznę. Ksiądz ów, mając w ręku stulę, bladł i czerwieniał co chwila na twarzy, odsuwając się powoli z widocznym przerażeniem od kratki, z poza których słychać było szept owego mężczyzny. Twarz tego ostatniego dziwnie na mnie zrobiła wrażenie. Zamiast skruchy lub żalu za grzechy, wyczytałem w niej ukrytą groźbę, czajenie się dzikiego zwierza.

Miał łzy w oczach, lecz były to łzy wściekłości. Spojrzenie ostre, jak sztylet, wpijało się w twarz księdza, z niewystłowionym wyrazem pogardy, zemsty i szyderstwa. Był to szatan, wyznający Bogu swe grzechy. Role, jakie odgrywają spowiednik i grzesznik, zmieniły się zasadniczo. Ksiądz wił się po prostu z bólu i trwogi, darł zębami stulę, łamał ręce i jęczał, wodząc dookoła oszalałemi oczyma. Wreszcie tamten się zaśmiał. Przyznam się, że do tej pory ten śmiech dźwięczy mi w uszach. Cechowała go straszliwa wesołość i ironja. W ten sposób śmiać się może jedynie człowiek na kilka chwil przed samobójstwem.

Ksiądz zerwał się, kopnięciem nogi otworzył drzwiczki konfesjonatu i wybiegł, zatykając sobie uszy. Śmiejący się mężczyzna zerwał się nagle i wypadł za nim. Uwagę moją zwrócił dziwny strój, okrywający jego postać. Miał na sobie dziwne kroju kaftan myśliwski, a na nogach buty, których używali rycerze w średniowieczu. Przemknęli obok mnie, jak huragan, zda się, nie spostrzegając wcale mojej osoby. Ksiądz w czarnej sutannie pędził przodem, wymachując rękoma, zgubiwszy po drodze stulę. Za nim biegł ów dziwacznie ubrany człowiek, sadząc olbrzymimi susy i kołyszając zlekka rozrośniętymi, jak u atlety, ramionami. Ksiądz znalazł się u drzwi wejściowych, lecz ujrzawszy, że są zamknięte, zwrócił się z powrotem i spotkał się oko w oko ze swym prześladowcą. Ów wyciągnął najprzód muskularne dłonie, ażeby go schwycić, lecz ksiądz, wydawszy przeraźliwy pisk rozpacz, upadł na ziemię i jak kula, przetoczył mu się między nogami. Stanąwszy z powrotem, uciekł za filar kaplicy i przytulił się doń, drżąc całem ciałem. Roz-

poczęła się tedy dzika gonitwa dookoła filarów, ławek, chorągwi, której ja byłem jedynym świadkiem niewidocznym, a zarazem niezdolnym do poruszenia się. Słyszałem, jak z oddali przeraźliwe wołania księdza o pomoc, ponury ryk wściekłości, co chwila zrywający się z ust jego prześladowcy i tupot ich nóg na kamiennej posadzce. W pewnym momencie ksiądz znalazł się tuż przy mnie. Pierś jego wznosiła się gwałtownie, osłabłe ciało przylgnęło do ławki, a obłędne przestachem oczy patrzyły z jakimś dziwnym cięciem osłupieniem na czającego się do skoku mężczyznę. Twarz tamtego zionęła wprost chęcią morderstwa i zemsty. Nastąpiła cisza wielka, przerywana szalonym biciem dwóch serc, z których jedno za chwilę miało znieruchomieć. Wtem mężczyzna runął naprzód naksztwie huraganu, łamiąc po drodze dwie chorągwie, umieszczone w ławkach. Ksiądz odskoczył i począł się kręcić na posadzce, śmiesznie podrygując, jak ptak ze zranionem skrzydłem. Przewracając się co chwila, wpadli na schodki, złamali poręcz, otaczające wielki ołtarz i rozpoczęli dookoła niego niesamowity taniec śmierci z życiem. Kiedy morderca znajdował się za ołtarzem, ksiądz był już na froncie, rozpaczliwie czipając się lichtarzy, które z łoskotem padały na ziemię. On na lewo — tamten na prawo. On na prawo — tamten na lewo. Rozdarta sutanna powiewała jak całun śmierci. Oto za chwilę miało jedno życie zgasnąć, a twarz Chrystusa przyglądała się temu z niezmaconym spokojem. Naraz ksiądz potknął się i to było dla niego ponurem memento mori. Ręka prześladowcy znalazła się na jego gardle. Krótki, rozpaczliwy wrzask — i ksiądz leżał połową ciała na ołtarzu, prześięty w tył, w żelaznych uściskach mordercy. Próbował się bronić; rękoma odrywał dłonie przeciwnika od swego gardła, wyslizgiwał się z objęć — ale napróżno! Chwył śmierci jest mocny i niełatwo wyrwać się z niego. Zaczzerwienione i wylające z orbit oczy księdza spostrzegły krzyż, stojący opodal niego na ołtarzu. Szamocąc się i wymachując rękoma, ujął krzyż drętwiącemi palcami i zbliżył do twarzy mordercy. Była to wspańska chwila! Bóg stawał między ofiarą i zabójcą! Bóg, który obdarzył ich życiem i śmiercią! Mając zdławione potężnym uściskiem gardło, nie mogąc mówić, ksiądz ze-



...pozostawiając małżonkę wraz z wierną służbą pod opieką kapelana zamkowego —
księdza Ambrożego

brał litości krzyżem, zasłaniając się miłością Chrystusową. Mordercę jednak napadł atak wściekłości. Człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo boskie, stał się krwi żadnem zwierzęciem. Głowa księdza podskakiwała na ołtarzu, kręgosłup trzeszczał i śmierć zazierała w oczy. Jeszcze jeden jęk, jedno krótkie szamotanie się — i wszystko ucichło.

Morderca odstąpił od swej ofiary, udał się pod jeden z filarów kaplicy i przyklęknął. Po chwili ujrzałem, jak posadzka rozwarła się w tem miejscu i ukazało się obszerne wejście do podziemi. Patrzałem dalej: morderca podszedł do ołtarza, wziął trup księdza na ręce, wrócił do otworu i począł schodzić na dół po schodkach. Oczy moje dojrzały coś blyszczącego w martwej dłoni księdza. Był to srebrny krzyż, którym błagał o litość napróżno. Wiadomą jest bowiem rzeczą, iż człowiek w agonji tak mocny ma uścisk, że kiedy ręka zastygnie, nie można mu wyjąć w żaden sposób przedmiotu, który przed śmiercią trzymał.

Zniknęli mi z oczu. Długi czas wpatrywałem się w otwór w posadzce, ziejący ku mnie stęchłym, piwnicznym powietrzem. W ciszy, jaka zapanowała w kaplicy, długi czas ucho moje łowiło oddalone bicie dwóch serc. Jedno z nich uderzało mocno, triumfująco, drugie coraz ciszej, ciszej, aż wreszcie całkiem zamarło.

Obudziłem się zlany zimnym potem. Ołtarz, chorągwie, ławki, obrazy nic się nie zmieniły. Musiałem długo myśleć, zanim ostatecznie przekonałem siebie, że wszystko, co widziałem, snem było tylko. Jedna rzecz zadziwiła mnie nieco: zamiast pokrzepienia się snem, czułem w całym ciele dziwną ociężałość i ogólne osłabienie.

Tego samego dnia wieczorem, przy wspólnej kolacji, którą jedliśmy w zamku, pozwiałem zamiar opowiedzenia mego snu koczmarnego margrabiemu Vendoux. Zanim jednak to nastąpiło, poszliśmy zwiedzać galerję obrazów i portretów. Rozmawiając o tem i o owem i przyglądając się kolejno podobiznom przodków margrabięgo, rzuciłem okiem na jedną z nich, wiszącą w kącie wielkiej sali. Obraz ten przedstawiał rycerza w pełnej zbroi, olbrzymiego wzrostu i z szerokimi, atletycznymi ramionami. Wiała od tej postaci niepokroszona siła ludzkiego zwierzęcia,

nie uznająca żadnych hamulców i niemożliwości. Cokolwiek zaintrygowany, zbliżyłem się ku portretowi i spojrzałem w twarz. Krótki okrzyk trwogi, jaki wydarł się z moich ust, przestraszył margrabięgo. Podbiegłszy ku mnie żywo, zapytał, co mi się stało. Wówczas bez tchu w piersiach, bezładnie, począłem mu opowiadać swój sen i stwierdziłem, że twarz owego rycerza była identyczna z twarzą mordercy księdza. To samo, jak sztylet ostre spojrzenie, te same krzaczaste brwi, ta sama potężna szczeka, wysunięta naprzód i ta sama niepospolita siła, która biła wprost z każdej zmarszczki twarzy. Młody margrabia wysłuchiwał mnie poważnie, poczem bez jednego słowa zaprowadził do biblioteki, posadził w fotelu, a sam dość długo szukał czegoś między starymi książkami. Wreszcie podszedł do mnie, trzymając w ręku pożółkły manuskrypt, zawierający kronikę zamku. Oto, co w niej przeczytałem:

„W roku pańskim 1496 ożenił się pan na Cherburgu, władca życia i śmierci swoich poddanych, margrabia Vendoux z córką szlachetnego rycerza Rooperta i zamieszkał w zamku przodków swoich. Dziwne to było małżeństwo: on ponury, małomówny, zamknięty w sobie, z twarzą pooraną bliznami, jakie otrzymał podczas wypraw rycerskich, ona wesola, trzpiotowata i lekkomyślna, lubiąca stroje i festyny. Możliwem jest, że jako słaba kobieta, upodobała sobie w nim siłę nadzwyczajną i męskość i dlatego obdarowała go miłością, atoli napewno nie było można tego twierdzić. On zaś kochał ją szalenie, bez pamięci, nie widząc poza nią świata, gotów ważyć się na wszystko dla pozyskania jednego uśmiechu, jednego cieplejszego uścisku ukochanej przezeń kobiety. Minęło kilka lat. Monotonję zamkowego życia przerywały od czasu do czasu wojny, na które wyruszał rycerz Vendoux, pozostawiając małżonkę wraz z wierną służbą pod opieką kapelana zamkowego — księdza Ambrożego. Był to młody, puciołowaty człowieczek z wesołym uśmiechem na twarzy i jasnymi jak niebo oczyma. Cieszył się wielkiem poważaniem i szacunkiem, bowiem państwo Vendoux wielce byli pobożni i surowo przestrzegali przepisów kościelnych. Co sobota odbywała się spowiedź, w niedzielę komunja święta i uroczyste nabożeństwo. Pan na Cherburgu, mimo dzikiego serca i krwawego temperamen-

tu, korzył się nisko przed wielkością Boga i ślepo uwielbiał to, co na ziemi uchodziło za świętość. Nie raz, nie dwa plecy dumnego rycerza spłynęły krwią pod razami kańczuga, którym mu ksiądz Ambroży kazał spełniać pokutę i żałować za grzechy. Ale niema na świecie nic wiecznego i nic świątobliwego.

Rycerz Vendoux udał się na wojnę przeciw Saracenom i nie było go rok cały. Młoda pani w przestronnych komnatach zamkowych nudziła się śmiertelnie. Ksiądz Ambroży usiłował ją rozzerwać, przychodząc coraz częściej, zabawiając rozmową i wesołemi dykteryjkami.

Początkowo szło to opornie, aż pewnego razu młoda kobieta poczuła do wielką sympatię. Podobała jej się jego twarz łagodna, miła, uśmiechnięta, i oczy dzieciinne. Taki był inny od męża. Z natury raczej wesoła i lekomyślna, postanowiła się zabawić i poplirtować. Ksiądz narazie zdawał się nie spostrzegać tego, a potem rozgorzał ku niej wiek, a zarazem grzeszną miłością. Zdumiona i zaskoczona nie wiedziała jak się bronić, a może nie chciała i... zgłoszyli oboje. Raz popelnivszy czyn zakazany z zamkniętymi oczyma, oddawali się haniebnej rozkoszy, niepomni na skutki i na nic.

Margrabia Vendoux wrócił. Usłużne usta

dworackie podszeptyły mu do ucha fatalną wiadomość. Tak wielką była jego miłość do żony i tak wielkim szacunek dla ks. Ambrożego, że dworak ów padł, jak rażony piorunem, z jego ręki za nikczemną potwarz. Nasienie jednak zazdrości, rzucone w serce, po-

częło kiełkować. Zauważył błysk spojrzenia, ruch ręki podejrzany i od tej chwili począł ich śledzić. Czy znalazł jakie dowody wiarygodności — niewiedomo, dość, że pewnego dnia zamknął się w swojej komnacie i siedział w niej zamknięty trzy dni i trzy noce, nie przyjmując żadnego pokarmu. Nie można było sobie wyobrazić, co się działo w jego duszy, duszy człowieka bogobojnego i do szaleństwa kochającego swą żonę. Pasował się i łamał ze sobą, nie wiedząc co czynić, aż wreszcie przebudziło się w nim zwierzę, żadne krwi zemsty. Pewnej nocy wszedł do komnaty żony,



Pewnej nocy wszedł do komnaty żony, obudził ją, kazał odmówić modlitwę za kónających i zabił toporem...

obudził ją, kazał odmówić modlitwę za kónających i zabił toporem, jakim zwykle posługują się pachołcy przy rozrąbaniu mięsa ubitej na polowaniu zwierzyny. Przy trupie spędził resztę nocy, trzymając twarz ukrytą w dłoniach i jęcząc, poczem, gdy błąd świt zajązwał w okna, wstał, i nie zauważony przez nikogo, udał się na lewe skrzydło zamku, gdzie mieszkał kape-

lan. Zbudziwszy go ze snu, kazał mu się ubrać i iść do kaplicy. Skoro się tam znaleźli, zażądał spowiedzi. Ksiądz, nie podejrzuwając nic złego, bowiem rycerz Vendoux zwykł był tak czynić przed każdą wyprawą rycerską, zasiadł spokojnie w konfesjonale. Wówczas margrabia wyznał ów straszny czyn, jakiego się dopuścił tej nocy, wyluszczył jego motywy i nadmienił, że zamierza jeszcze popełnić jedno morderstwo, a mianowicie, zabić ks. kapelana Ambrożego, prosi więc o rozgrzeszenie naprzód. Wszystko to mówił szeptem, jak człowiek bardzo zmęczony i wspominający dawne dzieje i grzechy.

Ks. Ambroży początkowo myślał, że margrabia oszalał. Mając jednak nieczyste sumienie, zląkł się o siebie i, wybiegłszy z konfesjonatu, chciał uciekać. Vendoux puścił się za nim w pogoń, wołając o rozgrzeszenie. Całą godzinę biegali po kaplicy, jeden, uciekając przed śmiercią, drugi, ażeby ją zadać. Wreszcie margrabia dopadł księdza przy ołtarzu, schwycił za gardło, przegiął w tył i począł dusić. I oto ksiądz, wydając ostatnie

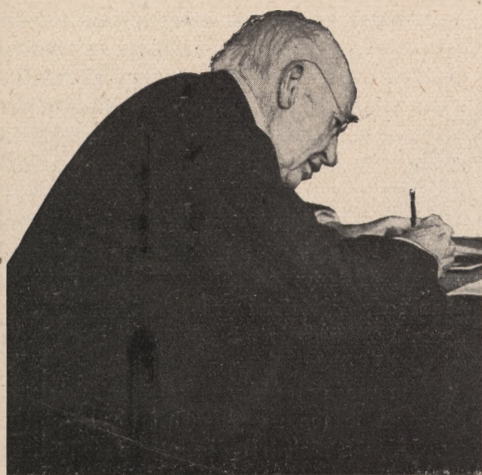
technienie, rozgrzeszył go krzyżem, trzymanym w kurczowo zaciśniętej dłoni.

Po zabójstwie Vendoux, wzięwszy trupa księdza, udał się z nim korytarzem podziemnym do zamku. Bez nicyjey pomocy zniósł trup żony i księdza do piwnic i tam w ciągu doby wykuli w murze wgłębienie, w którem umieścił ciała i zamurował je. A dokonawszy swego dzieła, wrócił na górę, zebrał drużynę wiernych mu rycerzy poszedł na wojnę. Od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął”...

To przeczytałem z pozóółkłych kartek pergaminu i mniej więcej dosłownie ci powtórzyłem. A teraz pozostaje mi tylko dodać, że obecny właściciel zamku, również Vendoux, był dla mnie tak uprzejmy, iż pozwolił mi zwiedzić ową historyczną piwnicę.

W zmurszałej niszy, przy blasku latarni, ujrzałem leżące na głazach dwa kościotrupy. Jeden z nich był drobnej kości, drugi większy, więcej rozrośnięty. Czaszki dotykały się wzajemnie, jakby jedna drugiej szepiała słowa zapomnianej miłości. U nóg ich zaś leżał duży, srebrny krzyż.





U Thomas'a Edisona

Specjalnie dla „Naokoło Świata”

napisał

Jan Strzelecki

Niełatwą jest rzeczą wytłumaczyć przeciętnemu, europejskiemu czytelnikowi, jak trudno pozyskać cudzoziemskiemu dziennikarzowi rozmowę z wielkimi wynalazcami amerykańskimi.

Czytelnik, czy czytelniczka, odczytująca powyższy nagłówek, myśli sobie: „Wizyta u Edisona, doskonale, jakżeż on teraz wygląda, musi to być staruszek, niezdatny już do pracy”. Ale, że autorowi artykułu należy się trochę wdzięczności za zdobycie tej rozmowy i podanie jej na łamach tego miesięcznika, o tem już się nie myśli. Niech i tak zresztą będzie, zwykły to los na świecie dziennikarza, a że i tak pisać musi, bo pcha go ku temu potrzeba mózgu i serca, więc już dalej nie będę się przypominać czytelnikom, chociaż chciałbym się pochwalić, że od długiego szeregu miesięcy do Edisona nie mógł się dostać żaden dziennikarz, nawet amerykański. Za to, trudno mi się powstrzymać od uczucia triumfu, mogąc ofiarować przyjaciółom „Naokoło Świata” trzy ostatnie fotografie tego niezwykłego człowieka, przez nikogo jeszcze nie widziane. Proszę bowiem uprzytomnić sobie, że Edisona nie fotografował nikt od lat 10-ciu! Przyczyna prosta. Czcigodna małżonka Mrs. Edison, zabroniła surowo wstępu do swego mieszkania wszystkim fotografom, uważa bowiem, że mąż

się nieco postarzał, pocóż go więc ma w takim stanie oglądać publiczność. Podstęp, jakiego musiałem użyć, celem ubłagania pani Edison, pozostanie moją tajemnicą, natomiast wyrazić tu muszę moje podziękowanie memu wszechmocnemu przyjacielowi, Mr. E. Marschall, naczelnemu dyrektorowi Syndykatu pism amerykańskich, który nie tylko wyjednał mi audjencję, ale i nie wypuścił mnie z pod swych opiekuńczych skrzydeł do samej siedziby Edisona.

Wielki wynalazca zaprosił nas do swej posiadłości w Orange, pod New-Yorkiem. Zaproszeni na śniadanie, zjawiamy się punktualnie o godz. 11-ej. Bez żadnych trudności mijamy bramę, gdyż portjer zna dobrze p. Marschall'a, jako częstego gościa Edisona.

Rezydencja autora wielkich wynalazków, którym zawdzięczamy niejedną współczesną wygodę, wprawia mnie w zdumienie. Każdy przecież przyzna, że willa takiego wynalazcy powinna być ostatnim wyrazem postępu, konstrukcja, w której wszystko się dzieje za przyciśnięciem guzika elektrycznego. Tymczasem, willa jest w całości zbudowana z drzewa, o miłej fasadzie, dostrojonej do podmiejskiego otoczenia.

Mr. Marschall objaśnia mnie, że willa niejednokrotnie spaliła się do fundamentów,

a nawet i przylegające do niej pracownie; to wszystko jednak nie zmieniło gustu Edisona do tak prymitywnego materiału, jakim jest drzewo. Gorzej, okazało się, że nigdy nawet nie ubezpieczał willi ani pracowni od ognia. W późniejszej rozmowie poruszyłem ten temat, zapytując o przyczynę tego uporu, na co odpowiedział mi wielki wynalazca: „Ubezpieczeń płacić nie lubię, ludzie od ubezpieczeń zbyt szybko się bogacą i to zupełnie bez pracy!” Taka jest opinia Edisona o towarzystwach ubezpieczeniowych.

Należy przyznać, że nie zawsze źle wychodził na tym braku zaufania. Ostatni raz, lat temu 10, spłonęła cała posiadłość w Orange, oprócz jednego domostwa nieco oddalonego. O wybuchu pożaru dowiedział się Ford, wielki zwolennik Edisona. Mr Ford przyjechał na swym „Fordzie” w chwili, kiedy ogień już dogorywał.

„Co za nieszcześnie pana spotkało, bardzo panu współczuję”. „To nic nie szkodzi, odpowiada Edison”, „jutro rozpoczynam pracę na nowo”. Rozmowa była krótka u tych ludzi czynu. Bez słowa wyjął Ford książeczkę czekową, wypisał na niej sumę 4.000.000 dolarów i doręczył czek Edisonowi.

P. Edisona znam już oddawna, z czasów młodości, gdy zamieszkiwałem Genewę i Paryż. Żyłem tam w wielkiej przyjaźni ze znakomitym dziennikarzem, pisującym do wszystkich większych dzienników świata, Dr. Durer'em, podpisującym się pseudonimem „Oncle Jim”. Dr. Durer był przez lat 7 sekretarzem Edisona, opowiadał mi też o nim wiele anegdotek. Jedną z nich przypominam sobie. W r. 1888 przyjechał do Paryża. Z racji technicznych jego wynalazków, już wówczas otoczony sławą, został zaproszony przez Prezydenta Rzeczypospolitej Carnot, który własnoręcznie udekorował go wstęgą legii honorowej. Edison grzecznie podziękował. Po powrocie jednak do hotelu zdejmując wstęgę i, zwracając się do D-ra Durer'a, pyta: „Ile to kosztuje?”

Anegdota maluje nieco poglądy wynalazcy na pewne życiowe sprawy. Zresztą sam przyznaje, że sztuka nic mu nie mówi, nie widząc w niej żadnej realnej wartości. Jak się w rozmowie ze mną wyraził „lubi rzeczy proste i konkretne, czując niechęć do wszelkiej mglistości”.

Próbując znaleźć ulubionego autora, spytałem, czy może odpowiada mu naturalistyczny Zola. Jednak i ten autor nie przypadł mu do gustu. Figury geometryczne, problemy matematyczne, a nadewszystko techniczne, pochłaniają go w zupełności, odbierając ochotę do zagłębiania się w inną dziedzinę. Nawet i tutaj jednak nie lubi problemów czysto teoretycznych, których w praktyce nie da się zastosować.

Pewnego razu, podczas pobytu w Berlinie, otrzymał zaproszenie na cesarski dwór. Znając jego dziwactwa i chcąc go zachęcić, wyślanicy opowiadają mu, że Kaiser polecił przygotować specjalną salę, oświetloną rzęsiście żarówkami, których Edison był wynalazcą. Na nieszczęście opowiedziano również, że każda żarówka osłonięta jest pięknym, artystycznym abażurem. Edison oburzył się. Jakto, naturalne światło elektryczne przykrywać artystycznymi gałgankami? Wydobycie z żarówki światła jest już samo przez się artemem, obywatelom się bez innych upiększeń. W rezultacie, Edison odmówił udania się na dworskie przyjęcie.

A jednak, pomimo swych dziwactw, człowiek ten spełnił wielkie rzeczy na polu cywilizacji. On to przecież wynalazł żarówkę, telefon i gramofon. Rzeczy, bez których niedługo nie rozumiemy obecnie kulturalnego życia. Pomijamy wiele innych, nie tak przełomowych wynalazków, odkrytych przez tego człowieka. Myślimy o tem obaj z Marszałłem w chwili, kiedy zbliża się do nas z wyciągniętą dłonią.

W pierwszej chwili nie poznałem go. Czas zrobił swoje i oto widzimy przed sobą człowieka o starczej wprawdzie twarzy, lecz energicznej postawie. Głowa pokryta płaskim kapeluszem, noszona przed dwudziestu chyba laty, w ubraniu ciemnym, o kroju również nieco zapóźnionym, a w każdym razie, nie nadającym się na strój poranny.

Postać niezmiernie miła, szeroki i szczery uśmiech zjednywa sobie każdego od pierwszej chwili. Edison jest niestety głuchy, przewodnik mój więc pisze na kartce moje nazwisko: J. de Strelecki of Poland. Gospodarz nasz uważnie przeczytał kartkę, przyjrzał mi się badawczo: „Ah pan jest Polakiem! To bardzo wojowniczy naród! Właśnie czytałem w dzisiejszej gazecie o energii wojowniczej Polek; była tam mowa o jakiejś



Edison pracuje przeważnie po 16 godzin na dobę. 4 godziny poświęca na czytanie i jedzenie i zaledwie 4 godziny na dobę, sypia. Oto jest pokój sygnalny Edisona

scysji, zakończonej przy pomocy parasolek między paniami, zdaje się Jaritzka i Orlikowski, zresztą, to takie trudne te wasze nazwiska! Musi pan znać te rodaczki, mają być znanymi śpiewaczkami w Wiedniu".

Po zapewnieniu z mojej strony, że takich „rodaczek” nie znam, Edison dodał: „Tak, tak, Polacy znani są ze swego wojowniczego charakteru!” A potem: „Chodźmy na śniadanie!”

Udaliśmy się za nim, do pobliskiego budynku, gdzie znaleźliśmy wielką salę, a w niej około 100 stołów. Była to sala, przeznaczona na posiłek dla pracowników zakładu Edisona. Pośrodku stał duży stół, do którego zaprowadził nas gospodarz. Przy stole siedzieli już inżynierowie fabryki. Edison zamówił dla siebie śniadanie, złożone z jednego sandwiczu, szklanki mleka i kawałka ciasta. Nie pozostawało nam nic innego, jak pójść w ślady naszego gospodarza.

Rozmowa, z powodu głuchoty Edisona, była utrudniona, na szczęście jednak, gospodarz, w dobrym widocznym usposobieniu, sam zaczął opowiadać o swym życiu, wspominając nawet bardzo dawne dzieje. Cały czas notowałem, oczywiście, skwapliwie, chociaż Ma-

shall robił mi uwagi, żeby to czynić mniej widocznie.

Karjerę swoją rozpoczął Edison około roku 1862, t. j. podczas wybuchu rewolucji. W tym czasie była to raczej skromna karjera, polegająca na ulicznej sprzedaży warzyw. Ale, obdarzony zmysłem spostrzegawczym,

młody chłopiec szybko zauważył, że ludzie chciwie czytują gazety, szukając w nich nowin, gorączkujących wtedy całą Amerykę. Okazało się, że zajęcie to jest bardziej intratne. I to go jednak nie zadowoliło, więc udał się do Detroit i tam postarał się o kredyt „Free-Press”, wartości 1000 egzemplarzy dzienników. Młody chłopak uważał, że będzie to bardziej zyskowne dla niego, jeżeli w okolicznych miastach każe te gazety sprze-



Laboratorium Edisona

dawać takim samym chłopcom, jakim był sam przed paru miesiącami. Zajęcie to zaczęło mu przynosić poważny zysk, ale mały Tomek nigdy dolara nie miał przy duszy. Jadł mało, spał gdziekolwiek, ale za zarobione pieniądze kupował chemiczne książki. Dziwna rzecz, najbardziej nęciła go w tych czasach analiza chemiczna, to też z całym zapętem przestudjował z tego zakresu podręcznik Fresenius'a. Sam również próbo-

wał zastosować praktycznie zdobyte wiadomości, zakładając np. na swoim poddaszu stację telegraficzną, zbudowaną najprostszymi środkami, tem niemniej jednak, za pośrednictwem tej prymitywnej stacji, otrzymywał bezpośrednie nowiny o toczących się walkach. Natchnęło go to myślą stworzenia własnego pisma, które jednak zbyt wielkiego powodzenia nie miało.

Nie zaniedbywał przytem dalszych doświadczeń, między innymi nad galwanizmem, używając w tym celu żywych kotów. Nawiasem mówiąc, doświadczenia te doprowadziły go w przyszłości do ważnych odkryć.

Poważne studia umożliwił młodemu Tomkowi dopiero przypadek. Pewnego razu, przechodząc brzegiem morza, spostrzegł tonącego chłopca. Niewiele myśląc, rzucił mu się na ratunek. Chłopiec ten okazał się synem Y. U. Mackenzie, szefa dużego labolatorium. Mackenzie poznał się zaraz na zdolnościach młodego Edisona, posłał go więc na swój koszt do szkół. Nie przeszkodziło to zresztą młodemu uczniowi zachować swej organizacji sprzedaży gazet, a równocześnie być redaktorem własnego pisma „Paul Pry”.

Wogóle posiadał żyłkę handlową, handlując czem się da. Pewnego razu zrobił znajomość z dwoma turystami z południowej Amery-

ki. Jeden z nich, rozbawiony widocznym rozmową z ciekawym Tomkiem, prawiącym z powagą o interesach handlowych, wyraził gotowość nabycia całego jego dobytku. Nie namyślając się długo, Edison przywiózł na wózku wszystkie swoje graty, za które rozbawiony turysta musiał zapłacić 27 dolarów. Mały Tomek zrobił świetny interes!

Zarty na bok, piętnastoletni Tomek był już posiadaczem własnego pisma, przedsiębiorstwa gazet, znany, jako ekspert w dziedzinie chemji, mechanik, a nawet konstruktor lokomotywy, oczywiście, narazie w modelu. Zapowiadał się obiecująco! Już w tym czasie zajmowała go niezmiernie elektryczność, którą miał w przyszłości zaprząć na usługi

człowieka w dziedzinach, o których nikt przed nim nie myślał nawi. Jemu to przecież zawdzięczamy światło elektryczne w obecnej postaci, telefon i gramofon. Można by powiedzieć o Edisonie, że rozproszył mroki nocy, a unicestwił odległość.

Szanowny nasz gospodarz, mówiąc o tych wynalazkach, wyraził się, że chce zrobić coś dla każdego organu zmysłowego człowieka. W każdym razie zrobił wiele dla ucha, ust i oka.

W r. 1889 zrobił dla tego ostatniego coś więcej jeszcze, budując pierwszy aparat filmowy, który z dniem każdym



Piękny posąg z brązu, zdobiący mieszkanie Edisona



„Proszę mi powiedzieć coś bardzo zabawnego” mówi Edison

wydoskonała się. Odkrycie to opiera się, jak wiadomo, na tej znanej zasadzie, że siatkówka oka ma własność zatrzymywania brazu przez pewien czas ($\frac{1}{10}$ sek.), nawet po zniknięciu przedmiotu. Jest to t.zw. *poobraz*. Zjawiskiem tem spotykamy się ciągle w życiu codziennym. Już jako dzieci bawiliśmy się w ciemnym pokoju, rozżarzonym węgielkiem, przyczepionym na drucie. Poruszając nim szybko, otrzymywaliśmy linję krzywą ciągłą np. koło. Jeżeli więc każdy ruch człowieka, czy samochodu np. rozłożymy szybko przesuwającymi się kliszami fotograficznymi na szereg obrazów, a następnie taśmę z pozytywami przesuniemy przed ekranem, to otrzymamy identyczne zjawisko do kręconego węgielka. Któż nie pamięta pierwszych trudności kinematografu, na ekranie którego trzęsły się obrazy, jak automobil po warszawskich brukach. Trudności te, polegające w pierwszej mierze na istnieniu zbyt dużej przestrzemi między szeregi obrazów, starał się Edison stopniowo usuwać. Ostatecznie jednak trzeba coś zostawić dla innych, więc i Edison, doprowadziwszy wynalazek do pewnego punktu, oddał go w ręce badaczy.

W fabrykach swych zatrudnia Edison obecnie 16.000 robotników, ale to się prawie nie liczy. Czy zdolny jest kto powiedzieć, ilu robotników zatrudniają jego wynalazki? Sam kinematograf rozwinął się w tak wielki przemysł, że dziesiątki tysięcy robotników, urzędników, artystów i handlowców znajduje w nim zatrudnienie. A przemysł gramofonów, żarówek i wielu innych wynalazków!

To też, wielki ten człowiek odmawia sobie snu, byle jaknajdłużej pracować. Znaną jest rzeczą, że nigdy nie sypia ponad 4 godziny na dobę. Szesnaście więc godzin pracy! A ileż to razy zdarza się, że i te 4 godziny przesypia na swem biurku, podkładając pod głowę tomy z podręcznej biblioteki, jak się sam przyznaje, najczęściej do tego celu służy mu słownik chemiczny W a t t s'a.

Każdy wynalazek Edisona składa się z kilku, a nawet kilkudziesięciu patentów. Fonograf np. zawiera 40 patentów. Chodzi tu nie tylko o udoskonalenia, ale i poszczególne części zmieniają się szybko w pracowni uczonego. Ciekawości naszej, tyżcej ogólnej ilości patentów, zaspokoić nie może, w każdym razie liczą się na setki.

Edison wkłada w wynalazki całą swoją duszę. Kiedy ma nowy pomysł w głowie, szczególnie zaś, kiedy zaczyna go realizować, wtedy nikogo nie chce widzieć. Zresztą, nie mógłby robić inaczej: wysiłek umysłowy skierowany jest wiecznie u tego człowieka w poszukiwaniu nowego, praktycznego wynalazku. Widzieliśmy go w młodości rzutkim, pełnym inicjatywy, ryzykującym całą swoją chudobę, w poszukiwaniu czegoś doskonalszego. Takim pozostał i teraz, gotów w każdej chwili poświęcić całą swą fortunę dla opracowania nowego problemu dla użytku nauki i ludzkości, dla rozwoju cywilizacji i postępu.

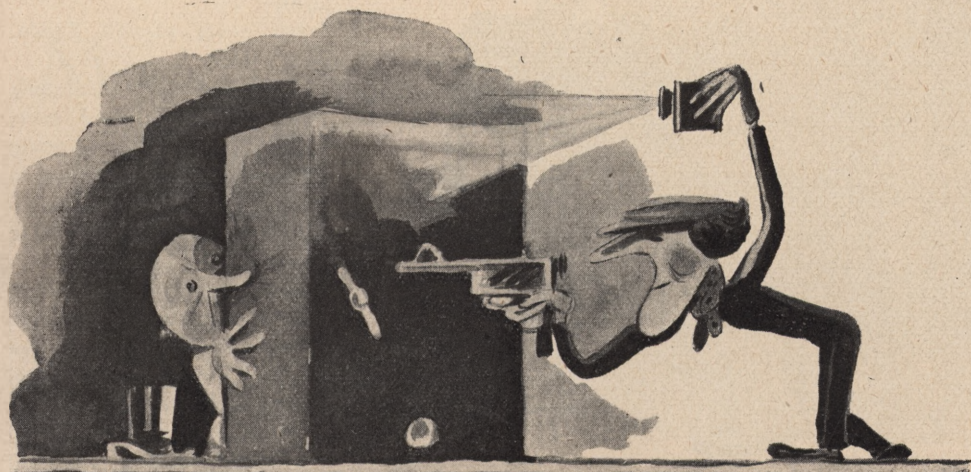
Edison to wielki nieprzyjaciel wojny! Nie w słowach i mówkach pacyfistycznych, nie przez utopijne braterstwo wszechludzkie, ale w czynach, pracując swym potężnym umysłem, celem usunięcia przyczyn wojen, dostarczając ludziom pracy i tworząc im życie znośniejsze, łatwiejsze. Kiedy mówił o wojnie, przybierał nawet ton patetyczny, niebardzo licujący z jego zasadami. „Trzeba stworzyć taką religję ludzkości, aby oparta na trwałych fundamentach rodzin, uniemożliwiła wojnę. Na to trzeba jednak cierpliwości i pracy, dużo pracy. Zniszczyć cywilizację łatwo tylko człowiekowi, który sam nie potrafi tworzyć”.

Godzina, wyznaczona na posłuchanie, minęła, przyjaciel mój, Marshall, spogląda na zegarek i daje znać, że już czas. A szkoda. Z tego starca bije do dziś dnia jeszcze taka energia, że udziela się słuchającym go. To nie głośnie słowa, nie modulacja głosu, ale żywe spojrzenia, a nadewszystko świadomość o dokonanych przez niego rzeczach...

Jesteśmy już w New-Yorku. Nic prawie przez drogę nie rozmawiamy. Dopiero wjeżdżając na peron, Marshall mruga złośliwie okiem: „Nie wiedziałem dlaczego męczyłeś mnie tak długo o wyjednanie ci wywiadu z Edisonem, teraz zaczynam się domyślać, chcesz napisać swym rodakom o człowieku, który pracuje 16 godzin na dobę, dysputuje mało, a zagadnięty odpowiada: „Praca, praca, praca”. Ale, uprzedzam cię, takich nauk ludzie nie lubią”.

New-York, czerwiec 1925.

Copyright in Poland by Jane Stefanska,
All rights reserved, 1925.



UŁZCIWY ZA- ROBEK

Napisał i ilustrował

K. G r u s

Noc i willa w parku.

Wysoki mężczyzna otwiera bramę, potem drzwi frontowe i znika w sieni.

Ukazuje się znowu w pokoju oświetlonym tuż obok żelaznej szafy.

Wziął widocznie klucz nieodpowiedni, gdyż kręci nim długo bez rezultatu.

Przerywa bezowocną czynność, i wyjmując z kieszeni kilka innych kluczyków i za-

puszcza je znowu w zamek. I tym razem daremnie.

Wzrusza ramionami, klnie głośno i przechadza się po miękkim dywanie.

Nagle przystaje, nadsłuchując.

W sąsiednim pokoju słychać brzęk tłuczonej szyby.

Wyjmuje rewolwer, gasi światło i siada w fotelu.

Przez dziurkę od klucza



Drobny człowieczek opuszcza się z rezygnacją we fotel



Wysoki pan zastępuje mu drogę i straszy go rewolwerem

wpada długi zielonkawy świetlny sznurek.

Pan w fotelu klnie szeptem.

Słabiotki skrzyp drzwi. Po ścianach przesuwają się krążki jasno zielone. Myszkuje, zatrzymuje się wreszcie na żelaznej szafie.

Stary drobny człowiek podchodzi do niej kociemi ruchami. W rękę trzyma przyrząd do przepalania blachy.

Zaczyna coś przy nim majstrować.

Wysoki pan powstaje z fotelu, mówi „ręce do góry”, i zapala lampę.

Drobny człowieczek jest bardzo przerażony i chce odejść skąd przyszedł. Wysoki pan zastępuje mu drogę i straszy go rewolwerem.

Proszę siadać! mówi groźnie.

Drobny człowieczek opuszcza się z rezygnacją w fotel i marmocze coś pod nosem.

Chciał pan mnie okraść! mówi wysoki pan głosem bolesnego wyrzutu.

Cóż robić! mówi tamten.

Cóż robić? a uczciwa praca? Fróbować, nie warto!

„Hm! powiedz no pan na ileś pan taksował zawartość mej kasy?”

Na pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

Ani centa więcej? Zgoda, otóż zakład:

O ile w kasie znajdzie się chociażby cent ponad sumę podaną przez pana, alarmuję policję, inaczej otrzyma pan pięćset dolarów. Klucze gdzieś zgubiłem, otworzy pan kasę swymi narzędziami bez przepalania szafy. Ma pan dobrą okazję do uczciwego zarobku.

Drobny człowieczek zabiera się do pracy i po mozolnej półgodzinie otwiera kasę.

Okazuje się, że nie ma w niej ani centa ponad pięćdziesiąt tysięcy.

Świetnie poinformowany!

Wysoki pan i wręcza pieniądze złodziejowi, który przysięga, że więcej kraść nie będzie a wreszcie znika. Wysoki pan narzuca szybko elegancki płaszcz, kładzie na stole kartę wizytową, gasi światło i wychodzi.

Na karcie wizytowej czytamy: John Pick włamywacz.

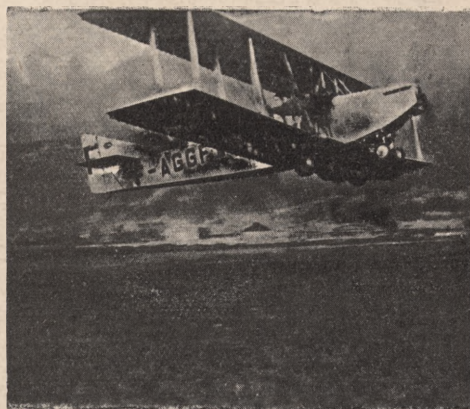


...i uychodzi przez okno niedomknięte przez złodzieja

Mój lot przez Alpy

Napisała

Zofja Gużkowska



Paryż, godzina 6 rano. Słyszę trąbkę samochodu Międzynarodowego Towarzystwa Lotniczego, który zajeżdża po pasażerów. Znoszę czempredziej kuferek i w drogę na lotnisko Bourget.

Paryż jeszcze uśpiony. Szybko mijamy ulice puste o tej porze. Ostatnie spojrzenie w stronę Sekwany, Notre Dame, tętniącej w błękitnej mgie. Już mijamy dzielnice robotnicze, szare, budzące się zaledwie. Po dwudziestu pięciu minutach doskonałej jazdy dojeżdżamy nareszcie do Bourget. Jest to jeden z największych portów lotniczych, na którym przewijają się codzień samoloty sześciu kompanij, obsługujących Anglię i kontynent. Widziałam któregoś dnia jednocześnie nieomal lądujące aparaty z Amsterdamu, Zurichu, Brukseli i Londynu. Frekwencja ogromna. Z samolotu Imperial Air-Ways (2 motory Rolls Royce), nie licząc kilku businessmenów, wyszły trzy uśmiechnięte Angieleczki w jasnych strojach po południowych. Może wprost z Londynu podąża na five o'clock do Ritza?



Startujemy o 5-tej po południu z Innsbrucku

Teraz na lotnisku czekają już na nas dwa samoloty, odchodzące do Zurichu o 7-ej rano. Duży trzymotorowy Caudron, ten, co zeszedł zimy z Paryża do Moskwy odważył się pofrunąć — i mała Berline Spad jednomotorowa 400 HP. To mój aparat ulubiony! Siedzę koło pilota. Widok mam rozległy, powietrza moc. Obserwuję wysokość i kierunek aparatu i śledzę na mapie przebytą drogę, — to prawdziwy sport! Już czas wsiadać. Po drabince wspinam się do kabiny pilota, trochę akrobatyki, wreszcie lokuję się w foteliku trzcinowym, przywiązuję pasem okulary na oczy i w drogę! Już motor z warczeniem porywa śmigie w szalonym pedzie, chwilę jedziemy po terenie lotniska, niepostrzeżenie samolot odrywa się od ziemi, szybując coraz wyżej. Z Paryża do Zurichu jest 475 km,

przestrzeń tę przelewuamy w cztery godziny. Krajobraz francuski pogodny. Mijamy Coulommiers, żyzną dolinę Aube, lasy wspaniałe, z których jeden nosi nazwę „Wielki Wschód” — czyżby w związku z masonerją?

Przecinamy błękitne wstęgi rzek Marny, Saony i Meusy. Krajobraz staje się falisty, przed nami majaczą we mgle Wogezy. Coraz wyraźniej rysują się szczyty. Pilot pokazuje mi punkt jeden na horyzoncie i na mapie, to Hartmanswiller! niedaleko Belfortu niewielki szczyt (956 m), o który toczono wiele bitew krwawych czasu wielkiej wojny. Ponoć 100.000 walczących zginęło na tej placówce, którą Niemcy za wszelką cenę chcieli zdobyć. Mój pilot opowiada mi szczegóły walk, których był świadkiem, ale oczywiście

Zabieramy dwóch pasażerów i ruszamy dalej do Zurichu. Pogoda wymarzona, tylko lekkie obłoczki przysłaniają śnieżne szczyty. Przed naszymi oczami rozłacza się wspaniała panorama Alp. Mijamy Aar, który jakoś widziany z góry nie „spada błękitnymi wody” ale szaro snuje się wśród doliny. Lecimy nad jeziorem Zurichskim, wreszcie po 20 minutach dojeżdżamy do Dübendorfu, aeroportu Zurichu. Jest to wojskowe lotnisko urządzone wzorowo, cywilne aparaty są zaledwie tolerowane, a pasażerowie po wyjściu



Przed naszymi oczami rozłacza się czarująca panorama Alp

nie opowiada podczas jazdy, taki jest bowiem hałas od motoru, że wogóle do siebie mówić niepodobna. Z pilotem koresponduję, podając mu papier i ołówek. Aparat dobrze „zrównoważony” obejść się może chwilę bez kierowcy.

Już mijamy Ren, wijący się lekko, otóż i Bazylea, nasz pierwszy etap. Kołujemy nad Renem, zniżamy lot, mam wrażenie, że lada chwila musielimy wodę, wreszcie o kilkadziesiąt metrów od brzegu Renu dotykamy ziemi. W Bazylei $\frac{1}{2}$ godziny postoju. Dolewają benzyny do rezerwoarów, przez ten czas oglądam lotnisko z urządzoną estetycznie, zaopatrzoną w pisma zagraniczne restauracją.

z samolotu natychmiast muszą się udać do specjalnego cywilnego budynku, pilnie strzeżonego. Dzięki protekcji mogę rzucić okiem na całość lotniska. Przy bramie wjazdowej stoi obelisk, poświęcony pamięci zmarłych lotników, odwracam się od przykrego widoku, brr... z drugiej strony patrzy na mnie z fotografii spowitej w krepę żałobną twarz lotnika zabitego przed kilku dniami. Trzeba przyznać, że to pomysł trochę makabryczny, mało zachęcający dla podróżnych. Nie tracę jednak animuszu, wierząc w moją dobrą gwiazdę. Czeką mnie teraz najcięższa przeprawa: lot z Zurichu do Innsbrucku przez Arlberg, lot wśród Alp między szczytami o wy-



Przerazający w swej grozie świat lodowców tnie w tej chwili w oślepiającym słońcu

sokości 2700 — 3200 metrów, wśród których trzeba zręcznie lawirować. Mechanicy pracują jeszcze przy motorze naszego samolotu Berline Spad 400HP, który po drodze wszak nigdzie nie będzie mógł lądować, bo wszędzie skały i wąskie urwiste doliny. Drogi tej nie przebył jeszcze żaden pasażer, a tem więcej pasażerka, jestem więc pierwszą! emocja wielka, tembardziej, że mały samolot zdaje się taki bezsilny wobec tych olbrzymów alpejskich.

Szybko wznosimy się na 3000 m. (na co organizm wcale nie reaguje). Przerazający w swej grozie świat lodowców tonie w tej chwili w osłepiającem słońcu. Pomimo tej wysokości jest nam zupełnie ciepło w zwykłych podróżnych ubraniach.

Mijamy szczyty Kurfirsten, które osłaniają cudne jezioro Wallensee. Na lewo wyrasta grupa Säntis (2720 m), na którą rzuca nas teraz niespodzianie fala wiatru, ale świetny pilot Hanin wymyka się i zręcznie lawiruje pomiędzy szczytami. Przecinamy Ren, w oddali mający jezioro Badańskie, mijamy Feldkirch, jesteśmy już nad Austrią. Suniemy nad doliną Klostertal w stronę Arlbergu. Pilot pisze:

„Pokażę pani lawinę o grubości 20 m. śniegu!” — Czekam. Tymczasem wskazuje mi uprzejmie nazwy szczytów, które notuję: Claidy, Tödi...

Oto dolina Alfenz, zbliżamy się do Arlbergu, tej przeszkody, którą mamy wziąć na naszym powietrznym rumaku. Z dwóch stron piętrzą się olbrzymy górskie, dech zamiera w piersiach z wrażenia, a może i z trwogi? Jeszcze chwila — i mijamy Arlberg, tak jak minęliśmy inne szczyty, doliny i jeziora. I zastanawiam się dlaczego właśnie w tym momencie odczułam tak silnie grozę sytuacji. Wszak na terenie Szwajcarii i Tyrolu każde miejsce równie jest niebezpieczne, jeśli motor odmówi posłuszeństwa.

Pilot wskazuje mi ową sławną lawinę, istotnie ściana sunącego śniegu niewiarogodnej grubości, ale dla nas wędrowców powietrznych nie groźna. Mijamy Landeck, przed nami szczyt Tchirgant 2359 m., na który wciąż kierujemy aparat, u stóp naszych wije się wstęga Innu. Już omijamy Tchirgant, znów szamotani wiatrem. Oto Imst w dole. Jeszcze chwila i pilot wskazuje mi w oddali w głębi doliny Innsbruck, cel

naszej podróży. Co za rozległa panorama! Na lewo Niemcy (koło Scharnitz), na prawo dolina ku Italji. Śnieżne szczyty całe w diamentach zamykają horyzont. Jeszcze kilka minut, w bliskości przepastnych gór i ukazuje się pod nami Innsbruck, jakże malowniczo rozłożony w dolinie! Zniżamy lot i dojeżdżamy do Innsbrucku po półtoragodzinnej jeździe z Zurichu (9 godzin pośpiesznym pociągim).

Lotnisko w Innsbrucku jeszcze prowizoryczne, hangary z drzewa, setki cieśli pracuje, robota wre. Pierwszą osobą, która zawsze wita pasażera, wysiadającego z samolotu, to żandarm, odbierający pasport. Dowiaduje się o możliwości dalszej podróży do Wiednia. Jest aparat Caudron, który tylko czekał na nasze przybycie i już zabiera się do odlotu, więc chwila rozmowy z szefem lotniska i o 3-ej pp. startujemy z Innsbrucku. Linja Innsbruck — Wiedeń jeszcze nie otwarta dla pasażerów. Wiozą tylko pocztę i dużą ilość pak. Jadę kontrabandą (jako 60 kg. substancji organicznej). Tym razem w zamkniętej kabinie 6 osobowej, w wygodnym fotelu, przez okna przyglądam się cudnym krajobrazom, nie ustępującym co do piękna i grozy widzianym poprzednio w drodze przez Arlberg. Teraz jednak w kabinie 900 konnego potwora czuję się jakoś pewniej, to znów iluzja, której niestety przeważnie poddajemy się.

— „Chce pani wejść na górę”? woła mi nad uchem mechanik, stale towarzyszący pilotowi w aparatach wielomotorowych. „Teraz będzie bardzo pięknie”. Skwapliwie korzystam z wyjątkowej propozycji i po karłowatym wspinaniu znajduję się obok pilota i nie wiem już na co patrzeć, czy na te kilkadziesiąt przyrządów altymetrów, termometrów i innych metrów, których jest po trzy dla każdego motoru, czy na istotnie urocze krajobrazy, przesuwające się tak szybko niestety przed oczami.

Minęliśmy Salzburg, gdzie obecnie przygotowuje się aeroport pomocniczy. Lecimy teraz nad jeziorami Mondsee, Kammersee, Traunsee. Takie cudne drżące wody w pałacowych odcieniach, obrzeżone turkusem niby modne malowanie. A dalej góry fioletowe, góry śnieżne; oczu oderwać nie można od tych piękności, które chciałoby się zatrzymać w pamięci jaknajdłużej. Powoli krajo-

*Grupa Finsteraarhornu*

braz staje się podgórski, wreszcie (po 4 godzinach) dolatujemy do lotniska Wiedeńskiego w Aspern.

Kochany stary Wiedeń, rozbrzmiewający setkami orkiestr i walców skocznych! Mnie w uszach grają jeszcze trzy motory samolotu, więc na razie nieczuła jestem na subtelniejszą muzykę...

Z Wiednia do Warszawy mam dwie możliwości aeroplanowe: Aeroloyd na Kraków francuską

kompanię — na Pragę. Wierna przyjaźni franko - polskiej wybieram tę ostatnią drogę, temwięcej, że nęci mnie odwiedzenie złotej Pagi. Przejazd z Wiednia do Pragi monomotorem „Potez” to spacer miły:

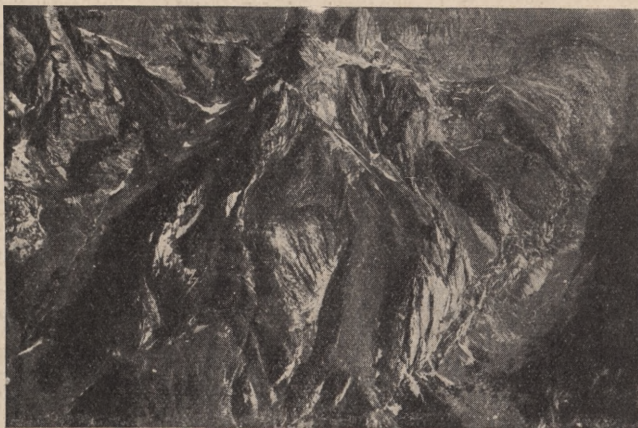
przyglądanie się po drodze starym zamkom, takim małym śmiesznym jak zabawki. W Pradze jesteśmy w półtorej godziny. Błądząc po uroczych zaułkach pełnych tajemnic i cudów architektonicznych. Nad miastem góruje stary Hradczyn, cały różowy od blasku zachodu...

Nazajutrz o świcie wyruszam w dalszą drogę do Warszawy aparatem Spad. W Pradze ciepło, słońce. Po godzinie jazdy wiatr północny napędza chmury, deszcz zaczyna siec w twarz i towarzyszy nam już do Warszawy. Jedziemy na Katowice. Ze wzrusze-

niem witam polską ziemię i konstatuje, że dymy kopalń i fabryk zatruwają powietrze nawet na wysokości 600 m. Powoli krajobraz robi się coraz monotonna, deszcz tnie coraz mocniej. Doskonały pilot Polak drwi sobie z nieprzyjemnej aury i w świetnym czasie 4 godzin dojeżdżamy do Warszawy.

Ileż mocnych i wspaniałych wrażeń dała mi ta droga powietrzna z Paryża przez Alpy. Poznałam wszystkie typy samolotów pa-

sażerskich Międzynarodowego Towarzystwa Lotniczego, nawet owego słynnego „Jabiru”, który nosi nazwę afrykańskiego ptaka i jak ptak ma tylko dwa skrzydła (jednopłatowiec), ale zato 3 motory 300 konne! Imponu-



Łańcuch gór „Sautiskette”

jącym tym samolotem przebyłam przestrzeń Zurich—Paryż. Doznałam nad samą prawie Warszawą wrażenia Alp nie'edwie, gdy wzbiwszy się na 3000 metrów mieliśmy pod sobą góry śnieżnych obłoków, a motor zaczął trochę marznąć...

Tyle wrażeń! I pomyśleć, że nie tak znów bardzo dawno, jakieś 15 lat temu stawałam na ulicach Paryża i przyglądałam się ciekawie pierwszym nieśmiałym próbom lotniczym, nie przypuszczając, że kiedykolwiek uniosę się sama w podniebne sfery i to nad Alpami!

Olbrzymy i karły roślinne

Napisał

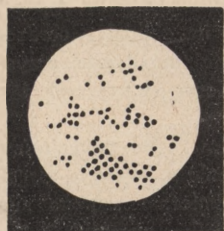
S t. B e ł ż e c k i

W czasach odległych, kiedy jeszcze przyroda kryła przed ludzkim okiem cud swego istnienia, człowiek, nie mogąc świata poznać, starał się go wymyślić. Wówczas to naiwna wiara ludów starożytnych wypełniła lądy i morza bajecznymi i mitologicznymi tworam fantazji, jak lewjatany, chimery, smoki skrzydlate, hydry lerneńskie, różne demony, potwory i straszdyła morskie, centaury, trytony, meluzuny, morskie dziewice, hypokampy, cyklopy i t. p. Fantazja podróżników w okresie wielkich odkryć geograficznych stworzyła najdziwniejsze istoty o najniedorzeczniejszych własnościach i zaludniła niemi dalekie kraje.

Wykonując telepatyczne salto mortale w tę mglistą dal przeszłości, zobaczymy na

rubieżach czasu i horyzontach przestrzeni, wśród puszczy nieprzebytych, w samym sanktuarjum przyrody, jak celebrytuje swe misterja osędziały Światowid i popędliwy Perkun Gromobój; zobaczymy, jak wśród drzew o pniach kołtunowatych i z sędziwości brodatych przechadza się nasz Waligóra z Wyrwidębem, dwaj polscy Goljaci, którzy swe nielegalne poczęcie zawdzięczają uczynnej matce fantazji, oraz dwom ojcom, z których jeden, jakiś Wajdelota, tchnął w nich dech żywota, a drugi wlał w ich żyły czarny atrament i osadził ich za górami, za lasami.

W bajkach, w tych prymitywnych wykładnikach myśli ludzkiej, odzwierciedla się niekiedy cały przyrodniczy światopogląd zamierzchłych wieków i ludzi.



Gronkowce
topotwórcze



Paciozkwce
topotwórcze



Błonica



Gruzlica



Tęzec



Tyfus



Wąglik



Cholera

Bakterje (powiększone 1000 razy)

W miarę przyrodniczego poznawania świata, a raczej z chwilą, kiedy w gospodarkę przyrody wmieszała się zachłanność człowieka, cały ten świat druidyczny przeszedł do baśni, wskrzeszany czasem w opowieściach Nemrodów. Do pieśni już przeszły nawet niedawne i rzeczywiste Mickiewiczowskie Baubliszy, „w których ogromie, wiekami wydrażonym, jakby w dobrym domu, dwunastu ludzi mogło wieczerzać za stołem”.

Proces przetwarzania się świata roślinnego jest w rzucie historycznym szybki i nieodwracalny.

W krajobrazie, jak w organizmie żyjącym, zachodzą ciągle zmiany. Krajobraz żyje, przestarcza się, odmładza i starzeje. Rośliny, ja-



Caulerpa (wielkość naturalna)

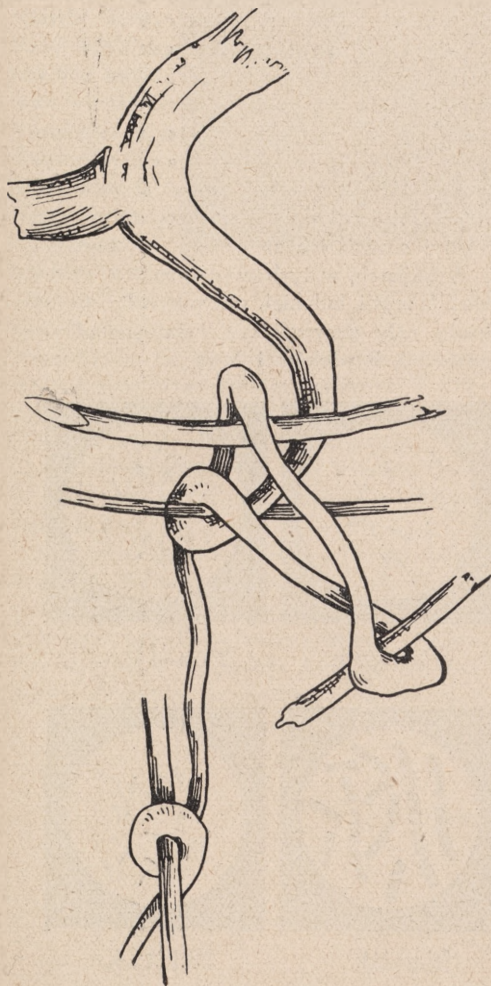
ko żywe elementy krajobrazu florystycznego, walcząc o miejsce pod słońcem, zwyciężają lub giną, rugują inne formy, lub same są wypierane. Przytem nie zawsze największy bywa najmocniejszy i najodporniejszy. Najczęściej bywa właśnie odwrotnie.

Z postępem nauk przyrodniczych poznano dzisiaj wiele nowych form roślinnych, z których jedne pod względem swych mikrowymiarów w zdumienie nas wprowadzają, zaś drugie pod względem swego ogromu i dziwacznych kształtów jakby odtwarzały dawny świat fantazji i stwierdzały, że jednak bajki, te zwidy imaginacji, pociągające powabem niedorzeczności, jakby na przekór zasadzie, że „świata nie można wymyślić”, posiadają wiele pozorów „powieści z prawdziwego zdarzenia”, zwłaszcza, o ile chodzi o obrazowe przedstawienie szerokiej możliwości przystosowań i zmienności form zwierzęcych i roślinnych.

Oto kilka przykładów. Do najmniejszych ustrojów roślinnych należą *bakterje*. Organizmy te cechuje niezmiernie szeroka skala wytrzymałości na wszelkie warunki życiowe, a co za tem idzie i ich niezwykle rozpowszechnienie.

Te mikroorganizmy osiadają często na monetach i banknotach, będących w obiegu. Niemiecki badacz K. Kiefer zbadał ilość bakterij na używanych banknotach papierowych i znalazł ich od 13 do 143 tysięcy na jednym banknocie. (Rys. 1).

Bardzo silne mrozy jak i bardzo wysoka temperatura zabija bakterje; mimo to w trąbie kopalnego mamuta, pochodzącego z dawniejszych okresów geologicznych, a odgrzebanych w r. 1908 w lodach na Syberji, znaleziono żywe bakterje, Bakterje cholery zno-



Pnącz Uparja z Jawy

wu, według doświadczeń Macfaydena i Rowlanda, nie traciły swej zdolności do życia nawet w temperaturze ciekłego wodoru (— 250 stopni C) w ciągu 10 godzin. O wytrzymałości bakterij świadczą również fakty przytaczane przez S. Arrheniusa, według których w grobach rzymskich z przed 1800 lat znaleziono zdolne do rozwoju bakterje.

Niektóre bakterje wielkością swą sięgają zaledwie 1 mikrona, czyli 0,001 mm i są widoczne tylko przy pomocy ultramikroskopu. Na obwodzie jednej złotówki polskiej może usadowić się obok siebie około 150 milionów takich bakterij. Wszystkie one w 10 kropkach wody pływałyby swobodnie jak ryby w obszernym stawie. Gdyby każda z nich wielkością swą dorównywała średnicy tejże monety, to wszystkie razem ustawione w jeden szereg, opasałyby całą Polskę dokoła wzdłuż jej granic (około 4.000 klm.).

Największą jednokomórkową rośliną, podobnie jak bakterje, jest wodorost morski, *pełzanka* (*Caulerpa*, rys. 2). Chociaż niektóre części tej rośliny przyjmują kształty liści, łodyg i korzeni, a nawet spełniają czynności tych organów, to jednak cała ta roślina jest tylko komórczakiem, ponieważ nie jest zróżnicowana na komórki i tkanki.

Największym z glonów wielokomórkowych jest sławna brunatnica, *wielkomorszcz* (*Macrocystis pyrifera*). Jej maksymalny wzrost dochodzi (według F. R. Kjellmanna) do 200 m. długości. Rozrasta się ona poziomo nod zwierciadłem płytkich mórz, podtrzymywana przez wydęte pęcherze pławne u nasady liści. Żyje w południowych oceanach, między Ziemią Ognistą a Nową Zelandją.

Imponujące te wymiary glonów prześcignęły jednak rośliny lądowe, mianowicie *lżany* czyli pnącza, których długość dochodzi do 250 m. Lżany są to formy biologiczne o bardzo specyficznych przystosowaniach do środowiska i specjalnych warunków życia. Towarzyszą one zawsze cienistym i gęstym lasom tropikalnym archipelagu Malajskiego, w Indjach, w kotlinie Kongo, nad Amazonką, w Meksyku i wogóle występują tam, gdzie lasy wiecznie zielone obfitują w niezmierzone bogactwo form roślinnych, walczących ze sobą wzajemnie o światło i przestrzeń. Spajając olbrzymimi splotami gałęzie i drzewa, tworzą zielone festony, cieniste altany, łuki i aleje. Pomagają sobie przytem wydosko-

nalonym aparatem chwytym, jak wasy, włoski, kolce, korzenie chwytne, liście i gałązki wrażliwe, przylgi i haki w kształcie kotwic i harpunów. (Rys. 3). Przy pomocy tych środków tak się utwierdzają i splatają z drzewem-podporą, że tworzą ze swym symbiontem jakby jeden organizm. A kiedy już wzniosą się ponad korony sąsiednich drzew, wtedy na świetle bujnie się rozrastają, rozwijają swoje listowie i kwiaty, zagłuszając często swoją żywą podporę.

Do najokazalszych olbrzymów roślinnych z pośród form drzewiastych należą eukaliptusy i sekwaie (rys. 6).

Eukaliptusy (rozdreby, gałkodrzewy) przynależne do rodziny mirtowatych, zostały od-



Siaśmiona łodyga lżanu Bauhinja

kryte w r. 1791 przez francuskiego przyrodnika De Labillardier'a. W Australji i Tasmanji tworzą one wspaniałe lasy, opisywane z zachwytem przez podróżników. Z pośród licznych gatunków najpotężniejszych rozmiarów co do wysokości dosięga *Eucalyptus diversicolor*. Spotykano osobniki tego gatunku do 157 m wys.; niektóre zaś okazy z gatunku *Eucalyptus amygdalina* dochodzą do 152 m wys., przy 11 m średnicy. Potężne pnie stoją opodal jeden od drugiego jak gdyby z rozmysłem były zasadzone. Pnie te dopiero na wysokości 60—100 m rozgałęziają się i wygląda to jak gdyby kto naszą lipę wysadził na wyniosły słupiec palmowy. Pomimo tego korony eukaliptusów, jak wogóle większość drzew australijskich, bardzo mało rzucają cienia, ponieważ liście na długich ogonkach zwisają wprost prostopadle do ziemi. Liście eukaliptusów są przytem twarde, jak pergamin, barwy sino-zielonej, drżące jak u naszych topoli i silnie aromatyczne.

Szybkość wzrostu eukaliptusów jest również rekordowa. Według Haberlandta *Eucalyptus albus* po 3 latach dorasta 15 m wysokości, zaś dziesięcioletni *Eucalyptus globus* posiada już rozmiary 100-letniego dębu. Drzewo tego ostatniego gatunku jest bardzo twarde, bez sęków, łatwe do obrabiania, dobrze się konserwuje w wodzie słodkiej i słonej, dlatego nadaje się szczególnie do budowy wodnych i statków żeglarskich, tem więcej, że można z tych drzew obrabiać deski do 100 m długie.

Po eukaliptusach najpotężniejszymi drzewami na ziemi są kalifornijskie sekwoje czyli sławne drzewa mamutowe (*Sequoia gigantea* i *S. sempervirens*, rys. 4). Rosną one na zachodnich zboczach gór Sierra Nevada w Kalifornji, pośród lasów szpilkowych, na wysokości 1600 — 2000 m. Zostały one odkryte

przez angielskich podróżników (Lobb i Woost) w r. 1850. Nazwę dzisiejszą tym olbrzymom nadał botanik Endlicher na cześć półkwi Indjanina Sequoia, który dla swego szczepu ułożył alfabet i język piśmienny.

Kalifornijscy poszukiwacze złota nadali poszczególnym osobnikom różne nazwy, jak np. „Siwy Olbrzym“, „Stary Kawaler“ itp. Największym znanym osobnikiem, dziś już obalonym, był „Ojciec lasu“ (Father of the Forest), sięgający 145 m wysokości i mierzący blisko 12 m średnicy w dolnym pniu. Drzewo to padło w 1853 r. Jeden z okazów sekwoi o grubości 30 m w obwodzie wznosił się akurat na linii projektowanej szosy. Przebito tedy po wandalisku w pniu olbrzyma tunel, przez który obecnie odbywa się wygodnie ruch kołowy.

Obecnie sekwoje podlegają w Stanach Zjednoczonych Amer. Półn. prawnej i społecznej ochronie w t. zw. parkach narodowych, których obecnie Stany Zjedn. posiadają 19^{*)}.

Park natury Yosemite w środkowej Kalifornji, oznaczający się niezwykłą malowniczością krajobrazu, chroni wspaniałe lasy z największych drzew na świecie, między innymi i sekwoje. Dla zachowania jednak większej ilości tych olbrzymów został stworzony w r. 1890 niedaleko osobny rezerwat Sequoia-Park na przestrzeni 252 mil kw. ang. Park ten posiada wśród rozległych lasów i malowniczych skał 12,000 okazów tych drzew, wśród których jest dużo okazów o średnicy od 8 do 11 metrów. W sąsiednim rezerwacie General-Grand-Park zachowuje się wraz z całym leśnym otoczeniem jeden z największych obecnie żyjących okazów gatun-



Drzewo mamutowe

*) B. Hryniewiecki. Rezerwat czyli „parki narodowe“ w Stanach Zjedn. Am. Północnej, Ochrona Przyrody. Zesz. 3,



*Sosna japońska sztucznie skąrlata
(uedług Molischa)*

ku Sequoia, nazwanego na cześć generała Granta, o wysokości 80 m i średnicy 10,5 m.

Wiek tych olbrzymów, według dokładnych badań J. G. Lemmona, nie przekracza 1500 lat życia. Z wycinka jednego pnia obliczono w Berlinie wiek drzewa na 1,387 lat. W muzeum Nowojorskiem jest pień sekwoi, której wiek obliczono według stojów na 1,352 lata. Na pniu tym zaznaczone są różne daty historyczne, a więc rok odkrycia Ameryki, wynalazek kompasu, różne wielkie wojny i zdarzenia historyczne.

Zadziwiającym jest fakt, że tak olbrzymie drzewa wytrzymują przez tyle wieków wszelkie kataklizmy i burze, trzęsienia ziemi, pożary i chciwość człowieka. Odporność swoją prawdopodobnie zawdzięczają w znacznej mierze tej właściwości, że nie podlegają chorobom, że w świecie roślinnym i zwierzęcym nie posiadają wrogów, zaś przed ogniem chroni je niezapalna żywica.

Do drzew, odznaczających się olbrzymią grubością pnia, przy nieznacznej stosunkowo wysokości, należy baobab (*Adansonia digitata*) i dracena (*Dracaena draco*). Oba gatunki tych drzew odznaczają się przystem zdumiewającą wprost długowiecznością (rys. 5).

Baobab, czyli drzewo ślazowe pochodzi z Afryki (Senegambia, Sudan) i otrzymało swą nazwę na cześć sławnego botanika francus-

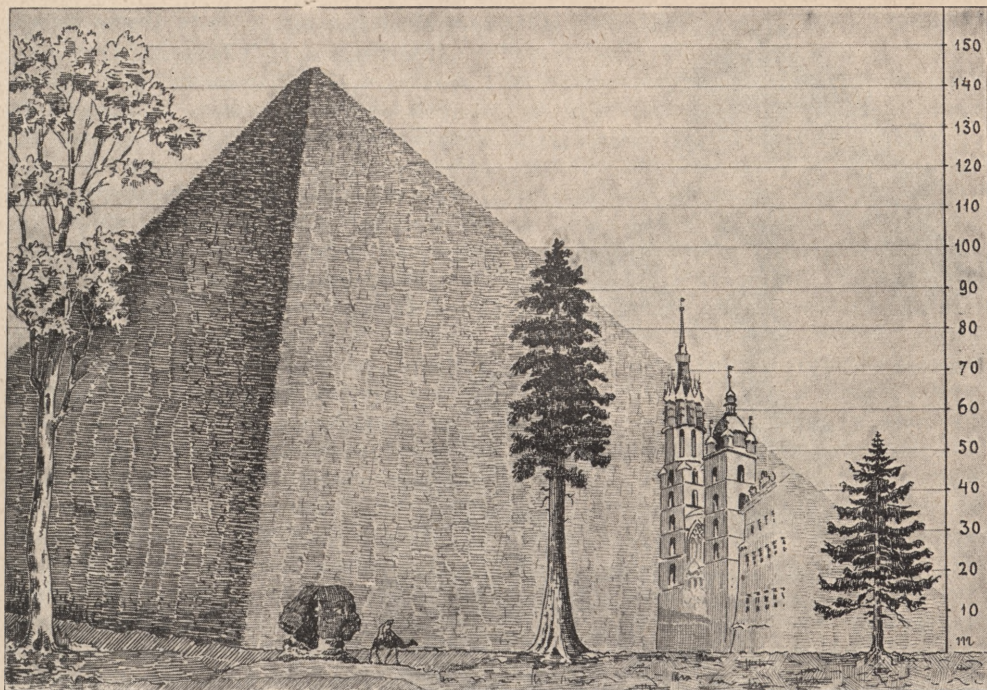
kiego M. Adamsona, który to drzewo pierwszy odkrył na wyspach Zielonego Przylądka i opisał w r. 1749. Największe znane osobniki posiadają 9,5 m średnicy, a 23 — 30 m wys. Wiek tych drzew ocenił Adamson na podstawie rocznego przyrostu na 5,150 lat. Inni botanicy obliczają wiek niektórych osobników na 6,000 lat, co jednak wydaje się nieco przesadzone. Owoce baobabu w kształcie melonów są znane jako „małpi chleb” i są jadalne.

Dracena, czyli drzewo smocze, jest również drzewem egzotycznym i bywa u nas hodowana w cieplarniach, jako roślina ozdobna. Jeden osobnik na wyspach Kanaryjskich, mierzony jeszcze przy odkryciu tych wysp w r. 1402, a następnie w r. 1799 i w r. 1843 przez późniejszych podróżników i przyrodników, miał przy wszystkich trzech pomiarach 24 m wysokości i przeszło 10 m średnicy. Egzemplarz ten, świadek wielu tysiącleci, został w r. 1868 obalony przez huragan.

Z innych drzew egzotycznych, odznaczających się niezwyklei rozmiarami, należy



Drzewo smocze (z Teneryffy)



Eułaliptus, piramida Cheopsa, sekwoja, wieża kościoła Marjackiego, świerk

jeszcze wymienić figę świątynicową (*Ficus bengalensis*) z Indyj wschodnich. Drzewo to jest epifitem, t. j. poroślem, rozwijającym się na innych drzewach. Nasiona jego, roznoszone przez ptaki, kiełkują na gałęziach drzew, następnie w miarę wzrostu, rośliny te wytwarzają korzenie powietrzne, które, rosnąc szybko ku ziemi, wrastają w nią, grubieją i podpierają rozrastające się już o własnych siłach drzewo. Ilość takich podpór może wynosić nawet kilkadziesiąt. Wyrastając z gałęzi, umożliwiają one drzewu zajęcie niezwyklej przestrzeni i wytworzenie gęstych i cienistych koron. Pod taką koroną bez

pnia, a opartą tylko na grubych korzeniach, może się schronić nawet cała wioska indyjska. Drzewo, na którym taki intruz wyrósł, z czasem obumiera i zanika.



Dziecko stojące na liściu Victoria regia

Z traw największych rozmiarów dosięgły bambusy. Trawy te na Jawie i Cejlonie dochodzą do 40 m wysokości i jednej trzeciej metra grubości.

Stałej wielkości ani wielu poszczególnych gatunków drzew nie można w pewnych liczbach określić. Każdy jednak gatunek posiada pewne maksimum wzrostu i trwania, poza które tylko wyjątkowe okazy mogą przekraczać.

Prócz wymienionych olbrzymów ist-

nieje wiele jeszcze roślin, których poszczególne organy wzbudzają również podziw swemi niezwyklejmi wymiarami. Z roślin, wykazujących przy najmniejszej stosunkowo wysokości największą grubość, pierwsze miejsce zajmuje ciekawa roślina z pustyni południowej Afryki, zwana *Welwitschia mirabilis*. Przy 10 — 20 cm wysokości mierzy ona 4 m obwodu.

W południowej Azji żyje *Rafflesia* czyli *bukietnica*, która szczyci się największymi kwiatami. Roślina ta rośnie na korzeniach i pniach drzew podzwrotnikowych i jest pasorzytem o dziwnej organizacji. Zamiast łodygi i liści posiada pewnego rodzaju plechę,



Victoria regia (dorzeczka Amazonki)

pozbawioną chlorofilu. Na wiotkich szypułkach rozwija się olbrzymi mięsisty kwiat, dochodzący niekiedy jednego metra średnicy. Wydaje on woń zgniłego mięsa. Roje much, zwabione tym zapachem, przyczyniają się do zapylania kwiatów.

Największe owoce wydaje pewien gatunek dyni, *Cucurbita maxima*. Owoce jej ważą 100 kg.

Słynny grzybień *Victoria regia* posiada jedne z największych liści. Roślina ta pływa po spokojnych zatokowatych wodach wielkich rzek brazylijskich. Liście jej, najaące około 6 m w obwodzie, mogą udźwignąć żerujące na nich duże ptaki czaplowate. Większe je-



Dracena, czyli drzewo smocze

szcze liście posiadają niektóre palmy. Np. palma *Maximiliana regia* z nad Amazonki ma liście 15 m długie i 3 m szerokie. Inna palma brazylijska *Raphia taedigera* posiada liście do 19 m długie, a 12 m szerokie, do czego doliczyć jeszcze należy ogonki liściowe do 4 m długości. Liście palmy kokosowej dorastają 9 m długości. Pod liściem palmy cejlońskiej, *Corypha umbra culifera* może się kilkanaście osób schować przed żarem słońca. Z pomiędzy roślin o niepodzielonej blaszce liściowej pierwsze miejsce pod względem wielkości liści zajmują abisyńskie banany (*Musa Ense'e*), liście ich mierzą 6 m długości i 90 cm szerokości.

Z przytoczonych przykładów widzimy, że różnica wzrostu i wieku różnych gatunków roślinnych jest olbrzymia. Posługując się regułami mnemotechnicznymi, możnaby stosunek liczbowy najwyższego drzewa na ziemi do najmniejszego organizmu roślinnego (uwzględniając tylko wysokość) wyrazić jak 1 do 157 milionów, t. zn. taka liczba bakterii ustawiona „w słup” dosięgłaby wierzchołka mamutowego drzewa. Gdyby taką samą liczbę najwyższych drzew złożyć na długość, to możnaby tą długością odmierzyć 6-cio-krotnie odległość ziemi od księżyca ($6 \times 385,000$ km).

Z takimi cyframi mógł się spoufalić tylko ten, kto zastanawiał się kiedykolwiek nad stosunkiem niedawnej naszej jednostki monetarnej wobec funta angielskiego.

Wzrost jako jedna z fizjologicznych funkcji rośliny pozostaje w bezpośrednim związku z jej wewnętrzną organizacją i z jej zewnętrznymi warunkami życia. Przez zmianę tych warunków można w pewnym stopniu zmieniać morfologiczne i fizjologiczne cechy rośliny, a więc kształt, barwy, wymiary, intensywność przemiany materji, można nawet skracać, przedłużać, przyspieszyć, lub opóźniać okresy wegetacji. Kultura ogrodnicza polega właśnie na dobieraniu i stosowaniu takich środków, któreby wywoływały w hodowli roślin z góry przewidziany i pożądaný skutek.

Japońscy hodowcy roślin sztukę tę już dawno doprowadzili do perfekcji, a dowodem tego są liczne i piękne odmiany japońskich kwiatów ogrodowych i doniczkowych, podobniejszych nie raz raczej do dzieł sztuki niż do naturalnych roślin. Japończycy jednak



Wielkie ljaný

nie mają zrozumienia dla olbrzymich drzew, natomiast lubują się specjalnie w pielęgnowaniu form dziwaczych i skarlanych.

Zjawisko karłowatości czyli t. zw. „nanizm” jest bardzo pospolity wśród roślin. Niektóre gatunki z rodzaju niezapominajek, rdestów, świetlików i innych, mimo dogodnych nie raz warunków życia, wykazują często skłonność do wydawania bez widocznych przyczyn osobników karłowatych, nawet ze zdolnością przekazywania tych cech dziedzicznie na pokolenia. Rośliny karłowe nie są rzadkością i w naszych ogrodach. Na

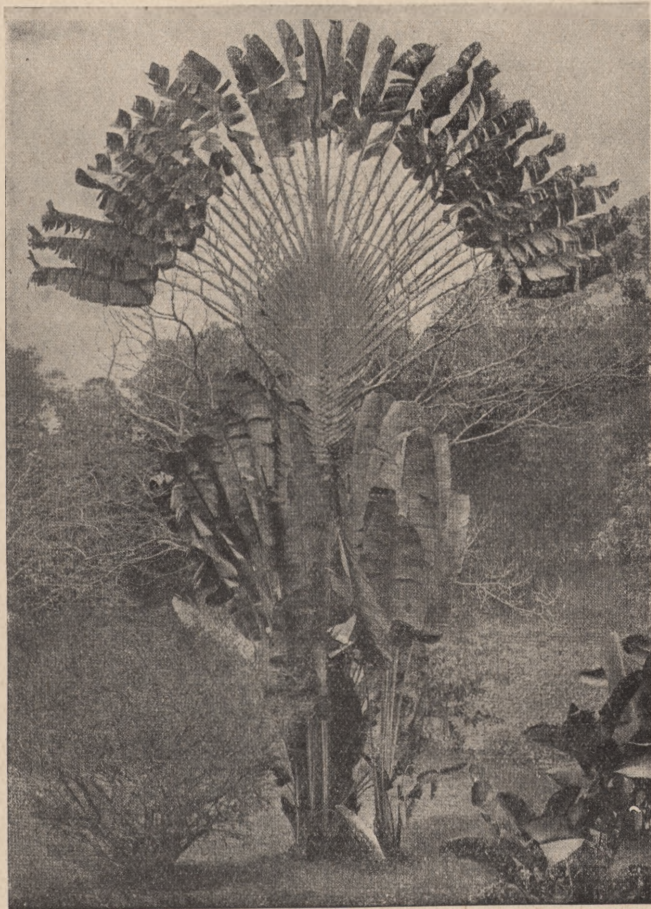
sztucznych skałach hodujemy najczęściej dla celów naukowych rośliny górskie, z których niektóre zredukowały swoje pędy nadziemne do płaskiej rozetki liści, z pomiędzy których wiosną wyrzylają jaskrawe kwiaty. Podślonecznik (*Mesembryanthemum*), roślina z Caplandu z południowej Afryki, tak ludzko podobna jest do kupki kamieni, że trudno ją od nich odróżnić. Kultura ogrodnicza potrafi jednak z roślin wysoko-piennych wydawać formy karłowate i w tej właśnie sztuce pierwszeństwo należy się Japończykom.

Japończycy umieją sztucznymi środkami zmuszać rośliny do skarlłowacenia, najczęściej przez głodzenie. Wydzielając roślinie tylko tyle pożywienia, aby mogła zaledwie wyżyć, redukują wegetatywne funkcje rośliny do minimum, nie pozwalając jej ani żyć, ani zginąć. Przytem wybierają do hodowli najmniejsze nasiona, przy wzroście usuwają korzeń główny, jedne gałązki obcinają, inne skręcają i wyginają, na pędzie głównym wycinają pierścienie kory, obnażają częściowo korzenie z gleby, trzymają rośliny w jak najmniejszych doniczkach z silnie ubitą ziemią i skąpo podlewają. Drzewa z natury silnie rosnące szczepią na dziczkach słabo rosną-

cych, o słabo rozwiniętym systemie korzeniowym, przez co wstrzymują krążenie soków. Ażeby i pokarmy nie były zużywane na wzrost rośliny, przyspieszają jej kwitnienie i owocowanie, przytem pozbawiają roślinę niektórych pąków i liści, aby proces asymilacji zatamować. Roślina, poddana tej barbarzyńskiej kuracji głodowej, maltretowana w

taki rafinowany sposób, okryta bliznami, powykręcana i zeszepeczona jak chińska noga, karłowacieje, lecz żyje. W ten sposób japońscy ogrodnicy potrafią niektóre drzewa owocowe w małych doniczkach hodować przez kilka dziesiątków lat.

Botanik Molisch opisuje widzianą w Yokohamie kwitnącą wisienkę karłowatą. Pień jej metrowej wysokości grubości ramienia był wewnątrz pusty. Zapewniano go, iż drzewko



„Drzewo podróżnicze“ (Madagaskar)

to liczyło 150 lat. Im mniejszy i starszy karzeł, tem cenniejszy dla Japończyka. Drzewka karłowate, wegetujące w ciasnych doniczkach przez okres kilku generacji ogrodników i liczące 100 do 300 lat, nie są wcale rzadkością w Japonii. Sprowadzają je nieraz do Europy dla amatorów. Zdarzały się przytem fałszerstwa metrykalne, których ofiarą padali nieostrożni nabywcy.

Rys. 7 przedstawia japońską sosnę *karłowatą* (*Pinus masoniana*). Chociaż jest tylko na 1 metr wysoka, to jednak może się poszczycić bardzo podeszłym wiekiem. Całe swe życie spędziła w małej i ciasnej doniczce.

Sztuka hodowlana Japończyków, dążąc do wytworzenia sztucznych karłów z drzew z natury wielkich, nie ma ani celów praktycznych, ani naukowych. Pragnie jedynie dogodzić gustom japońskim, objawiającym się w manierze przedstawiania natury w miniaturowych i delikatnych formach dekoracyjnych. I u nas formowanie drzew i krzewów w kandelabry, liry, palmety i t. p. i ustawianie ich

w ogrodach i parkach ze sztucznymi wodospadami, skałami i wyspami, było swego czasu wyrazem mody i dobrego smaku. Każdy dom japoński posiada dużo romantyki.

Naturalne parki przy wielkich dworach i zamkach chciałby Japończyk w zmniejszonej skali przenieść do swoich małych ogródków. Stwarza więc sztuczne miniaturowe krajobrazy i hoduje w nich karły roślinne. W tych „parkach pokojowych” ustawia grotty z tufu, jak się to robi w naszych akwariach i urządza staw, w którym i lilie wodne się kołyszą i łabędzie z brązu pływają i złote rybki się pluskają.

Kobiety wyjeżdżając do górskich okolic
winne pamiętać, że słońce górskie wy-
wołuje przedwczesną siwiznę. Chrońcie
włosy myjąc często Shampoonem — Mira-
culum Doktora Lustra



Dama z Madryckich „sfer”

Hiszpanka

Napisał

Eugenjusz Frankowski

Mam pisać o kobietach Hiszpanji. Przypuszczam, że łaskawy czytelnik będzie oczekiwał mniej, lub bardziej szczęśliwego opisu tej ziemi od innych.

O kobiecie hiszpańskiej jako o jednym typie, mówić niepodobna.

Różnice, jakie istnieją między przedstawicielkami poszczególnych regionów, są tak wielkie, że, porównawczo, te, jakie my znamy na naszej ziemi, między poznanią i wilnianką — są znikome, wprost niedostrzegalne.

Postaram się dać krótką charakterystykę typów zasadniczych, wybitnie różniących się między sobą zewnątrznie, jako też i w usposobieniu psychicznem.

Ale, ażeby zrozumieć zróżnicowanie tak wielkie, na stosunkowo niewielkim obszarze, muszę słów parę powiedzieć o tych przyczynach naturalnych, jakie je spowodowały.

obszarem Europy. Płaskorzeźba powierzchni zróżnicowała cały kraj na szereg odrębnych, nieledwie samoistnych obszarów.

Środek półwyspu zajmuje wyniosłe płaskowzgórze kastylskie, przecięte łańcuchem centralnym, który tworzy jakgdyby kręgosłup półwyspu.

U stóp wyniosłego muru Pirenejów rozciąga się wgłębienie Ebro.

Nową grupę krajobrazową tworzy wgłębienie betyckie z trójkątną doliną Gwadałkwiwiru. To kraj Andaluzji.

Na północy góry kantabryjskie odcinają wąski pas nadbrzeżny od rozległych wyniosłych równin mesety środkowej. Rozczłonowanyw ten sposób półwysep tworzy cztery odmienne prowincje klimatyczne.

W związku z tem i cztery swoiste dzielnice krajobrazowe.

Półwysep iberyjski, położony na krańcach świata, i odgradzony od Europy trudno dostępnym murem Pirenejów, mimo swego rze-



Piękna z Walencji

Przypomnijmy sobie, że półwysep iberyjski po Szwajcarii, jest najbardziej górzystym

komego odosobnienia, był już w czasach prehistorycznych areną wędrówek i walk najróżnorodniejszych ludów.

Jedna taka fala przybyła tu w paleolicie z północy, zdążając wybrzeżem morza kantabryjskiego, druga z Afryki północnej. Następnie temi samymi drogami przybywali tu kolejno, już w czasach historycznych, to długogłowi przedstawiciele ras śródziemnomorskich, Fenicjanie, Kartagińczycy, Grecy, Rzymianie, Maurowie, to znów krótkogłowi przybysze z Europy środkowej: Celtowie, Goci, i t. d.

Z mieszaniny tyłu ras i tyłu ludów rozmaitych urobił się typ obecnego mieszkańca półwyspu. Nie jest on oczywiście jednolity i na poszczególnych obszarach wykazuje przewagę cech odziedziczonych po przybyszach, którzy dłużej bytowali na tej ziemi.

Od niepamiętnych czasów historia półwyspu iberyjskiego — to zbiorowe dzieje poszczególnych dzielnic, które to się łączyły z sobą, tworząc większe zespoły, to rozpadały, żyjąc jednakże zawsze własnem życiem i własnemi obyczajami.

Dziś Hiszpan, będąc wielkim patryjotą, i kochającą wspólną matkę ojczyznę — Hiszpanję, kocha najbardziej swą małą ojczyznę (patria chica), dzielnicę swoich ojców. Jako odrębne regiony wyróżniające się: Galicja, Asturja, Kraj Basków z Nawarry. Obydwie Kastylje, Aragon, Katalonja, Walencja, Murcja, Andaluzja i Estremadura.

Jak na całym świecie tak i w Hiszpanji ludność sąsiadujących z sobą regionów nienawidzi się i wydrwiwa się nawzajem ze szczerego serca.

Kantabryczyk nie znosi Baskijczyka; Aragończyk z pogardą wyraża się o swym sąsiedzie z Nawarry i za nic ma Walencjanina. Kastylczyk mówi o Aragończyku, że jest uparty jak kozioł a łeb ma twardy jak z kamienia, o Walencjaninie, że jest fałszywy, obłudny i podstępny, o Andaluzjczyku, że fantastycznie kłamie i że jest próżniakiem, o Galicjaninie, że skąpy i że się rodzi już z zacisniętą pięścią, o Katalończyku, że pyszałek i przენiewierca, przypisując jego uroczym wpływom nawet przygodne nieurodzaje w polu. O Kastyljczyku starym mówią sąsiedzi, że jest zawzięty i mściwy. Katalończyk

ze swej strony wyklina całą próżnującą podług niego Hiszpanję.

A kobiety? One są niewątpliwie esencją zalet i wad poszczególnych regionów. Są wiecznem pięknem, uśmiechem szczęścia tej ziemi. Są niespodzianym darem nieba. Bo jak kwiat polny, co rozkwita bez niczyjej opieki i jarzy się w słońcu przepychem barw, tak i one, narodzone w zmrokach niewiedzy, pozabawione oświaty, wyrastają na piękne, mądre, pełne osobliwego wdzięku istoty. Ten czar zastępuje im wiedzę. A gdy wyjdą za mąż, nieoświecone, prawie że analfabetki, od prostej wieśniaczki, aż do wysoko urodzonej pani, są jedynemi wychowawczyniami nowego pokolenia.

Skąd się w nich bierze ta mądrość?

Nie wiem. Fakt jest, że są dzielne, mądre i pracowite, i dają ojczyźnie całe swoje życie, nie otrzymując w zamian nic dla swej kultury.

Muszę jednakże zaznaczyć, że i w dziejach Hiszpanji złotemi zgłoskami zostały zapisane nazwiska wielu światłych, wielkich kobiet.

A teraz po tym wstępie, przyjrzyjmy się kobietom poszczególnych regionów.

Ta szeroko na świecie osławiona, legendarna piękność hiszpańska, gwałtowna i namiętna Carmena, z nieodłącznym sztyletem za pończochą — to Andaluzjka. Rzecz oczywista, że przy bliższem ich poznaniu, tę opinię przypomina się ze śmiechem. W Andaluzji spostrzegamy dwa odmienne typy kobiet.

Jeden typ piękny, drobny, o delikatnej budowie kości, z wydłużoną głową i twarzą, z wąskim, kształtnym noskiem, czarne, wielkie, wilgotne oczy, przysłonięte długimi rzęsami, a dokoła oczów ciemne okolnice, jak na starych bizantyjskich obrazach. Prawie wszystkie są ciemne brunetki o matowej cerze brzoskwini. Ale ta ciemność jest jakaś złocista, rozjaśniona, przypominająca urodę wenecjanek. W Granadzie, wśród mieszkank Albaicinu spotyka się typ osobliwy. Kobiety o cerze bardzo jasnej, z oczami ciemnymi i włosom czarnym, jak heban.

W Huelwie przeważają kobiety o oczach afrykańskich i barwie skóry kreolek.

Okres najpiękniejszego rozkwitu kobiet tego typu przypada na lata od 12 do 25.

Drugi typ, mniej piękny, większy, z grubymi kośćmi, szerokolicy, z noskiem małym, lekko zadartym i z wyraźną skłonnością do otyłości. Kobieta tego typu zdobywa i panuje od 25 do 35 lat. Jej ruchy ciała, giesty rąk, a przede wszystkim ogniste wejrzenie są przejawami namiętnej, opanowanej zmysłowości. Nazywają ją *jamona*, co znaczy szynka. Określenie dokładne smakowe. Odniosłem wrażenie, że Hiszpanom wogóle bardziej się podobają kobiety dobrze odżywiane i przypuszczam, że to upodobanie jest jedną z cech odziedziczonych po Maurach.

Pięknym i ciekawym jest typ pierwszy, i, jeśli się uda, jest prawdziwie czarowny. Hiszpanie dla oznaczenia czaru w kobiecie mówią o niej: *tiene sal, tiene gracia*, co znaczy, że *ma sól, ma wdzięk*.

Tiene sal odpowiada częściowo naszemu: ma pieprzka. Kobieta z pieprzkiem. Kobieta taka w swym sposobie bycia, w swej mowie, ma coś, co, podobnie jak sól, dodaje smaku potrawie, kobiecie dodaje czaru.

„Kiedy cię chrzczono w morzu wdzięku, wyszły ryby i rzuciły na cię solą”, mówi piosenka ludowa.

Tiene gracia — to w jednym słowie oznacza, że kobieta posiada całą postać opanowaną, a w związku z tem ruchy wytworne, chód rytmiczny, wdzięczne wzniesienie głowy; że ma harmonijny dźwięk głosu i umiejętną jego modulację, a nadewszystko — otwarte a głębokie przenikające wejrzenie.

Ta właśnie *gracia*, ten zespół wyliczonych

cech, wyróżnia Andaluzjki od innych kobiet. Ale co jest najciekawszem, że nie jest to właściwość poszczególnej jakiejś, wyjątkowo uposażonej kobiety. Jest to pewien styl wspólny dla kobiet całej dzielnicy. Obserwując je dłużej, ma się wrażenie, jak gdyby on był wynikiem jakiegoś podświadomego naśladowania, jakiegoś wspólnego, idealnego wzoru piękna i czaru.

Ciekawe odbicie wyobrażeń ludowych o urodzie kobiety znajdujemy w piosenkach.

„Nie kocham cię za twą urodę, bo nie jesteś piękna wcale. Kocham cię, żeś taka czarnuszka i za ten wdzięk, jaki posiadasz”.

„Ciemną musi być ziemia, ażeby była dobrą. I kobieta dla mężczyzny tak samo musi być ciemną”.

„Oczy mojej czarnobrewy do mojej podobne męki. Wielkie, jak zmagania moje, ciemne tak, jak me udutki”.

Ale ponad wszystkie zalety ich wdzięku, jest ich sposób bycia i ich iskrząca

się dowcipem i przepojona radością życia paplanina.

Jesteśmy w Sewilli. Wieczór. Zajrzyjmy do wnętrza domu, z którego dobiega nas muzyka. Na *patio*, podwóreczku, przybranym kwiatami, z małą fontanną w środku, w tym salonie Andaluzji, — grupa osób zasiadła koliskiem. Jedna z nich gra na gitarze, inni w takt śpiewanej pieśni uderzają w dłonie. Tancerka stanęła w kole. Uniosła ręce ku górze i lekko, miarowo zaczęła uderzać w kastanjetę. Tańczy. Prawie że się nie rusza z miejsca. Rozwija się jakiś zmysłowy taniec rąk i bioder.

Muzyka przyspiesza tempo. Taniec staje się



Sewiljanka

bardziej gwałtowny. Leniwe upojenie przechodzi w szal błyskawicznie szybko zmienianych póż. Przedziwna opowieść bez słów. Pieśń skandowana rytmem rąk i całego ciała.

Jest to zasadniczo ten sam taniec, jaki zobaczymy na całym wybrzeżu Afryki północnej od Marokko do Egiptu i dalej w głąb Azji, w granicach zasięgu wpływów arabskich.

Bardziej jeszcze niż w tańcu uwidoczni się wpływ wschodu w muzyce i śpiewie ludu.

W pieśniach Andaluzji brzmi jakaś skarga, objawia się jakiś ból, nieutulony, bezkresny żal. Ale co dziwniejsze, że pieśń tę śpiewa Andaluzyjka, to żywe wcielenie radości życia.

Na obyczajach kobiet Andaluzji ciąży wielowiekowe wpływy Maurów. Granadyjka nie pracuje w polu. Nie pozwala jej na to mężczyzna. Uważa on, że byłaby to ujmą dla niego, gdyby ona musiała pracować przy ludziach. „Żona moja nie jest Murzynką”, mówi.

Kobiety z wyższych sfer Sewilli i Granady prawie nie wychodzą na ulicę. A nawet i kobiety z ludu z okolic Almerji zmuszone wyjść, zasłaniają twarz zasłoną, przypominającą strój Arabek.

Na sto zamężnych Andaluzyjek 80 wychodzi za mąż w wieku od 18 do 25 lat; 15 przed rokiem 18; a 5 pozostałych po skończeniu lat 25.

O starych pannach mówią, że zostają w staropaniństwie, ażeby stroić figury świętych.

W Hiszpanji kobiety, wychodząc za

mąż, nie zmienia nazwiska, ale zachowuje panieńskie. Każde nazwisko jest podwójne, złożone z nazwiska ojca i matki.

Dzieci noszą nazwiska złożone z pierwszych nazwisk swych rodziców, przytem nazwisko ojca stoi na pierwszym miejscu.

Sztuka zdobywania serca kobiety w Hiszpanji w trochę odmiennej, niż u nas przejawia się formie. Różnice, jakie zachodzą w poszczególnych regionach, sprowadzają się do mniej lub bardziej pospiesznego doprowadzenia oblubienicy na kobierzec ślubny lub wprost, bez tych formalności, do błogosławionego stanu macierzyństwa. A więc zupełnie tak, jak na całym świecie.

Charakterystyczną formą jest tak zwane *noviazgo*. Jest to forma narzeczeństwa, która stwierdza, że młodzi, *novio* i *novia*, mają się ku sobie, co jednak nie zawsze musi się kończyć ślubem.

Novia, to nie jest jeszcze *prometida*, przyrzeczona, czyli w naszym pojęciu *narzeczona*. W Andaluzji usiłowanie nawiązania z panną takich stosunków nazywa się *pedir conversacion*, prosić o rozmowę. To dośadne określenie ludowe oznacza istotę tego związku, który sprowadza się do codziennej rozmowy dwojga oblubieńców, niekiedy w ciągu wielu lat.

Urodziwa Hiszpanka pierwszego swego *novio* znajduje przed skończeniem lat dziesięciu. Jest to oczywiście odpowiedni jej wiekiem kawaler. Do zamążpójścia panna taka może mieć nawet kilkunastu *novios*. Od tej chwili



„Jamona” z Andaluzji



Na „patio” w Sewilli

novio staje się jedyną wartością jej życia, aż do zamążpójścia. Sposoby zdobywania novios są bardzo rozmaite. Zazwyczaj rzecz się dzieje w ten sposób. Młodzieniec zobaczył pannę. Podobała mu się. Podąża dyskretnie za nią. Dowiaduje się gdzie mieszka. I od tej chwili zaczyna się iście zabieg hiszpański, zwany *hacer el oso*. I mimo, że może się wydać nieprawdopodobnym, jest w rzeczywistości.

Hacer el oso, robić niedźwiedzia, znaczy tyle, co chodzić przed domem, w którym mieszka nowa wybranka, a być może przyszła novia.

Chodzenie takie na przeciwnym tropie, odbywa się aż do skutku, to znaczy, że kawaler chodzi rano cztery godziny, wieczorem sześć godzin, aż nie zostanie rozpoznany, ewentualnie uznany jako novio. A panna? Pierwszym zabiegiem po wejściu do mieszkania jest obserwacja przez szparę drzwi balkonowych lub okna. Za spojrzeniami idą słowa. Wytrwałość młodzieńca zostaje zazwyczaj wynagrodzona uśmiechem, wreszcie słowem. I zaczyna się przy sprzyjających warunkach akt drugi, który niemniej ciekawą nosi nazwę. *Pelar le pava*, co dosłownie oznacza — skubać indyczkę, jest to

rozmawiać ze swoją novią wieczorami lub nocą, przez kratę okna lub z balkonu.

Należy zaznaczyć, że novio nie ma prawa wstępu do domu swej novji.

Sztukę *pelar la pava* uprawiają wszyscy młodzi bez różnicy stanu i urodzenia. Przy świetle dnia, lub wieczorami, jeśli rodzice zezwalają na takie rozmowy, lub od północy aż do świtu, jeśli rodzina nie sprzyja związkowi. O północy po ulicach miasteczek błądzą tylko novios. Jedni wracają, inni dążą pod okna swych oblubienic.

Idąc ulicami, co chwila widzi się przywartą do kraty okna jakąś postać, zawiniętą w płaszcz. Poza kratą majaczy sylweta kobiety, zasłoniętej wielkim szalem, z głową zakrytą chusteczką. Hrabianka, czy plebejka, pani czy służąca, występują w oknie w takim samym stroju. Jest to zrozumiały zabieg ostrożności. Tak w mieście. A gdzieś tam w zagrodach rolniczych — *se pela la pava* bez tych dekoracji. Oblubieniec wchodzi do izby, gdzie przy ognisku, palącym się na ziemi, zasiadają dokoła domownicy. Wszyscy gwarzą, omawiając sprawy codzienne. A novios wciśnięci w kąt między dzbany i cebrzyki z wodą, dadzą sobie wzajemnie parę szturchańców, powiedzą sobie parę mniej lub bardziej pieszczotliwych łajanek, zaśmieją się

z uciechy i zarumienią ze szczęścia. Wówczas, gdy novios z miast uprawiają swą sztukę co wieczór przez cały rok, dziewczęta wiejskie wielu okolic mogą sobie na to pozwolić tylko w soboty. Sztuka *pelar la pava* ma doniosłe znaczenie nie tylko jako przeżycie poszczególnych oblubieńców. Ma ona prócz tego i swoje znaczenie społeczne.

Jest to swoiste zużytkowanie wielkich zasobów czasu i sił przez większą część młodych obywateli kraju. Ażeby móc spędzać codziennie tyle godzin w ten sposób, trzeba być bogaczem, lub — żebrakiem.

Na hiszpańskim wybrzeżu morza Śródziemnego w typie fizycznym, zarówno jak i w charakterze duchowym ludności przejawia się dotychczas wielowiekowy wpływ Arabów.

Uwidocznia się on najbardziej w Walencji, gdzie współczesne córki Cyda więcej od innych Hiszpanek posiadają cech afrykańskich. Naogół Walencjanki są bardzo piękne. Ich odmienny typ przejawia się w harmonijnym układzie owalnych linii twarzowych, tak charakterystycznych dla przedstawicieli grupy syro-arabskiej. Miętko się rysują ich kształty ciała, zaznaczone łagodnymi liniami. Przez złocistą barwę skóry przebijają rumieńce.

Na wyróżnienie zasługują najpiękniejsze oczy kobiece na Półwyspie.

Katalonka, podobnie jak i inne Hiszpanki, zamieszkałe nad brzegiem morza Śródziemnego, przedstawia typ długogłowej brunetki.

Jest ona wzrostu wyżej, niż średniego, mocnej budowy, o grubych kościach, obficie przysłoniętych ciałem i być może w związku z tem, dość ociężała w ruchach. W Katalonji spotyka się bardzo dużo kobiet urodziwych. Jednakże prawdziwa piękność jest taką samą rzadkością, jak i kobieta brzydka. Gdyby Rubens zechciał szukać w Hiszpanii modeli do swych obrazów, znalazłby je tylko w tym regionie. Od swych sióstr z południa Katalonka wyróżnia się spokojem i powagą.

Katalonka nie porywa od pierwszego wejścia, ale przy zbliżeniu się z każdą chwilą bardziej zjednywa dla siebie uznanie i ży-

czliwość. Katalonka, to solidna kobieta, skupiona w sobie, konsekwentna w swej mowie i postępkach.

W zaciszu domowego ogniska, w stosunkach rodzinnych i serdecznych, przejawia ona skarby uczuć subtelnych, niedostrzegalnych dla tych, co sąd o niej wytwarzają na podstawie tylko zewnętrznych przejawów.

Kobiety Aragonu nie są piękne. Przy ciemnych włosach dość często występują oczy niebieskie. Wdziękiem ich jest spojrzenie otwarte, ujmująco miłe. Są one w obejściu naturalne, w mowie zrównoważone. Z twarzy ich wygląda dzielność i szczerość zarazem, wyróżniające je tem ze wszystkich kobiet Hiszpanii. Różnią się one najbardziej od Andaluzijek. A różnica ta najdosadniej zaznacza się w ich pieśniach. W wesołych, tryskających zdrowiem, piosenkach Aragonu, dźwięczy radość życia, a rytm muzyki porywa do tańca i usposabia do śmiechu.

Patronką Aragonu jest cudami słynąca *la Virgen del Pilar* w Saragosi. Jest to mała figurynka Matki Boskiej, stojąca na kolumnie.

W klątwach, które Hiszpan ma ustawicznie na ustach, niejednokrotnie w szpetny sposób wspomina imię Boże, ale największy bezbożnik nie obrazi *Pilariki*, jak ją pieśzczotliwie nazywają w Aragonie, ani też nie pozwoli obrazić drugiemu.

Każda prawie dzielnica Hiszpanii ma swoją Matkę Boską cudowną, ale najstawniejszymi są *la Virgen del Pilar* w Saragosi, *la Virgen de Montserrat* w Katalonji, *la Virgen de Covadonga* w Asturji i *la Macarena* w Sewilli. Wszystkie cudowne Madonny Hiszpanii, są to figury rzeźbione z drzewa.

Wśród ludu niema kultu dla obrazów. Cześć dla Madonny dotyczy przeważnie tylko tej, ze swej Parafji, która zawsze jest najlepsza, najpiękniejsza i najświętsza. Byłem raz świadkiem ciekawej sceny w Sewilli. Z kościołów ciągnęły procesje, ażeby wziąć udział w wielkim pochodzie religijnym. Po ulicy sunęła gromadka wiernych, niosąc posągów świętych. Jeden z przechodniów, poznawszy Madonnę ze swego kościoła parafjalnego, wznosił okrzyk na jej cześć: „Niech



„Chorra” z okolic Salamanki



Aragońska

żyje Madonna! Oto jest dziewica prawdziwa, a nie jakaś tam z innych kościołów”.

W Sewilli, w okresie rewolucyjnym, republikanie przyozdobili swą Macarę w czapkę frygijską, zamieniając ją z Królowej Nieba na republikankę.

Przypuszczam, że w świecie chrześcijańskim, tylko w Polsce i w Hiszpanji kult Matki Bożej posiada znamiona pewnej swoistej oryginalności.

Polska Przenajświętsza Pani — to Pani łąków, pól i lasów, opiekunka plonów w ciągu całego rocznego cyklu słońca. Madonny Hiszpańskie — to opiekunki poszczególnych stanów fizjologicznych kobiety i przeżyć Najświętszej Panny.

Hiszpańska Madonna jest trójjednością piękna, dobra i prawdy. Jest ideałem wszystkich najlepszych zalet kobiety. Łączy ona w sobie serdeczność, współczucie, spokój, cierpliwość, delikatność, natchnienie i poezję. Jest najszlachetniejszym symbolem religijnym, mającym głęboki wpływ na umysły i serca ludzi. Madonna jest najlepszą przyjaciółką Hiszpanki. Jest jej powiernicą, matką, siostrą i przyjaciółką zarazem. Toteż idzie ona z dzieciną naiwnością zwierzać się jej i żalić. Niesie jej swoje nadzieje i swoje łzy.

Cześć dla Madonny, jaką mają kobiety hiszpańskie, udziela się i mężczyznom. Jest bardzo wielu takich, którzy nie wierzą w Boga, ale w sercu noszą kult dla Madonny.

Po Matce Bożej, kobiety hiszpańskie najwięcej zaufania posiadają do świętego Antoniego. Jest on patronem zgubionych rzeczy i generalnym dostawcą mężów.

W każdym niedawie domu znajduje się gipsowa lub drewniana figurynka św. Antoniego. Stoi on w szatach zakonnych i na rękę trzyma małego Jezusa. Biedny Święty! Chyba cięższej służby nie ma w żadnym kraju.

Wrazie potrzeby Hiszpanka staje przed świętym Antonim i mówi: zgubiłam to lub owo, lub wprost: potrzebuję męża. Zostawiałam ci tyle to i tyle czasu na spełnienie prośby. Jeśli spełnisz, złożę określoną ofiarę. Termin minął. Święty nie zdążył spełnić zlecenia. Wówczas kobieta wstydzi go i karze, naznaczając nowy termin.

A kary bywają straszne, nawet dla świętego. Najłagodniejszymi są odebranie mu Pana Jezusa, postawienie figury do kąta, obrócenie jej twarzą do ściany. Za większe przewinienie świętego przenoszą do komórki, ćwiczą różgami, lub przywiązawszy mu sznurek do szyi pławia go w zimnej studni. A jeśli po raz drugi i trzeci przeoczy zlecenie, zły święty wylatuje przez okno na ulicę, a miejsce jego zajmuje nowy, dobry święty.

Jest w Estremadurze jedno miasteczko, gdzie na ścianie pewnego domu widnieje wykonany w majolicie obraz świętego. Ponieważ trudno go ukarać w jakiś zwykły sposób, wymyśliły kobiety osobiłą dla niego torturę. W razie niespełnienia prośby naklejają mu na jedno oko czarny plaster. W cięższych wypadkach zaklejają mu obydwa oczy. Ponieważ jest dużo kobiet, które mają zawsze coś do zlecenia świętemu, a on nie zawsze na czas nadaje, biedaczek ustawicznie obydwa oczy ma zaklejone licznymi plasterkami.

Kobiety Starej i Nowej Kastylji, jeśli je porównamy z kobietami innych regionów, a mianowicie z Aragońkami, Katalonkami, Walencjankami, mimo znacznych różnic dzielnicowych, tworzą typ dość jednolity.

W Kastylji Nowej przeważa typ ciemny,



w Kastylji Starej występuje dość znaczny odsetek szatynek lub typu mieszanego z oczami niebieskimi i z ciemnymi włosami.

„Mówią, że włosy szatynek zawierają truciźnę, chociażby posiadały arsenik, ja Kocham włosy szatynki”.

O jasnych włosach Kastyljanek mówi piosenka ludowa:

„Ten jasny loczek, co ci zwisa nad czołem, zdaje się być złotym dzwoneczkiem, zwołującym do cię ludzi”.

Kastyljanki posiadają wzrost średni, postać wysmukłą, włosy i oczy jaśniejsze od mieszkankę wybrzeży morza Śródziemnego. Oczy pięknej Kastyljanki spoglądają dumnie, powłóczyłem, przenikającym spojrzeniem, spokojnie, bez ognia Andaluzijek i bez ożywienia Walencjanek.

Lud niejednokrotnie w swych piosenkach wspomina oczy jasne:

„Oczy ciemne i szaro-zielone, to oczy zwykłe te, które czar na mnie rzuciły, były błękitne”.

„Te oczy błękitne wykradłś z nieba, i niebu będziesz musiała zdać sprawę z krzywd, jakieś niemi zrobiła”.

Pewien swoisty typ tworzy kobieta stolicy. *La gata*, kotka, nazywa się kobieta, urodzona w Madrycie. *Manola* to typ kobiety z niższej sfery, co uczęszcza na *verbery*, święta ludowe, odpusty, kiermasze, upiększa je swą obecnością i ożywia. Chcecie ją poznać? Idźcie na Verbera de la Paloma, pierwszy kiermasz jesienny w Madrycie. Spokojnie ustrojona w mantón de *Manilla*, szal manilski, w środę popielcową na uroczystym

pogrzebie sardyny, w Wielki piątek na odpuszcie Cara de Dios, na św. Izidora, na San Isidro pod Madrytem, w dniu św. Eugenjusza na Pardo, wreszcie zawsze na walkach byków.

Damy z wyższych sfer, najpiękniejsze kobiety Madrytu, wszystkie razem, w całej swej krasie, przystrojone w koronkowe szale, z gwoździkami czerwonymi na piersiach

i we włosach, zobaczycie dwa razy do roku: raz na Boże Ciało na ulicy Corretes, i drugi raz w Wielki Piątek na Carrera de San Jeronimo, odwiedzające groby Chrystusa w Kościołach.

Pisząc o kobietach Madrytu, należy wspomnieć o pewnym, bardzo rozpowszechnionym obyczaju.

Dla Hiszpana jest rzeczą nie do pomyślenia minąć piękną kobietę na ulicy i nie wyrazić jej swego zachwytu. To też gdy przechodziła po ulicy jedna z tych czarodziejek, składano jej hołd w kilku słowach. Komplement taki nazywa się *piropo*.

Wyrostek ze szkoły średniej, student uni-

wersytetu, poważny urzędnik zarówno jak i świątobliwy sługa Boży, nie mówiąc już o synach Marsa, jeśli nie powie na głos, to choć wyszepta cicho wyrazi zachwytu.

Zdarzało się niedawno jeszcze w Madrycie, że zachwycony przechodzień ścigał z siebie płaszcz i lekkim rzutem rozścielał go na chodniku przed wdzięcznym zjawiskiem. A ona przechodziła po nim, spuszczała skromnie oczy, lub zakrywając wachlarzem twarz, rozplamioną wstydem i radością.

Przygodny Don Juan przyklękał na jednym kolanie i mówił, jak w tej piosence, rozsła-



Katalonka



Piękność madrycka

wionej przez Raquel Meller: „stąpaj czar-nobrewa, stąpaj pełna czaru — relikwiarz zrobić każę ze śladów twoich stóp”.

Wiele z tych kwiatków ulicznego uznania skrzy się prawdziwym dowcipem. Należy za-znaczyć, że sposób wypowiedzenia i zachowanie się mówiącego jest pozbawione cienia cynizmu.

Wypowiadają je w tonie zachwytu, entu-zjastycznie. Mówi się kobiecie piropo, mija się ją i nie zaczepia. Postaram się przyto-czyć kilka takich bardziej typowych. Rzecz oczywista, że w tłumaczeniu mojem i w o-bojętnem czytaniu zatracają one swój wła-ściwy charakter.

— Niesłychane! Upadła Pani z nieba i nie zrobiła sobie krzywdy!

— Niech żyją lica wdzięczne i wesołe! Tem czołem mogłaby pani zmącić powagę po-grzebu.

— Oto jest chód rytmiczny! Zapewne u-krywa Pani w obcasiku samego dyrektora orkiestry.

— Dziecino! nie wychodź dzisiaj, wiatr się

zrywa, i mogą ci się rzęsy splątać z druta-mi od telefonów.

— Jezul! coza usta! Czy Panią karmią przez rurkę?

— Czy przypadkiem nie jest Pani tą, któ-rą wyobrażają na Szkaplerzach?

— Jakżebym pragnął mieć mamę Pani za teściową!

— Dziewczyno, daj mi jedną rzęsę, będę się nią bawił jak skakanką.

— Nie zbliżaj się Pani zbyt, nie jestem ubezpieczony od pożaru.

— Zamknij oczy moja mała, chcę ci się przyjrzeć.

— Niech żyją pani mama i pani papa, naj-większy artyści na świecie.

— Nie chodź Pani na mszę, bo gdyby cię zobaczyli święci, jużby nimi być przestali.

— Skarbie, a niech że nas pochowają ra-zem, a żywcem.

— Hiszpanja jest cudem świata, Madryt jest cudem Hiszpanji, a Pani jesteś cudem Madrytu.

— Czarnuszko, spojrzij mi na koniec cy-gara, bo nie mam już ani jednej zapalki.

— Patrzcie co za kształtna kobieta! Czy ojciec Pani jest tokarzem?

— To nie biust! To balkon raj!

— Patrzcie! Przenajświętsza Panna w nie-przemakalnym płaszczu!

— Ma pani nóżki tak małe, że gdybyś dwie godziny tańczyła na srebrnej monecie, nie dotknęłabyś dwa razy tego samego miejsca.

Powszechny obyczaj zaczepiania w ten sposób kobiet na ulicy był powodem, że w roku 1915 zjawilo się na murach Madrytu rozporządzenie komisarza, zabraniające mó-wić na ulicy komplementy kobietom niezna-jomym. Kara za wykroczenie zakazu wynosi-ła 50 peset. Dowcip dowcipem, a zakaz za-kazem.

Te i inne przyczyny spowodowały obyczaj powszechny, że młode kobiety, a w szcze-gółności ze sfer wyższych, nie wychodzą sa-me na ulicę, a już bezwzględnie nigdy wie-czorami.

Specjalnie zażenowanemi czują się piękne cudzoziemki, które, nie znając tego obcza-ju, nie rozumiejąc języka, a zmuszone same przebywać ulice, wytwarzają sobie straszne wyobrażenie o obyczajności Hiszpanów.

*Kantabryjka*

Na północno-zachodniej rubieży półwyspu Galicji, prawie wyłącznie panuje typ ibero-celtycki.

Kobiety posiadają wzrost średni, głowę zaokrągloną, czoło dość niskie, lekko zapadłe na skroniach, twarz rozszerzona w okolicach jarzm. Barwa włosów ciemno-szatyn, oczy ciemno-siwe, często niebieskie. Nos prosty z mięsistym końcem, przyduże, aczkolwiek wdzięczne usta, i zęby szybko ulegające zepsuciu.

Naogół Galicjanki są usposobienia melancholijnego, z wyjątkiem może jednej prowincji Orense, gdzie się spotykają typy najwelselsze.

Naturalnym wdziękiem pięknej Galicjanki jest jej ujmująca słodycz.

Język galicyjski w ustach kobiety rozbrzmiewa jakimś tonem pieścizliwym.

Galicjanki są to najbardziej samodzielne i zahartowane w ciężkiej pracy kobiety hiszpańskie.

Uboża skalista ziemia zmusza prawie wszystkich mężczyzn do emigracji. Kobiety zostają w domu. Uprawiają rolę. Pełnią służbę tragarzy na stacjach kolejowych. Ciężary noszą na głowach. Taki tragarz w spódnicy stawia sobie na głowie ciężki kufer i rusza z nim lekko, jak gdyby to było jakieś maleńkie pudełeczko. Kobiety, a w szczególności stare, chodzą z nieodłączną kądzielą i przędą w drodze. Ażeby to sobie ułatwić, wszystkie inne przedmioty, jakie mają przy sobie, w miarę możliwości, umieszczają na głowie. To też po drogach spotyka się je z parasolkami, z książkami do nabożeństwa, lub obuwiem, umieszczonem na głowach.

Galicjanka, pochłonięta pracą zarobkową, od świtu do nocy, nie ma czasu na zajęcie się domem. To też panuje tam prócz ubóstwa, brud i nieład. Jest to zjawisko wyjątkowe w Hiszpanji, gdzie czystość mieszkania jest słuszną chlubą kobiety z ludu.

Nad brzegiem morza Kantabryjskiego pod niebem wiecznie skłębionem chmurami, wśród krajobrazu przypominającego nasze Beskidy, spotykamy inny znów typ kobiet.

Baskijki posiadają wzrost wyższy od innych kobiet Hiszpanji. Wyróżniają się postacią wysmukłą, kształtem i niezmiernie wąskim nosem. Są to najwęższe nosy na świe-

cie. Cechuje je: twarz wydłużona, włosy szatyn, oczy siwe lub piwne, skóra płowa. Piękna Baskijka wyróżnia się subtelnym rysunkiem postaci, twarzą o rysach delikatnych, jak pięknie wycięty profil na kamiei.

Jej ruchy znamionuje wytworny spokój. Jest ona w mowie prosta i naturalna, wprawdzie bez tej zimnej trzeźwości, właściwej Katalonkom, ale też i bez tego czaru słowa, jaki wyróżnia Andaluzyjki. Nie znają one mądrej kokieteryj Madrytanek, ani mowa ich nie posiada słodyczy Galicjanek. Poczucie godności osobistej, szlachetność, oto są główne znamiona duchowe Baskijki. Stare prawo obyczajowe tego kraju od niepamiętnych czasów zapewniło kobiecie godne stanowisko w rodzinie.

Mówiąc o Baskijkach, należy wspominać o istniejącym jedynie w tym rejonie urzędzie kościelnym, sprawowanym przez kobiety.

Serora (od *seror* - siostra) częściowo pełni obowiązki zakrystjana przy kościele. Przewodniczy na pogrzebach, jak również na nabożeństwach żałobnych w kościele, gdzie reprezentuje rodzinę zmarłego. Występuje wówczas w czarnym stroju, z zasłoniętą głową. Cały strój jest obszyty srebrnym galonem. Zależnie od wysokości opłaty, *serora* ubiera się w strój pierwszej, drugiej, lub trzeciej klasy, które różnią się bogactwem wyszycia i długością trenu u sukni. Jest to zazwyczaj kobieta w sile wieku, wdowa, lub niezamężna, która ofiarowała się na dozgonną służbę kościelną.

Wszystko, co się słyszy o Hiszpanji, należy brać z pewnem zastrzeżeniem. Należy zdawać sobie sprawę o jakiej Hiszpanji się mówi.

Skład społeczny i kulturalny ludności zmienia się wybitnie w czasie i w przestrzeni. Możemy ją przyrównać do skomplikowanej warstwiczy. Myliłby się ten, kto wnosząc z obumarłych dziś warstw górnych, twórczych i wielkich w swym czasie, chciałby wyrokować o zasobach spoczywających w głębinach. W niedostrzegalnem, a jednak ustawicznym przesuwaniu się warstw tkwi tajemnica przyszłości Hiszpanji.

Co będzie z górnymi, dziś rządzącymi warstwami — trudno zgadnąć.



Biali Indjanie

„Indjanami” nazywają się pierwotni mieszkańcy Ameryki. Jak wiadomo, nazwa ta powstała przez omyłkę, gdyż odkrywca nowej części świata, Krzysztof Kolumb, — był przekonany, że znajduje się w Indjach. — Aby uniknąć dwuznacznika, zaczęto używać wyrażenia: „czerwonoskóry”, ze względu na barwę ciała miedziano-czerwoną tej rasy.

Okazało się jednak, że odcienie tej barwy czerwonej są zbyt rozmaite, aby można owej nazwy używać ryczałtowo. Odcienie te płyną od barwy jasno-żółtej, prawie mongolskiej — do czarnej, prawie murzyńskiej.

Mieszkańcy głębokiej północy, Grenlandji np. i krain sąsiednich, mają cerę bardzo jasną, prawie białą — i można między nimi napotkać twarze o typie niemal rosyjskim. (Rys. 1 — obacz pierwszego z lewej strony) albo anglo-skandynawskim (obacz twarz z lewa na prawo — w głębi — czwartą).

Najciekawszym jednak w tej dziedzinie faktem jest odkrycie Indjan „białych” w t. zw. Ameryce Środkowej na przesmyku Darien, w obwodzie San Blas. — Jest ich koło

3—4 tysięcy: są zupełnie biali, włosy mają już to jasne, jak len, już to rude, czasem ciemniejsze, ale rzęsy zazwyczaj jasne; oczy niebieskie lub piwne. Są nieco krzywonodzy i mają dużo piegów na skórze. Sposobem życia nie odróżniają się od Indjan, ale z kolorowymi, po większej części, nie żyją w zgodzie, gdyż prawdziwi czerwonoskórzy uważają ich za „blade twarze”, t. j. za nieprzyjaciół. Usposobienia są b. miłego: lubią śmiech i zabawę. Język mają własny, odrębny, w typie podobny do języków amerykańskich; używają nadto zapsutej mowy hiszpańskiej. Seplenia, ale mówią bardzo melodyjnie i lubią przemawiać.

Odkrył ich R. O. Marsh, Amerykanin, inżynier i badacz-podróżnik, a językiem ich zajął się pr. John P. Harrington, etnolog z instytutu Smitsona. — Dochodziły już o nich słuchy i dawniej, ale dopiero teraz nauka zajęła się poważnie tem szczególnem na gruncie ludów czerwonoskórych plemieniem. Marsh pewną grupę jednostek z tego ludu



„Biała Indianka” Margarita Berry



Biały Indianin z prawdziwym czerwonoskórym

zawiózł do Washingtonu, aby je przedstawić prezydentowi St. Zj.

Mamy tu na rysunku (fig. 2)—dziewczynę, którą nazwano Margarita; oraz białego Indianina z prawdziwym czerwonoskórym obok (fig. 3).

Co się tyczy ich pochodzenia, to jest ono zagadkowe: niektórzy ich uważają za typ

zwyrodniały, t. zw. albinosów; inni zaś za pewną odmianę czerwonoskórych, którzy nie są czerwonoskórzy. Są i tacy, którzy przypuszczają, że są to potomkowie jakichś zabłąkanych w niewiadomym wieku Europejczyków. Ludzie ci żenią się najczęściej między sobą i zachowali w ten sposób czystość rasową.

A. L.

Bogowie tańczą

Napisał

Jerzy Bohdan Rychliński

Otwarty na przestrzał bungalow ział światłem. Wśród atramentowego cienia rozłożystej werendy rozpałał się i przygasał ognek cygara, ukazując w pomarańczowym rozbrzasku energiczne rysy i okrągłą amerykańską twarz Mr. Shrimpa. Między balustradą

werandy i okapem dachu biegł szeroki pas ciemnego szafiru, obrębiony koronami pandanów; niebo jarzyło się konstelacjami, wśród których nie było ani Kasjopei, ani Małej Niedźwiedzicy. Przez wejściowe drzwi bungalowu tryskał ostry miecz brylantowego światła i godził w samo serce nocy. Dźwięki instrumentów europejskich straszyły czającą się dokoła kolorową ciszę, której milszy byłby ryk tygrysa. W głębi domu, w brylantowym

paśmie tańczące pary ukazywały się i nikły, ukazywały się i nikły, jak zjawy, z innego świata. Po sylwetkach tualet, po obnażonych ramionach i biustach biegały skry klejnotów. Kołyszając się namiętnie w takt jawy, przebiegała z tancerzem kobieta wysoka w powiewnej tualecie. Ramiona i łopatki pięknej tancerki wyróżniły się ciemniejszą karnacją z pośród dekoltów innych dam. Wobec plastyki jej tańca umiarkowana rytmika europejskiego tła wydawała się płaską grą cieni.

— Pańska żona — ozwał się z sąsiedniego szezlonga — tańczy jak —

— Bajadera — dokończył niecierpliwie Mr. Shrimp, żując koniec cygara tak gwałtownie, że pomarańczowy ogieniek biegał mu między wargami.



Sziwa

W słowach tych tkwił zatruty cień goryczy. Oddawna chodziły wieści o zatargach między bogatym Amerykaninem a piękną jego żoną europejką, półkrwi tylko. Była ona córką angielskiego baroneta i siostry miejscowego radcy. Zaangażowawszy olbrzymie sumy w indyjskie inwestycje, Shrimp, musiał liczyć się z arystokracją hinduską.

Widząc, że rozmowa może zboczyć z łatwością na drażliwe tory, wstałem,

niiby od niechcenia, zmierzając do sali balowej. Nie upłynęło i pięciu minut, a już unosiłem w tańcu wiotką postać żony miliardera. Skroś przezroczyłą gazę jej toalety — Mrs. Shrimp ubierała się tak egzotycznie! — buchały wielkie ognie ciężkich hinduskich klejnotów, które literalnie była skrepowana. Pomimo to poruszała się wdzięcznie i swobodnie. Blask jej oczu czarnych i wielkich, oczu gazelli, nie zaćmiewał, coprawda, blasku kamieni, ale ożywiał twarz o rysach cienkich, regularnych i nieskazitelnym owalu. Białka tych oczu były



Oblicze Sziwy

skały przejmująco zabarwione na niebiesko.

Wyprowadziłem ją pod rozwachlowane *puncha**) sąsiedniego buduaru.

— Tyle pani wkłada w te tańce duszy, jak gdyby nie były to tańce europejskie.

Mrs. Shrimp nie ukrywała swego *gandheizmu*.

— Uważam — odparła — że są blahe i bez wyrazu, jak wszystko, co do nas importuje się z Ameryki, lub Europy...

Siedziała bez ruchu z rękoma, złożonemi na kolanach, zapatrzona przed siebie i cicha, jak posąg. Tabu milczenia padło i na mnie.

— Pragnęłabym poznać tańce *sjańskie* — dorzuciła po chwili.

Odetchnąłem. Słowa jej, jak błyskawica, rozdarły zatechłą banalność balu.

— Są to tańce święte — podjąłem w zamyśleniu. — Tancerki wyłamują się do nich od dziecka.

— Wymagają one wyrobienia *falistości* bioder i wrodzonej giętkości rąk i nóg. Czy potrafiłby pan, na przykład, wykręcić dłoń, jak dach pagody... ot, tak.

*) wachlarze. poruszane przez krajowców zapomocą sznurów. .

Wężowy gest jej ramienia i wylamanej dłoni był dla mnie rewelacją, przynajmniej nabrał w mych oczach później takiego znaczenia.

— Doprawdy, pani potrafiłaby je tańczyć! — zawołałem napół ze zdumieniem, napół z niedowierzaniem.

Uśmiechnęła się tylko zagadkowo rozkwitłym *hibiscusem* swych warg.

Pomarańczowy krążek cygara sunął skroś ciemność werandy. Wstaliśmy, wypływając bez słowa na pełne morze rytmów *shim-mowych*.

Nie zbliżałem się do niej więcej tego wieczoru.

Przez dłuższy czas słowa ekscentrycznej Mrs. Shrimp tłukły mi się po głowie. Taniec uważałem dotąd za rzecz zbyt powierzchowną i nie wartą uwagi; jednak pod świetlanem niebem Indyj nabierał szczególnego, nieuchwytnego znaczenia. Był jakas pochodną wschodniej duszy. Nie wątpiłem, iż w wiotkiem, brązowym ciele pół-europejki ukrywa się dusza tańcząca.

Ranjore stanowiło ośrodek *sziawaistycznego* kultu. Ogromna kilkunastopiętrowa, piramidalna katedra Sziwy, niby góra bogów, piętrzyła się nad rozlewiskiem rzeki. Otaczało ją całe miasto pomniejszych świątyń, po którym błąkać się było niebezpiecznie.



Tancerki sjańskie w tańcu rytualnym

Ale zwróciła moją uwagę stojąca na uboczu ruina, podobna do wielkiej wyczelowanej szyszki z głazu. Wyglądała na opuszczoną i, sądząc z motywów, musiała należeć do pewnej osławionej sekty szwiastycznej. Otóż, tajemniczy kult Sziwy, symbolizującego zarówno twórcę, jak i niszczone siły przyrody, szczególnie męczącą był dla mnie zagadką. Sziwa figurował najczęściej w postaci tancerza i mistyka tego kultu akcentowała motyw rytualnego tańca. Nie mogąc nawet marzyć o przedostaniu się do wielkiej świątyni, w której odbywały się tańce rytualne, postanowiłem przy sposobności obejrzeć rzeźby, w których one zastygły na wieki. Świątynia-szyszka była zamknięta, lecz w ścianach bocznych potworzyły się szczeliny, dość obszerne, by przez nie przeniknąć do środka.

Od dłuższego czasu straciłem z oczu zarówno Shrimpa, jak jego pół-europejkę. Wieży łączące mnie z cywilizacją Zachodu, rozkręcały się na pakule. Chętnie odbiegałem od precyzyjnej prozy radjofonu, motoru i aeroplanu, czyhając wszędzie na wschodnią bajkę. Próbowałem ją zaskoczyć w kolorowej, różnorodnej ciżbie, czy przed areopagiem zaklętych w głaz bogów... Przez dłuższy czas nadaremnie.

Zdawała się tuż, tuż, a wisiała w powietrzu nicuclwytnie, mającyla coraz dalej, jak góry cpalizujące za upalną przesłoną dooła Rannorę. Postanowiłem zdać się na łaskę i niełaskę instynktu i zauważyłem, że wszystkie drogi prowadzą niezmiennie do owej ruiny-szyszki, najodleglejszej ze świątyń. Jakież było moje zdumienie, gdy pewnego wieczoru—rzeka płynęła przyrumienionem srebrem, a szczyty gór broczyły, niby kły walczącego słonia—sposzregłem zdaleka, że wrota tajemniczej ruiny uchylają się przed wysoką sylwetką Hinduski?

Nie wahałem się dłużej. Okrężnemi ścieżkami dotarłem do najgłębszej ze szczelin w ścianach świątyni i dałem nurka w jej mrok ciężki i uroczny, rzekłbys w paszczę Molocha. Przeskakiwałem z głazu na głaz. Szczelina się zwię-

żała. Spod ziewałem się zastać w niej głuchą ciemność, tymczasem mrok ustępował miejsca rozproszonej poświacie, przesączającej się z wnętrza świątyni. Owionęło mnie pasmo dymu kadzidlanego, nakształt pachnącego całunu. Wyteżyłem wzrok i nerw każdy; poruszałem się dopiero po gruntownem zbadaniu c'rogi. Muzyka, nie dosłyszalna zrazu, jak szum w muszli, zdawała się kapać z wisza-



Góra bogów, fragment wieży

rów i zębów szczeliny, niby woda ze stalaktytów. Była słodka, łaskotliwa, pieściwa i, na szczęście, zwabiła do wnętrza węże. Nie pomyślałem w pierwszej chwili o tem strasznem niebezpieczeństwie i dopiero, wychynawszy za filar, zobaczyłem sprężone kobry, okularniki. Zimny pot obficie zrosił mi czoło. Szerokiem, lśniącym koliskiem gady otaczały kilku krajowców ze znakami kasty na czole, dmących w cienie, długie fujarki i w instrumenty z kształtu podobne do kobry.

Był to ustawiczny rzewny lament westchnień, skarg i kląszczących całunków, przerywany rozlewным, ciągnionym grzmotem złotego gongu. U ścian i filarów w kamiennych osadach niebieskawo paliły się pochodnie, oświetlając niesamowitą scenę. Ponad świątynią górował posąg Sziwy, po kłórego bronzie pełzały blaski owych zaprawianych bengalskim ogniem pochodni; darzyły go ruchem i życiem. Olbrzymi, cztero-

ramienny tancerz z poderwanymi pławicznie stopami zdawał się wirować w aureoli z płomieni. I dookoła między dwoma rzędami wyrzeźbionych filarów szalał bachiczny taniec bajader. W zwiewnych welonach, całe w ogniach wschodnich naramieników i bransolet, z zasłoniętymi pierściami i obnażonem łonem majaczyły, jak zmaterjalizowane widma, lecąc po elipsoidalnych, kosmicznych, rzekłbyś, orbitach, tworząc ósemkowe skrzyty i nieuchwytne, migocące wiry.

W obrotowym rytmie kręciły się dookoła swej „Rani” prędzej i coraz prędzej, nakształt tańczących derwiszów. Świątynia wraz z niemi zdawała się wirować. Nie padały jednak wyczerpane, tylko przy pierwszym uskoku tempa rozbiegały się w popłochu pod filary i w klasycznej pozie kamieniały, jak porażone. W takich chwilach przed wiodącym tan Sziwą zostawała tylko Rani, która nie kręciła się, jak inne, nie płaśała, lecz falowała całą uroczną linią ciała, od-

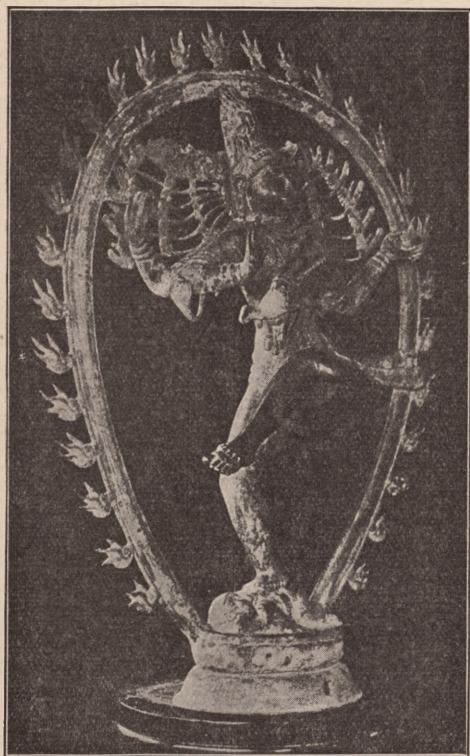
twarzając, rzekłbyś, lubieżne i tajemnicze misterjum Parwati^{*)}. Jej diadem, kolja, bransolety i napierśniki, wprawione w ustawiczne drżenie, bluzgały ku mnie olśniewającymi błyskawicami. Wiła się z iście sjamską giętkością. Gdy tak wpatrywałem się w nią, jak urzeczony, coś nakształt przypomnienia wybuchło w głębiach mej świadomości, jak wulkan w oceanie. Trzęśta mną febra zimna i gorąca. Przyływy i odpływy bajader na środek i ze



Ruiny świątyni

środku nawy powtarzały się coraz częściej, gwałtowniej a w przerwach za każdym razem osuwały się z Rani zasłony. Tempo przybierało nawalnie. Cienie gołonych łbów, kotyszających kadzielnice wokół nawy, drgały i przeskakiwały pokrętnie. Za żywopłotem z węzów muzykanci wygwizdywali przejmujące do szpiku kości tryle. Zdawało się, że lada chwila rzeźby od filarów, od

* — małżonka Sziwy.

*Tańczący Sziwa**To samo zdjęcie z boku*

sklepić się oderwą i połączą z szywaitami, z bajaderami. I przy zamierającym, otchłanem westchnieniu z piersi kobz i z gardeł fujarek — tancerki lśniły naokół, jak niebiańskie chimery — welon z twarzy Rani się osunął. Zabłysły, wzniesione ku Sziwie, wielkie oczy gazelli z niebieskawymi białkami.

Poznałem ją. Była to żona miliardera i siostra miejscowego radzy.

Bajadera! Tak ją przecie nazwał sam Shrimp. Czyżby o tem wiedział?

Muzyka ucichła. Ledwie po głazach rozpadliny zdążyłem wycofać się przed potopem powracających do legowisk węzów.

Z życia studentów w Ameryce

Napisała

Aniela Morzkowska

Kilkunastoletni chłopiec, syn włościański z Polski, udał się do Ameryki, aby tam nauczyć się pracować i zdobyć stanowisko. Po wielu trudach, nadzwyczajną pilnością i wytrwałością osiągnął swój cel i dziś jest profesorem Uniwersytetu i opiekunem młodzieży polskiej. To znany nam już z licznych opisów p. Stefan Mierzwa, inicjator Komitetu stypendialnego dla wymiany studentów między Polską a Ameryką. Pierwsza partja studentów Polaków (8 mężczyzn i 1 kobieta) wyruszyła w końcu września r. z. do Ameryki, przez Anglię, gdzie zwiedziła wystawę w Wembley. Po 10 dniowym pobycie w Londynie, gdzie brano naszych studentów za Francuzów, a jeszcze

częściej — za żydów! wyprawa ruszyła na wielkim statku Lewiatan z Southamton przez Cherlourg do Nowego Jorku. Tu w porcie przyjęła studentów naszych delegacja z p. Wrześniową na czele. Studenci porożędzali

się do miast uniwersyteckich, jak im zgóry wyznaczyła Komisja Kwalifikacyjna (na mocy nadesłanych papierów). Dwóch studentów oraz studentka zostali w Nowym Jorku, ci studjują w Columbia University na odpowiednich wydziałach. Profesor Mierzwa koresponduje ze studentami, odwiedza ich czasem, każdego zna osobiście, udziela im swoich rad, prawdziwie po ojcowsku. Jego zdaniem, pożyteczną rzeczą jest poznać życie amerykańskie, ludzi tamtej-



Wydział filozoficzny w Columbia University



Teachers College przy uniwersytecie Nowo-Jorskim

szych, którzy pod niejednym względem niżej stoją od Europejczyków, jednak pracowitością, uczciwością i szczerem sercem mogą świecić przykładem. Polacy amerykańscy dzielą się na 2 grupy: jedni są zupełnie amerykańkizowani, ci przesiąkli kulturą zaoceanową i są wiernymi obywatelami przybranego państwa, drudzy to gorący patrioci polscy, którzy marzą jedynie o powrocie do swej macierzy i traktują Amerykę jako teren chwilowego pobytu dla zdobycia chleba czy też pewnej umiejętności fachowej, którą później zużytkują w kraju. Tych żywo obchodzi wszystko, co się dzieje w Polsce, wyobrażają sobie ją w świetle idealnym, stawiając ją o wiele wyżej niż Amerykę, przekonani, że z czasem Polska do takiej dojdzie potęgi ekonomicznej, że liczyć się z nią będzie świat cały. Amerykanie, to według nich, naród pozabawiony tradycji, nisko stojący pod względem duchowym i intelektualnym, ale niezrównani pod względem pracowitości, uczciwości i prawości charakteru. Zmaterjalizowanie przebiega na każdym kroku. Uczucia religijne są tu żywe, niedziela jest wielkim świętem duszy, nie można jej obrażać zabawami i tańcami.

W takie to środowisko, wśród takich ludzi i pojęć dostała się nasza gromadka studentów polskich. Gdy dodamy do tego zupełnie inny wygląd miasta, jego urządzenia nowoczesne, gwar samochodów, kolejek podziemnych i nadziemnych, widok drapaczy nieba i błyskotliwych reklam, można sobie wyobrazić uczucia naszych przybyszów. Różni różnie na to zareagowali, ale wszyscy podążyli zgodnie z panującym tam rytmem — do pracy wytężonej. Jeden ze studentów postanowił poznać do gruntu życie amerykańskie i unikać zetknięcia się z kolonią polską. Inny, przeciwnie, starał się o kontakt z tamtejszymi rodakami. Ci, co nie umieli po angielsku, zabrali się do nauki tego języka forsownie, uczęszczając na specjalne wykłady dla *Non speaking english students* (darmo!), udzielając zamiennych lekcji np. francuskiego i polskiego. Inni wstąpili do fabryk dla zarobkowania i pomnożenia swoich funduszy. Dla studentek jest pensjonat na 500 osób w Whittier Hall. Utrzymanie kosztuje 14 dolarów tygodniowo i pokój, czysto utrzymany, z pościelą i umeblowaniem, telefon, ła-

zienka, jedzenie 3 razy dziennie. Rano podają owoce wyborne, pomarańcze, grapefruit, kawę z bułkami.

Lunch t. j. nasze II śniadanie składa się z ryżu, jajek, kaszy owsianej na mleku i owoców. Obiad wieczorem mniej smaczny, gdyż naogół kuchnia amerykańska nie należy do wykwintnych. Zupy są wodniste i słone, mięsa nie umieją dobrze przyrządzić. Dają obficie słodycze, różne *ice-cream'y*, ciasta. Dopiero w kolonii polskiej, u znajomych, studenci nasi raczą się potrawami takimi, jak kurczęta, pieczenie, ołatki i nasze polskie gęste, esencjonalne zupy.

W Whittier mieszkają same różnokolorowe studentki: Chinki, Japanki, Hiszpanki, Chilijki, Filipinki, Rosjanki, Litwinki; mało Angielek i Amerykanek. Południowe panie marzyły tej zimy, choć była łagodna i chodziły otulone futrami, gdy północne poprzestawały na kostiumach jesiennych. Amerykanki z zapalem studjują jęz. francuski, ale nie mogą dojść do doskonałości w wymawianiu, przeszkadza im widać układ ust i języka, nawykłego do szczególnych wyginań przy używaniu swojej rodzinnej mowy. Język polski uważają za nieprzezwytczenie trudny. „Tysiąc lat w Polsce przebytych — a jeszcze bym się nie nauczyła mówić!” — powiedziała jedna z nich. O literaturze polskiej niewiele wiedzą, teraz wpadł im w oczy Reymont, z powodu nagrody Nobla i reklam księgarskich. Wiedzą, że istniał Moszkowski, kompozytor..., nie wiedzą o Chopinie. Teraz interesują się Conradem, który jest dla nich przystępny. Praca w uniwersytecie i zarobkowania tak pochłania czas, że na literaturę mało pozostaje czasu. Zresztą Amerykanie wogóle są mniej zdolni niż Polacy, zwłaszcza do języków. O Polce jednej, która b. szybko zaczęła mówić po angielsku i już może zdawać egzamina w uniwersytecie, powiedziano, że jest *a born linguist*. Amerykanie nie chwytają również pojęć abstrakcyjnych, przynajmniej z trudem, tak widać ich *common sense*, praktyczny zmysł wytworzył jednostronny kierunek myślenia. Prawdziwa przeciwwaga i pożyteczne zbliżenie dla nas. Pod względem charakteru, Amerykanie są b. solidni, uczciwi, dobroduszni, prawie dziecinni, naiwni. Stosunki koleżeńskie wśród studentów wymarzone, solidarność nadzwyczajna.



Biblioteka



Czytelnia w Teachers College

czajna i chęć pomocy pod każdym względem. To ułatwia życie naszym emigrantom. Równie poprawny jest stosunek profesorów do uczniów. W laboratorium chemii w Columbia University, wspaniale urządzone, profesor przysiadł się do studenta, który ma jakieś trudności i razem pracują, profesor często uczy papierosem, — co może mniej wskazane, ale świadczy o przyjaznym stosunku. Co prawda, student przed przystąpieniem do prac egzaminowych składa piśmienne zobowiązanie, że pracował samodzielnie. Wszelakie t. zw. „ściągaczki” są tam nie do pomyślenia. To też można sobie wyobrazić, jakie wrażenie w Ameryce wywołała wiadomość o ohydnej sprawie wileńskiej! Jakże rumienić się musieli studenci Polacy za swoich rodaków! A dla Amerykanów to wprost incydent nie do wiary.

Pomimo dość taniego utrzymania, stypen-



djum nie wystarcza na wydatki nadprogramowe (pobierają 500 dolarów rocznie), jak kupno odzieży, doktór, płacenie za zębów, wycieczki, przyjemności. Przyjęte jest, że student zarabia na rozmaity sposób, np. jeździ z próbami towarów, sprząta mieszkania w zamożnych domach, podaje gościom w restauracji. Każda praca spotyka się z uznaniem i nie dziwi nikogo. A już kobiety otoczone są najtroskliwą opieką. Już jest na ulicy wieczorną porą skinąć na policjanta, aby przybiegł z natychmiastową pomocą, czy poradą lub obroną.

O poziomie wykładów

w uniwersytecie trudno dać dokładne pojęcie, tak zupełnie różny jest program od europejskiego. Na wydziale t. zw. Practical Arts wykłada się sztukę gotowania, szycia. Każda studentka ma swoje przyrządy, i w auli uniwersyteckiej pietrasi się aż miło! A wszystko według przepisów naukowych, wskazówek



Laboratorium działu gospodarstwa domowego



Biblioteka Columbia University

chemji, z uwzględnieniem odpowiednich ilości węglowodanów, białka, tłuszczu i t. d. Ciekawe jest zestawienie kuchni polskiej i amerykańskiej, był to temat jednego z referatów, zadanych studentce-Polce.

Jednym z warunków przyjęcia stypendysty jest wykazanie się pracą społeczną i oświatową w kraju, aby ją przenieść na grunt amerykański. Wzajemian wymagane jest zaznajomienie się z pracą społeczną w Ameryce. Dzieci Polaków amerykańskich zrodzone na obczyźnie, b. źle mówią po polsku, szkoły stoją nisko, brak dobrych nauczycieli. Wskazane jest przeto nauczanie tych dzieci i studenci polscy noszą się z zamiarem prowadzenia szkoły w czasie letnich wakacyj,

naturalnie za dobrem wynagrodzeniem. Niektórzy też wygłaszają odczyty dla kolonii polskiej o stanie szkolnictwa w macierzy i wogóle o tem, co się dzieje w Polsce.

Stypendyści mają obowiązek, po ukończeniu studjów, wrócić do kraju i zastosować swoje zdobycze na gruncie ojczystym. Sądzę, że wrócą wszyscy z radością i spełnią gorliwie swoje zadanie. Nie wszystko naturalnie da się przystosować do naszych warunków, trzeba też się liczyć z odmienną psychiką ludności i warunkami technicznymi. W każdym razie dużo da się zrobić. A choćby tylko zaszcześcić u nas amerykańską pracowitość i przedsiębiorczość — i to warto!

Połów wielkich drapieżców morskich

Ciekawe obyczaje ze świata ryb

Napisał

Hamilton M. Wright

Copyright in Poland by J. Stefańska, All rights reserved, 1925.

Faktów, podanych tu przezemnie, nigdy nie znajdziecie w żadnej książce naukowej. Wszystkie, bowiem, spostrzeżenia nad obyczajami ryb, o których pisać tu zamierzam, zostały zebrane od ludzi, którzy spędzili życie swoje, studiując warunki i właściwości tego jednego z najciekawszych miejsc połowu. Mogłbym się właściwie nie spieszyć — niema bowiem obawy, aby ludzie ci mnie uprzedzili, ogłaszając swoje spostrzeżenia drukiem. Są oni zbyt nieśmiali, aby przelać swe wiadomości na papier. A mają ich pełną skarbnicę! Niektóre np. z codziennych obserwacji rybaków, dotyczące się wielkich skoków tych morskich potworów, wydają się tak mało prawdopodobne, że chociaż wieść o nich zaszła daleko, ostrożni uczeni zawahali się wciąż je do swych

notatników. Sądę jednak, że uwierzycie mi, jeśli opowiem o rzeczach widzianych własnymi oczami.



Najmniejszy ze złowionych dotychczas okaz ryby
skrzydlatej

Wśród mieniących się różnemi barwami raf brzegów Florydy pływa niezliczona ilość ryb; do najciekawszych należy bezwątpienia „skrzydłata ryba” (*Istiophorus nigricans*). Ona sama mogłaby doskonale być tematem grubego tomu. Należy do najszybszych pływaków w oceanie. Kiedy ją przestraszyć, to szybkość, z jaką pływa, dochodzić może od 60—70 mil. ang. na godzinę, co zresztą zostało sprawdzone doświadczalnie, a o czem rybacy dawno już wiedzieli. Jeżeli zaczęła się o haczyk wędę, to mknie przez wodę na podobieństwo iskry, szybciej, niż oko zdolne jest ją wysledzić. Nic też nie znaczy dla tej ryby



Połów ryb skrzydlatych

dopędzić makrelę lub jakąkolwiek inną zdobycz, stanowiącą dla niej pokarm. Jeden z moich przyjaciół opowiada, że *Istiophorus*, połknąwszy pewnego razu haczyk, rzucił się z błyskawiczną szybkością do ucieczki. Ponieważ wtedy znajdował się na motorówce, puścił więc ją pełnym biegiem, z trudnością dotrzymując rybie kroku. Najzabawniejsze, to fakt, że w końcu ryba, wykonawszy skok, wpadła na dach szalupy, wyginając go przytem swoim ciężarem. Że ten ostatni nie był mały, to wnosić można chociażby z całowej grubości blachy, z której dach był zrobiony.

Tak szybki jest ruch tych ryb w wodzie, że rybak niedoświadczony przysięga, że widział dwie ryby tam, gdzie była tylko jedna. Jedyny argument, który musi go wreszcie przekonać, jest znalezienie na haczyku jednej tylko ryby. Na podobieństwo iskry zmienia „skrzydłata ryba” bezustannie swą pozycję, robiąc wrażenie, że znajduje się równocześnie w kilku miejscach.

Czasem jesteśmy świadkami odmiennego zjawiska. Jeżeli ryba połknie hak, to zdarza się, że przez czas jakiś „chodzi wyprostowana na swoim ogonie”, rozbijając wodę w pianę. Ruch postępowy uzyskuje przez poruszanie jednej z połówek płetwy ogonowej. Jest to doprawdy ciekawy widok obserwować rybę „chodzącą” w tak dziwacznej pozycji, przyczem posunąć się może w ten sposób na przestrzeni 150 stóp.

Proszę wyobrazić sobie rybę sześciu do siedmiu stóp długości, czasem nawet ośmiu, której grzbiet i górne części boków są barwy ciemnej, dolne zaś części i brzuch są białe, błyszczące, jak srebro. Górna szczeka silnie wydłużona w długi dziób, ostro zakończony; dolna szczeka, również ostra, jest jednak znacznie krótsza. Na stronie grzbietowej ryba zaopatrzona jest w dwie płetwy kolczaste, o długich promieniach, nadających charakterystyczny wygląd tej istocie. Płetwa ogonowa jest widełkowato rozdwojona, przyczem wycięcie jej jest bardzo głębokie. Na-

tomiast płetwy parzyste są drobne i w lokomocji nie mają wielkiego znaczenia. Są one osadzone jedna pod drugą w okolicy skrzel.

Ludzie, którzy tracą swe fortuny na polowaniu na tygrysy w Indjach, lub na lwy w Afryce, nie mogą doświadczać większych emocyj, niż spotkawszy się w walce z *Istiophorus*, na wybrzeżu Florydy, w Long Key.

Dopiero zresztą w ciągu ostatnich dziesięciu lat, „skrzydłata ryba” poławiana jest w większych ilościach. Poraz pierwszy rybę tę złowiono, jak głosi oficjalna notatka, w wodach Palm Beach w r. 1901. Przed tym okresem rybacy nie mieli o niej wiadomości, być może wskutek nieumiejętności połowu. Obecnie połów jej jest dość częsty, szczególnie zaś obfity na brzegu Golf - Stream'u, kiedy *Istiophorus* wpływa, celem wyszukiwania pożywienia, w rafy wybrzeża Florydy. Najobfit-

szy połów przypada na okres od grudnia do kwietnia, jednakże w pojedynczych okazach spotyka się cały rok.

Często, gdy rybacka szalupa zbliży się do raf, można dostrzec wysoką płetwę grzbietową, od której pochodzi nazwa „skrzydłatej ryby”, wystającą ponad poziom wody, lub też niekiedy można być świadkiem, jak ryba wykonywa skok, wysoko ponad wodę, potrząsając swoją kościstą głową. Podobnie do innych wielkich ryb w tych wodach *Istiophorus* gości często na swych skrzelach pasorzyta, w postaci larwy żarłacza. Ta ostatnia karmi się wtedy śluzem, wydzielanym przez

skrzelu swego gospodarza, który czyni wszelkie wysiłki, niecierpliwie skacząc, aby pozbyć się tego niepożądanego gościa.

„Skrzydłata ryba” jest szczególnie stworzeniem, o kapryśnem usposobieniu, z którą rybak narażony jest na ciągle i nieprzewidziane niespodzianki. To też niewprawny rybak niezawsze decyduje się płynąć wślad za akrobatyczną zdobyczą.

Różnego rodzaju przynęta używana być może do połowu. Kawałek mięsa rybiego używany jest najczęściej w opisywanych okolicach. W okolicy Palm Beach używa znany amator, Dr. Deane, jako przynęty, żywą rybkę, zwaną tu „błękitnym konikiem”. W każdym razie, „skrzydłata ryba” wymaga jako przynęty czegoś, co może jej służyć za pożywienie, obwachuje bowiem starannie przynętę, zanim ją połknie. I tylko niekiedy uda-



Dwa olbrzymie okazy skrzydłatej ryby

je się ją złowić na sztuczną przynętę, w rodzaju kręcącej się łyżki. Używają też w tym celu dzwonka barweny, makreli, a nawet kawałków delfina. Przynęta nie powinna przekraczać 10-ciu cali.

Kiedy woda między rafami staje się gładka i spokojna, co zdarza się dość rzadko, może udać się nam być świadkiem pięknego zjawiska. Oto wpada „skrzydłata ryba” w stado ryb pomniejszych. Ta ostatnie rozpierchają się we wszystkie strony, jak rażone piorunem. Powstaje straszny zamęt, z którego widoczny jest tylko błysk srebrzystych rybek, kotłowanie i skoki drobnej ryby na



Skok drapieżca morskiego

powierzchnię. Ostry jednak dziób wodnego drapieżnika nie ustaje w pracy, rozbijając całe stado większych nawet ryb. Sam drapieżca przeży się, to znów skacze w powietrze w pogoni za rybą, siejąc wokół spustoszenie. Zarzucona w takiej chwili węda ma wszelkie szanse swej użyteczności. Rozszalała ryba rzuca się i na przynętę, nie zachowując wiele ostrożności. Jeżeli poczujesz, że przynęta została uderzona przez kościsty dziób, cofnij szybko wędkę, a im większy będzie drapieżca, tem szybciej połknie przynętę. Otwór paszczy jest wprawdzie wąski, ale zato duży, to też łatwo przelyka przynętę, długą na 10 cali. Ponieważ kości czaszki są mocne, więc hak, raz wbity w podniebienie, czy szczęki, trzyma się dobrze.

Ryba ta nie należy do bojaźliwych. Przekonał się o tem długoletni dozorca wybrzeży, który, łowiąc przed laty tego skrzydlatego króla raf koralowych, zauważył go zbliżającego się do białej burty barki i spoglądającego na przynętę, aby widocznie, dostatecznie poin-

formowany, wrócić z powrotem, niezadowolony z dokonanej inspekcji

Niestety niewiele wiemy z biologji rozmnażania tej ryby. Przypuszczalnie ryby te rodują się w rafach Long Key, gdyż dotychczas nie poławiano nigdy mniejszych okazów, poniżej 7-miu funtów. Największa ryba, tu złowiona, ważyła 93 funty, długości 8 stóp i 4 cale.

Jeżeli więc masz do czynienia z większym okazem, o czem po pewnej wprawie łatwo możesz się przekonać po sile uderzenia dziobem, to puść swobodnie linkę.

Natomiast linka musi być dobrze naciągnięta, jeżeli masz do czynienia z „tarpon'em” („Silver King”). Jest to również ryba pokaznych rozmiarów, jednak mniej szybka, niż poprzednia. Nie znaczy to, aby miała używać różnych niespodziewanych sposobów, celem pozbycia się połkniętego haka. Jeżeli ten ostatni zaczepi się pomiędzy skrzela, to stara się ona je rozszerzyć, aby następnie, gwałtownem wstrząśnięciem głowy, odrzucić hak, niekiedy na 50 stóp odległości. „Srebrny

Król" (Silver King) jest właściwie spokrewniony ze śledziem; tarło odbywa się w wodzie słodkiej, gdzie też niekiedy bywa łowiony. Często zachodzi też do wody nawpół słonej, w pobliżu dopływów rzek. Tutaj jednak, w Long Key, jest poławiany poniżej wiaduktu linii kolejowej Florida East Coast Railway. Największy okaz, złowiony tutaj, ważył 208 funtów, najmniejszy 4 uncje.

Szybkość, z jaką ryba płynie, zależy przede wszystkim od prądu, nie przekracza jednak 2—3 mil. ang. na godzinę. Tem niemniej jest do złapania trudniejszy, gdyż bardziej płochliwy. To też i przybory do połowu muszą być bardziej skomplikowane.

Na tych jednak dwóch gatunkach nie wyczerpuje się lista wielkich drapieżców morskich wybrzeża Florydy. Należy tu również „Bursztynowy Jacek” („Amberjack”) wielka ryba, dochodząca do 100

funtów, żyjąca również w rafach koralowych. Jest to silne stworzenie, wykonywające wprawdzie mniej skoków i dające mniej emocyj przy połowie, tem niemniej jednak trudna do schwytania, gdyż zaraz po połknięciu haka, ryba ucieka między skały, gdzie prawdopodobnie znajduje się jej stałe locum. Naturalnie, często węda, zaplątana w rafy, przerywa się, a zdobycz umyka.

Najlepiej, jako przynętę, stosować tu należy żyjącą małą rybkę np. barwenę, albo nawet kraby morskie. Silne szczęki tej ryby doskonale radzą sobie z twardą osłoną tych

skorupiaków. To też, gdy zamknie swą paszczę, rybak ma wiele trudności z wyciągnięciem haka, tak twarde są kości tej ryby.

Niekiedy „Amberjack” może być przynęcony do samej burty szalupy, bynajmniej nie uciekając. Ryba ta odznacza się wogóle wielką ciekawością. W chwili, gdy zarzucasz wędę, cała rodzina ryb przy pływa, aby przypatrzeć się tej operacji. Rybak może

wtedy najspokojniej w świecie wyciągać jedną rybę za drugą, zanim rozbiegnie się gromadka. Niech tylko zerwie się linka, a cała gromadka popłynie za nią. Do ulubionych sportów należy tu nawet „prowadzenie stada”, polegające na tem, że za złapaną na hak rybą ciągną inne całem stadem.



Olbrzymi okaz „piły”

Każdy zapewne słyszał o żarłacz, tej drapieżnej rybie, zwanej „morskim tygrysem”. Niekiedy roi się tu od nich. Żarłacz, w po-

równaniu ze „skrzydłą rybą” jest średnim pływakiem, a również i rozmiarami ustępuje tej ostatniej. Największy okaz nie przekracza 5 stóp długości, o wadze 57 funtów. Za to w żarłoczności nie ustępuje żadnej. Zapomocą swych potężnych szczęk, uzbrojonych w ostre, stożkowate zęby, kraje jednem ukąszeniem ciało swej ofiary, łatwiej, niż to czyni wilk z przysłowiowym barankiem.

Tutejszy dozorca postrzelił jedną, większą sztukę, polującą w płytkich wodach raf na drobne rybki. Kula wyrzucona ze strzelby o znacznym kalibrze, powinaby, jakby się

zdawało, ugodzić śmiertelnie żarłacza. Jak strzała pomknął „morski tygrys”, aby za chwilę osiąść w bliskości wybrzeża pomiędzy wodrośkami. Ale już po upływie paru sekund zerwał się, aby zniknąć w morskich głębinach. Dozorca czekał cierpliwie jednak, będąc pewny, że wkrótce martwe ciało jego wypłynie na powierzchnię wody. Istotnie ukazał się po upływie dwóch godzin, ale pozornie nieszkodzony, grasował dalej wśród swych ofiar. Kiedy jednak dozorca zbliżył się ze strzelbą, zniknął powtórnie i na ten raz już bezpowrotnie. Dowodzi to w każdym razie wielkiej jego odporności.

Żarłacz wybrzeży Oceanu Spokojnego jest znacznie mniejszy i rzadko tylko dochodzi do 8 funtów, jest też nieznan w Atlantyku. W tym roku jednak jeden okaz tego gatunku został tu schwytany. Fakt ten trudno wyjaśnić.

Najbardziej królewską rybę przypomina „Peto”, ryba, znana pod tą nazwą w Bahamas. Jest ona jednak cokolwiek mniejsza, dochodząc do rozmiarów „skrzydlatej ryby”, do której zbliża się również szybkością pływania, dochodzącą do 30 jardów na sekundę. Istnieje wiele sposobów oceniania szybkości, wszystkie jednak dadzą się sprowadzić do naznaczenia ryby, czy to przez związanie jej kolorowego sznureczka, czy też przez nawleknięcie na jej ogon pierścienia.

Należy wreszcie wspomnieć o niewielkiej wprawdzie, lecz niemniej ciekawej rybie, szybkiej jak strzała, błyszczącej jak srebro, wesolej, pięknej, pokrytej skostniałymi tarczami. Największy okaz, złowiony w Long Key, ważył 12 funtów. Wspomnieliśmy o niej, że jest barwy srebrzystej, ale równie dobrze powiedzieć o niej można, że jest zielona, mienią się bowiem kolorami jak perłowa masa. W oku widoczna duża, czarna źrenica, otoczona srebrzystą tęczówką, co czyni wrażenie wielkich czarnych oczów.

Zane Grey, znany nowelista, a zarazem amator rybactwa, który uprawiał ten sport z zapałem na wybrzeżu Oceanu Spokojnego, w Kanadzie, Alasce i Górach Skalistych i który jest jednym z niewielu ludzi w świecie, który złapał olbrzymią rybę-pilę, zalicza do największych przyjemności połów w ra-

fach koralowych Long Key, chytrej, kostnartczkowej ryby, która nigdzie nie znajduje się w takich ilościach, jak tutaj.

Ryba ta żywi się, jak to łatwo daje się stwierdzić przez badanie zawartości jej żołądka, krabami i węgorzami. Łowienie tej ryby wędką należy do najtrudniejszych zadań. Napozór wydaje się to niezmiernie łatwe, gdyż ryba ta często przebywa w tak płytkiej wodzie, że wystaje ponad jej powierzchnię grzbietową pletwą. Ale zato jej szczęki, gardziel i powierzchnia języka pokryte są tak twardymi rogowymi guzami, że z łatwością kruszy pancerze krabów, które często, w stanie zupełnie skruszonym, znaleźć można w jej żołądku. Proszę teraz wyobrazić sobie, co dla takiej ryby może znaczyć niewielki haczyk wędki.

Z pośród ryb tych rozmiarów, należy do najszybszych. Jeżeli zostanie przestraszona w płytkiej wodzie, gdzie przed chwilą żerowała, rzuca się natychmiast w głębinę na podobieństwo torpedy.

Pletwami swymi przypomina pstrąga lub łososia, co łatwo stwierdzić nawet w jej naturalnym środowisku, jeżeli się zważy, że najulubieńszym miejscem jej przebywania jest płytka woda.

Nigdy przylem nie trzymają się większymi gromadami, najwyżej po trzy lub cztery. Ta ilość wystarcza zresztą, aby zmącić powierzchnię wody, tak gwałtowne są ich ruchy.

Najodpowiedniejszą przynętą są kraby, lub jakakolwiek ryba o twardej łusce. Należy przylem starannie się ukryć w skałach, jest ona bowiem bardzo płochliwa.

Rafy koralowe Florydy szczególnie sprzyjają połowom ryb. Kiedy znajdziesz się w Long Key, to stąd, już w odległości pięciu do piętnastu mil angielskich, ciągną się przepiękne rafy koralowe. W krzaczastych zwalach koralu, ryby znajdują doskonałe schronienie, a liczne zwierzęta i rośliny, żyjące tutaj, stanowią idealny pokarm. To też chmary drobnych rybek uwijają się bezustanku. W ślad za nimi przyplływają i drapieżce, które szybkimi susami potrafią wpaść niespodzianie w bezbronne stado drobnych rybek, znajdując w nich dla siebie doskonały żer. Drapieżca działać musi szybko, oszoło-

mione, bowiem, rybki, kręcą się przez chwilę bezradnie, ale wnet chronią się pomiędzy krzaki wapiennych koralu, w gęstwinie których czują się już bezpiecznie. Po chwili znów wraca wszystko do, przerwane przez nieprzyjaciela, żerowania. Tylko kraby, otoczone ciężką skorupą, łążą powoli po dnie morskiem, przekonane, że każdy nieprzyjaciel

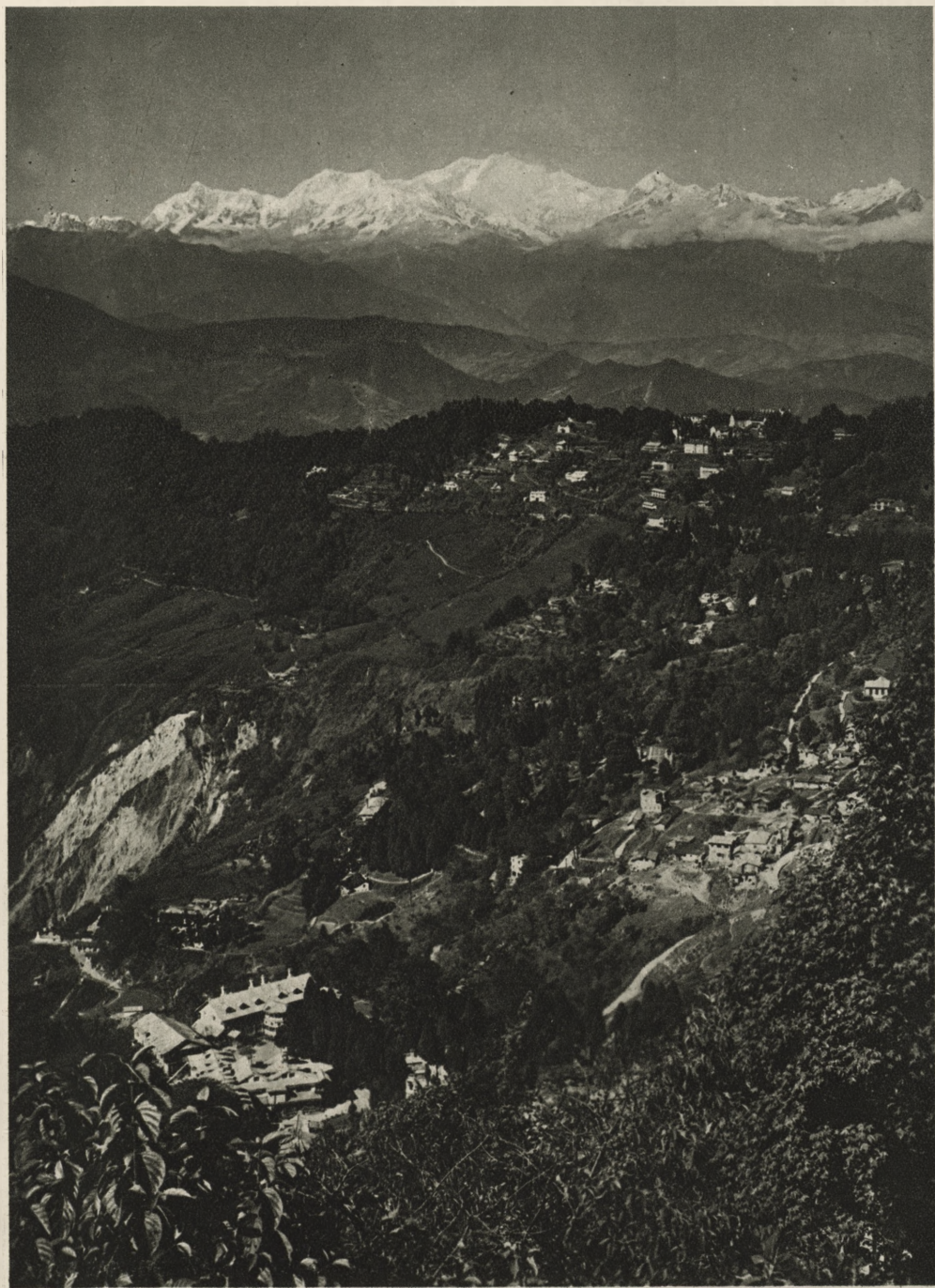
skruszy zęby o ich ciężki pancerz. Widzieliśmy jednak, że i ten ostatni niezawsze może dać dostateczną ochronę.

Wybrzeża Floridy, w szczególności zaś Long Key, są wymarzonym terenem dla sportu rybackiego.

New-York, czerwiec 1925.



Połów „srebrnego króla“



Śladami ekspedycji himalajskiej

N a p i s a ł

inż. Adam Czeżowski

W skwarze kwietniowego popołudnia wsiałam w Kalkucie do pociągu wschodnio-bengalskiego Towarzystwa kolei żelaznych, pocieszając się tem, że jadę ku wiecznym śniegom Himalajów i ten wieczór prześladowającej mnie spiekoty jest na cały szereg dni ostatnim. A przy trochę niższej temperaturze jazda w tym luksusowym „himalajskim ekspresie”, składającym się prócz wagonów pierwszej klasy, tylko z widokowych salonów, restauracji, łazienek etc., mogłaby być sama przez się wielką przyjemnością. Trudno jednak na świecie o bezwzględną przyjemność bez żadnego „ale”. W każdym razie ma się tu to przeświadczenie, że technika zrobiła wszystko i wyzyskała całe długoletnie doświadczenie, nabyte pod palącymi promieniami indyjskiego słońca, aby to „ale” do możliwych granic zmniejszyć. Resztę zaś spełnia przedsiębiorczość „menagera” z restauracyjnego wagonu, który także bez przestanku krąży swoim w białe kostiumy i turbany przystrojonym „niewolnikom” po całym pociągu, aby na każde zawołanie móc służyć podróżnym różnemi „cold drinks” i lodami. Pociąg, wyszedłszy z nieskończonych przedmieść Kalkuty, mknie przez bezmierną bengalską równinę. Jak okiem sięgnąć, ciągną się tu tylko pola ryżu, głównego pożywienia ludności oraz juty z grupami palm, drzew mangowych lub bananów w gęsto rozsianych

wioskach. Bo okolica należy do najbardziej zaludnionej w Indjach. Przed samym wieczorem jeszcze mam sposobność zobaczyć wspaniały most Hardinga przez Ganges, z którego się szczyty Zarząd wschodnio-bengalskich kolei. Budowla to rzeczywiście w swoich wymiarach niezwykła. Ogólnej długości 1.800 m przekracza most rzekę piętnastoma żelaznemi przęsłami po 110 m rozpiętości każde, opartych na szesnastu kamiennych filarach, z których największy posiada wysokość od spodu fundamentów do konstrukcji żelaznej przeszło 16 m (przy głębokości fundowania poniżej poziomu małej wody 49 m). Koszta jej jednak były także wspaniałe — około 2 i pół miliona funtów szterlingów, co wystarczyłoby bez mała na całą przebudowę naszego węzła warszawskiego. Niedaleko po przekroczeniu Gangesu, kończy się szerokotorowa część kolei i na stacji Santahar trzeba się przesiąść do czekającego obok pociągu, który ma nas przewieźć dalej na węższym torze (1 metr). Przygotowane jednak miejsca sypialne nie pozwalają mi skarżyć się na zmniejszenie komfortu, gdyż całą drogę do końcowej stacji Siliguri odbywam już w objęciach Morfeusza.

Siliguri to ostatnia placówka kolei bengalskich, a początek górskiej, malutkiej kolejki do Dardżilingu. Tu się też zmienia jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej cały

krajobraz. Jeszcze trochę przed Siliguri skończyły się uprawne pola ryżu, a zaczął pas tropikalnych lasów znany pod nazwą „terai”, który się już łączy, przerywany tylko od czasu do czasu coraz częstszymi plantacjami herbaty, z dziewiczymi lasami, porastającymi zbocza południowych Himalajów.

Raj to też dla myśliwych, którzy mogą tu znaleźć wszelkie polowanie, o jakimby tylko zamarzyć mogli. Tygrysy, słonie, nosorożce, lamparty, bawoly, jelenie i cała masa drobniejszej zwierzyny roi się tu do tego stopnia, że niedawno, jak miano-
powiadał nacz. Dyrek. kolej. w Kurseong, okazało się, że nadciągającego pociągu, że maszynista uważał za rzecz najrozsądniejszą cofnąć się do najbliższej stacji i tam

przeczekać, aż ich wojownicze zapaly ostygną.

Linja dardzilińskiej kolei, rozpoczynając się na wysokości 130 metrów n. p. m., podchodzi na przestrzeni 70 kilometrów do stacji Ghum do wysokości 2.300 metrów i na całej tej ogromnej różnicy wysokości, można w przeciągu kilka godzin obserwować bajeczną przemianę roślinności. Właściwa terai zarośnięta jest przeważnie gęstą dżunglą bambusów-olbrzymów, wsze'kiego rodzaju trzciną oraz trawami, dochodzącymi nieraz do wysokości ośmiu metrów z wspaniałymi pioropuszami kwiecia u góry. Zrzadka tylko

widac tu grupy palm różnych, bananów oraz innych drzew, których nazwy tylko biegły botanik wymienić potrafi. Po małym wzniesieniu się jednak trawiasta dżungla ustępuje miejsca wysokopiennemu lasowi, który jest w tej strefie może najpiękniejszy. Olbrzymie drzewa chlebowe, deodary, mimozy,

akacje, drzewa figowe, kauczukowe, wysmukłe i cenny salsal, splecione w jeden olbrzymi chaos siecią nieprzerwaną lian kwitnących, niebiesko, liljowo i różowo, przykuwają oczy swoją potęgą i pięknem. Przeważają kolejarzy, dbający i o intelektualne potrzeby swojej publiczności, poumieszczał w widocznych miejscach wielkie tablice co każde 1.000 stóp (około 300 m.) wzniesienia, które ogłaszają w równych tysiącach wysokości da-



Sosny himalajskie nad Dardzilingiem

nego miejsca nad poziom morza.

I tak do wysokości około 3.000 stóp, widzimy wspaniały tropikalny las, sąsiadujący bezpośrednio z dżunglą terai. Powyżej 3.000 stóp zaczynają przeważać drzewa orzechowe, dęby, a w okolicach ludzkich siedzib migdały i brzoskwinie. Im wyżej, tem częściej zaczynają mieszać się z roślinnością stref tropikalnych, bardziej nam swojskie drzewa liściaste, a osobliwie brzozy. Powyżej 4.000 stóp znowu następuje zmiana krajobrazu — na widownię wchodzi wspaniałe drzewiaste paprocie, dochodzące do 6 metrów wysokości,

drzewa laurowe, kwitną magnolia i rododendrony. Wszystko to wciąż jeszcze owinięte splotami kwitnących ljan i urozmaicone strzelistemi pękami bambusów.

Najciekawsze jednak, najpiękniejsze i najbardziej charakterystyczne dla tych okolic, to nieskończone odmiany storczyków (orchidei). Wyzierają z każdego rozwidlenia drzew, zwisają w fantastycznych splotach z gałęzi, otulają swojemi czułemi mackami ich pnie. Nieszkodliwe jest jednak to współzycie orchidei dla innych drzew, gdyż potrzebne one są im tylko jako podstawa, soków zaś nie czerpią z nich żadnych, żywiąc się jedynie w dosłownym tego słowa znaczeniu „z powietrza”. W Gangtoku, w ogrodzie u mego przyjaciela, który jest zapalonym zbieraczem orchidei, widziałem pięknie ubraną niemniwerandę, przyczem kwiaty umieszczone były poprostu na suchych kawałkach konarów, na których uciepione swojemi mackami doskonale się rozwijały. Zbieranie zaś storczyków i „przesadzanie” odbywa się również bardzo poprostu; zdejmuje się je ostrożnie z pnia, na którym rosną i umieszcza na dowolnym innym, przymocowując tylko początkowo macki do nowego podłoża przy pomocy sznurków, aż do czasu, gdy znowu odzyskają moc przyłgnięcia doń samodzielnie. Trzeba tylko, oczywiście, pamiętać, by były umieszczone, osobiście delikatniejsze gatunki w podobnych do pierwotnych, warunkach. Niektóre zaś z nich wystarczy poumieszczać w zwykłych wazonikach, napelnionych kamieniami. Kwitną te zaś niezliczone odmiany również wszystkimi możliwemi kolorami. Od szarych, brązowych i zielonawych począwszy, aż do najbardziej jaskrawych żółtych i czerwonych. Posiadają albo jeden wielki kwiat, albo na wspólnej łodydze osadzone cały bukiet większych lub czasem nawet całkiem drobnutkich kielichów, zawsze jednak charakterystycznej formy, która cechuje rośliny storczykowate.

Nareszcie po całym szeregu pętli i zakosów dochodzi kolej w miejscowości Ghum do najwyższego punktu, przekracza małą przełęczkę i spuszcza się nieco w dół do stacji Dardżiling. W Ghum i Dardżilingu zaczyna już powoli przeważać smukła i wysoka himalajska sosna, choć liściastych drzew wciąż jeszcze wiele.

Do Dardżilingu przyjechałem właściwie głównie dlatego, że miałem tu umówione jeszcze listownie z Mezopotamji spotkanie z moim przyjacielem majorem B. Tymczasem na miejscu otrzymałem wiadomość od niego, że się spóźni trochę, gdyż nie zdąży na czas wrócić z Nepalu, gdzie właśnie wtedy przebywał. Dwa pozostałe mi więc dni postanawiam wyzyskać dla szczegółowego obejrzenia Dardżilingu — miejscowości zresztą samej dla siebie godnej widzenia, dla której turyści zjeżdżają się z całego świata. Niestety, widok na śnieżne szczyty Himalajów zakryty gęstą zasłoną mgieł, trzeba się więc na razie zadowolić tylko osobiwościami samego Dardżilingu. Więcej, niż ja, który mam zamiar w górach Sikkimu przepędzić przeszło dwa tygodnie, cierpi na tem grupa Amerykanów, którzy przybyli tu tylko na kilka dni. A dziwne mam do tych ludzi szczęście. Prawie równocześnie wysiedliśmy w Bombaju, gdzie oni wywołali już tam sensację, że przyjechali specjalnym, spacerowym parowcem z Ameryki. Było ich kilkunastu ludzi z rodzinami. Następnie z jedną ich partją spotkałem się w Benaresie; razem udaliśmy się do Kalkuty i w Dardżilingu znowu nasze drogi się zeszyły.

Jako turyści, zresztą o bardzo charakterystycznym wyglądzie i obejściu, byli przedmiotem nieskończonych docinków ze strony osiadłych w Indjach Europejczyków. Twierdzono o nich z niepoddającą się w dyskusji pewnością, że zwiedzają kraj przy pomocy poszczególnych delegacji, komisji i podkomisji, które na wspólnych posiedzeniach informują się nawzajem o odniesionych wrażeniach i o zwiedzonych miejscowościach, a z czasem rzeczywiście sami zaczynają wierzyć, że wszędzie byli i wszystko widzieli.

Ja jednak „niestety” nie będąc członkiem tak świetnie zorganizowanej korporacji, musiałem liczyć na własne siły, nie tracąc więc czasu wzięłem się bardzo sumiennie do zwiedzania osobiwości Dardżilingu. Letnisko samo założone jest wspaniale, na samym grzbiecie górskiego pasma, oraz na obu jego stokach z punktem kulminacyjnym w tak zwanym „Observatory Hill” wysokości 2.500 m. Różnice wysokości w samem mieście dochodzą blisko do 400 m, ale racjonalnie założone drogi, ścieżki i skróty pozwalają wy-

godnie i bez zmęczenia pokonywać te wielkie wzniesienia. Zresztą na każde zawołanie gotowe są dla miłośników konnej jazdy osiodłane drobne, lecz silne górskie koniki, a dla bardziej wygodnych na każdej ulicy czekają chętni kulisi, z ręcznymi dwukółkowymi wózkami t. zw. riksami.

Oglądając więc przedewszystkiem miasto zewnętrznie, zaczynając od najwyższego punktu, gdzie mieścił się swego czasu świątynia klasztor buddyjski, zburzony potem przez najeźdźców z Nepalu. Miejsce jednak uważane dotychczas za święte, posiada tylko małą buddyjską kapliczkę, całą otoczoną lasem wetkniętych w ziemię bambusów, na których powiewają zadrukowane formułkami płachty, zasyłając za każdym powiewem wiatru

modły za tysiące wiernych do stóp „Tajemniczego”. Prócz tego stale pilnujący kapliczki lama dorzuca do nich potężną ilość obrotów swojego „młynka” do modlitwy, mającego pokazać „wydażność” kilkuset om mani padme omów na sekundę. Główną jednak atrakcją wzgórza to wspaniały widok na góry, który mi jednakowoż niestety nie dopisał.

Piękny jest w Dardżilingu ogród botaniczny, zawierający ogromną ilość okazów himalajskiej flory, następnie cudnie położona letnia rezydencja gubernatora Bengalu, z ogromnym parkiem i widokiem na górskie olbrzy-

my. W pierwszorzędnie urządzonej klubie z placami sportowymi, w hotelach, pensjonatach, słowem wszędzie widnieją dobrobyt, komfort i celowość urządzeń dla możliwego uprzyjemnienia sobie letniego pobytu.

Mnie jednak bardziej interesuje sama ulica. To już znowu coś całkiem odmiennego od

Indyj. Wszędzie widzi się charakterystyczne mongolskie typy. A więc właściwych, choć już dość nielicznych mieszkańców w Sikkimu, t. zw. Lepcza, prawdziwych spokoj lubiących górskich, schodzących tu ze swoich gór dla zarobku, zawsze jednak pracujących na wolnym powietrzu. O charakterystycznym mongolskim wyglądzie, krępi, muskularni, bardzo niscy, prawie zupełnie bez zarostu, starannie tylko zaplatają swoje czarne jaksmoła, paty-



Dardżiling. Botaniczny ogród

kowate włosy w długie warkoczki: jeden u mężczyzny, zaś dwa u kobiet. Malowniczości dodaje im ich ubiór z formy podobny do rzymskiej togi, zrobiony z ciężkiej bawełnianej materji w szerokie pasy kolorowe.

Zupełnie odrębni od nich są nepalczy, zamieszkujący ze względu na bezpośrednie sąsiedztwo w bardzo znacznym procencie te strony. Naród na wskroś wojowniczy, osobliwie część z nich znana pod nazwą Gurków, która tak zaszczytny udział brała w walkach we Francji podczas Wielkiej Wojny. A poznać ich można odrazu zdaleka, bo każdy za



Nepalki, kobiety-tragarze w Dardżilingu

pasem nosi potężny „kukri”, krótki, ogromnie ciężki, zakrzywiony miecz, którym niektórzy władają tak nadzwyczajnie, że jak słyszałem, są w stanie jednym cięciem odciąć głowę wołu.

Najbardziej upośledzonymi przez naturę i przez ludzi są Butańczycy, choć fizycznie najwięksi i najsilniejsi. Pędząc jednak prawie wyłącznie życie koczownicze, pasterskie, pozostali najbardziej oddaleni od kultury: spełniają zaś również i pośród swych ziomków najniższe czynności, przeważnie dźwiganie ciężarów.

Sporo tu widać już tybetańskich kupców i pasterzy, którzy przypędzają swoje stada na sprzedaż.

Tymczasem jeszcze przed zapowiadzanym terminem oczekiwany przeze mnie major B. nadjechał, a z jego przyjazdem zmieniony został i program w Dardżilingu; zamiast spacerów i oglądania miasta, odwiedziny pięknie urządzonego klubu, proszony obiad u przebywającego właśnie na letnim wyczasie gubernatora Bengalu lorda L... I je-

dno i drugie równie pociągające. Z końcem jednak trzeciego dnia ułożyliśmy już teraz wspólnie właściwy plan i wyruszyliśmy początkowo automobilem, a później piechotą do „dak bungalów”, t. j. rządowego schroniska dla podróżnych, w Peszoku.

Droga nasza schodzi gwałtownie w dół, gdyż chcąc dostać się do bezpośredniego celu naszej podróży, do stolicy Sikkimu, Gangtoku, stałej rezydencji majora B., musimy zjechać aż do doliny rzeki Tisty, aby wzdłuż niej, a potem wzdłuż jednego z jej dopływów wejść na przeciwległe nam góry wschodniej części kraju. Wkrótce też wchodzimy w najgęstszą w dardżilińskim okręgu strefę plantacji herbaty i, korzystając ze znajomości i zaproszenia jednego z plantatorów, zatrzymujemy się w jego uroczym „bungalow” na późny podwieczorek, zakończony obejrzeniem fabryki.

Wdzięczni naszemu sympatycznemu gospodarzowi za miłą i pouczającą pogawędkę i przechadzkę po plantacji, żegnamy go i przybywamy pod wieczór już całkiem do

oddalonego o kilka kilometrów schroniska w Peszoku. Prawdziwem dobrodziejstwem są te „dak bungalów” dla podróżnych w całych Indjach wogóle a w tych dzikich górach w szczególności, tembardziej że nadzwyczaj racjonalnie rozłożone, w odległości od siebie zwykle jednego dziennego marszu t. i. około 25 kilometrów, czyste, ładne i wygodne, dają możliwość podróżowania bez wielkich trudów. W Peszoku mieliśmy ciekawe spotkanie z znanym angielskim podróżnikiem n. M. buddystą, Profesorem Uniwersytetu w Edynburgu, który właśnie wracał z zakazanej wyprawy do Lhasy i miał służbowo zobaczyć się z majorem B., a przy sposobności opowiadał nam przez cały wieczór arcyciekawe rzeczy o świętem mieście i całym Tybecie. Sama historia jego wyprawy była dość niezwykła i odbiła się głośnem echem w całej prasie indyjskiej.

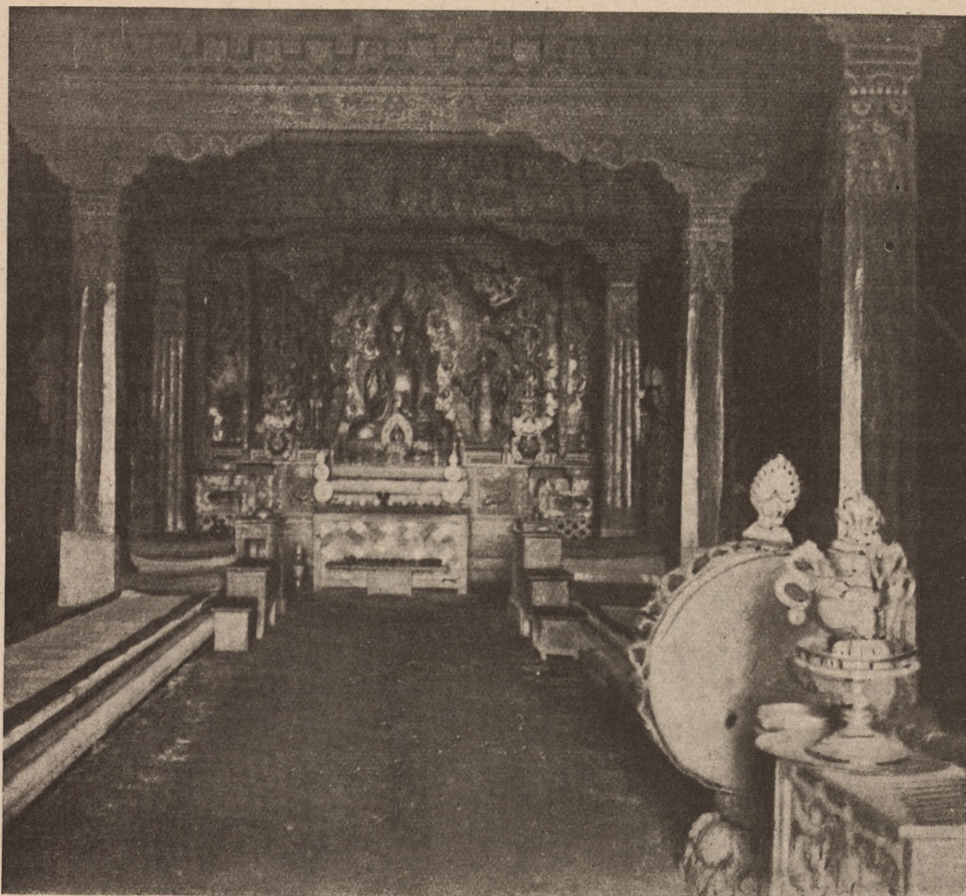
Nie otrzymawszy od rządu indyjskiego pozwolenia na podróż do Lhasy z powodu sprzeciwu tamtejszych władz, rzekomo zawrócił ze swoimi towarzyszami, w rzeczywistości po to tylko, aby zmyliwszy czujność obu rządów wybrać się ponownie samemu w przebraniu. Tym razem dotarł szczęśliwie do celu, gdzie zarzucając swoje przebranie przedstawił się na dworze Dalaj Lamy, podając jasno naukowy cel swej podróży. Dużo było szumu o tę samowolną ekspedycję i dużo kłopotu sprawił uczony buddysta rządowi indyjskiemu, jako że jednak wdzięcznie został przyjęty przez świątobliwego Dalaj Lamę i, uzyskawszy znaczne zdobycze, wrócił zadowolony ze siebie i niezrażony gorzkościami wyrzutami wicekrólewskiej kancelarii, do Anglii.

Wogóle sprawa stosunku wzajemnego Indyj i Tybetu jest przedewszystkiem sprawą otoczoną nimbem tajemniczości i kosztuje Rząd indyjski niemało kłopotów i uwagi. Obecny okres odznacza się dość silnemi wpływami angielskiemi w Tybecie, a to ze względu na osobę Dalaj Lamy. Tak że dla sfer kupieckich i handlowych otwarta jest cała południowa część Tybetu, aż do miasta Giantse, to znaczy, że pozwolenia na wjazd może udzielać sam rząd indyjski w osobie swego przedstawiciela t. zw. „political officer” w Sikimie. Dostać je jednak nie kupcom bardzo ciężko. Pozwolenie na wy-

jazd w głąb kraju, a specjalnie do Lhasy zależy już jedynie od władz tybetańskich, a rząd indyjski może polecać tylko kandydatów, co zresztą bardzo rzadko czyni jak widać z powyższego przykładu.

W samym Tybecie istnieją teraz dwa obozy, jeden Dalaj Lamy najwyższego dostojnika buddyzmu wogóle i politycznego władcy kraju, oraz Taszi Lamy przełożonego kongregacji klasztorów buddyjskich i rady regencyjnej na czas niepełnoletności Dalaj Lamy. Pierwszy z obozów ma orientację anglofilską, drugi ciąży ku Chinom, i przez długi szereg lat przed pełnoletnością obecnego Dalaj Lamy przeciwny jemu obóz miał rządzący głos w Tybecie, sprawując przez szereg lat właściwą władzę, a działo się to dlatego przy śmierci Dalaj Lamy w tej samej minucie czy godzinie wiara podaje, że dusza jego przesiedla się w nowe ciało i nowy Dalaj Lama rodzi się w tej samej chwili dla nieprzerwanego sprawowania swojego posłannictwa. Przy urodzinach tego przeistoczonego patriarchy kościoła pojawiają się pewne znaki, po których najczcigodniejszy z kapłanów z Taszi Lamą na czele rozpoznają nieomylnie, że to jest on właśnie.

Zwykle szuka się następcy wśród uboższej warstwy ludności nieposiadającej wpływów, gdyż święty mąż nie w złoczonej rodzi się kolebce. W triumfie wielkim i z uroczystościami przenosi się do świętej rezydencji „Potala” gdzie odtąd wychowaniem jego kieruje i rządzi zaś rada regencyjna, aż do ośmnastego roku życia. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności czterech ostatnich Dalaj Lamów do wieku pełnoletności nie dochodzili, umierając tajemniczo na krótko przed tem i rada regencyjna sprawowała rząd przez długich lat dziesiątek i rosła w znaczenie, wypowiadając walkę wszystkemu, co z zachodu i Europy przychodziło, widziała bowiem jedyne swego sprzymierzeńca w Chinach. I dopiero obecny Dalaj Lama, cieszący się błogosławieństwem Buddy, przeżył krytyczny wiek ośmnastu lat i, uchwyciwszy władzę w rękę, zaczął bardziej samodzielną prowadzić politykę. Wpływ potężnego Taszi Lamy zmalał, Chiny zupełnie zostały odsunięte, czemu dopomogła jeszcze zwycięska wyprawa Anglików w głąb Tybetu w roku 1900, a ręka Dalaj Lamy wyciągnęła się do



Wnętrze klasztoru buddyjskiego

zgody w kierunku Indyj, których wpływ pokojowy dotychczas przeważa w podniebieskiej krainie.

Po przyjemnej pogawędce i krótkim spoczynku wyruszamy następnego dnia, pożegnawszy naszego zajmującego znajomego dalej do Kalimpong, które leży już całkiem nisko w dolinie rzeki Tista. Tu żegnamy jeszcze jednego z naszych dotychczasowych towarzyszy i wsiadamy do oczekującego nas samochodu, aby część drogi w górę rzeki odbyć szybciej i wygodniej. Dopiero dojechawszy do Szamdong mamy dalszą przestrzeń do Gangtoku, stolicy Sikkimu i stałej rezydencji majora B. odbyć już konno. Tymczasem nie spieszymy zbyt, zabawiając się po drodze łowieniem pstrągów i fotografując na prawo i lewo. A dolina cudna, zarośnięta na obu stokach dziewiczymi lasami salu, bam-

busów, paproci, i t. d. Gorąco nam tylko dokucza nieznosne. W Rangpo, przejechawszy śmiałym wiszącym mostem burzliwą Rangpocz, przekraczamy niedawno wykreśloną granicę wolnego państwa Sikkim. W Singtam zbaczamy z doliny Tisty do bocznej doliny Rongiczu, a na trzeci dzień po wyjeździe z Dardżilingu wieczorem dojeżdżamy do Gangtoku.

Charakterystycznym dla tutejszych gór jest położenie przeważnej części miejscowości nie w dolinach rzek, ale raczej na stokach lub wysokich grzbietach górskich, tak że nie raz chcąc z jednej miejscowości dostać się do drugiej trzeba zrobić uciążliwą drogę 1000 metrów w dół i tyleż lub więcej w górę. Fakt ten tłumaczy się tem, że w dolinach panuje w lecie dotkliwe gorąco, do którego mieszkańcy gór tutejszych nie są przyzwyczajeni i że roi się w nich niezliczona ilość

komarów i moskitów. Są one więc bardzo często siedzibą złośliwej malarji.

Przemoczony dość silnym deszczem, z całą satysfakcją wchodzę do prześlicznie urządzonego przestronnego domu mego przyjaciela. Z każdego kąta widać tu, że gospodarz to zapalony zbieracz osobliwości Tybetu, a i wybitny też jego znawca. Jeszcze w roku

1900 jako młody porucznik indyjskiej armji był z słynną ekspedycją generała Younghusbaend'a jako jeden z pierwszych Europejczyków w Lhasie, a od tego czasu przeszedł Tybet powielekroć wzdłuż i wszerz, poznając dokładnie język i obyczaje mieszkańców i zwiedzając najświętsze miejscowości. Piękne wyroby z miedzi zdobią stylowe pułki, stare tybetańskie zbroje i miecze wiszą na ścianach na przemian z drogocennymi tkaninami, malowidłami na płótnie lub drukami

świętych modłów. Niezliczone młynki do modlitwy, dzwonki i trąby dopełniają kompletu, a kulminacyjny punkt stanowi kolekcja tak zwanych djablich masek, okropnych pokrak z drzewa, które Lamowie wkładają na twarze podczas pewnych rytualnych tańców. Tę ponurą dość atmosferę rozweselają wszędzie ustawione i zawieszone kwitnące orchidee, gdyż właśnie obecna pora to czas ich rozkwitu.

Następny dzień przepędzam w Gangtoku,

czyniąc potrzebne przygotowania do dalszej podróży na wschód i północ niestety znacznie zredukowanej w porównaniu z pierwotnym moim planem. Chciałem mianowicie przejść od Tybetu do Czumbi i pięknego Fari-dzong położonego u stóp świętego szczytu Czumulari. Związany jednak terminem odchodzącego z Bombaju parowca do

Europy, na którym miałem już poprzednio zamówione miejsce, musiałem się ograniczyć tylko do obejrzenia z góry tych miejscowości, a mianowicie z tybetańskiej przełęczy Matu-la. Jednym z pierwszych zdarzeń w tym dniu była przywitalna wizyta u maharadży Sikimu.

Rezydencja jego dość skromna i nie można jej porównywać ze złoceniem siedzibami potentatów z dolin, gdyż państwo ubogie liczy ogółem około 100.000

mieszk. i to żyjących w ciężkich warunkach wiecznej walki z przyrodą. Zresztą wpływ tu widać buddyzmu, a i sam władca Sikkimu i jego małżonka pochodzą z tybetańskiej rodziny. Po krótkim więc ceremonjalnym przywitaniu, przy którym następuje zamiana białych jedwabnych szali na znak przyjaźni i pokojowych zamiarów (te same szale służyły już wiele razy do tego samego celu), wchodzimy do obszernych wyłożonych całkowicie dywanami komnat rezydencji, gdzie siedząc na niskich kanapkach przy chińskiej



Lamowie tybetańscy



Widok na pasmo Kanerendzangi z okolic Dardzilingu

herbacie' prowadzimy zupełnie europejską rozmowę, bo Maharadża i Maharani wychowani w angielskich zakładach w Dardżilingu doskonale władają tym językiem. W podziw wprawia mię tylko misterna fryzura Maharani (znana mi już zresztą i poprzednio), ułożona na drewnianym łuku, jak z rosyjskiego zaprzęgu, opartym na plecach, a ubrana jeszcze różno-

barwnymi wstążkami; sterczy ona blisko pół metra ponad głową. Po skończonych odwiedzinach jadę trochę dalej, aby zwiedzić okolicę, a w szczególności aby zajrzeć do niewielkiego, ale ciekawego buddyjskiego klasztoru. Budowla z zewnątrz nie przedstawia nic osobliwego, a z daleka tylko zwracają uwagę modlitwne flagi umieszczone na długich bambusach. Wewnątrz na pierwszym planie pod ścianą

umieszczony wielki posąg z podwiniętymi nogami pogrążonego w kontemplacji Buddy, po bokach parę mniejszych figur i malowideł z nieodłącznym kołem życia. Na środku całą przestrzeń zajmują przyrządy do modlenia. I wszędzie tylko widać modlitwy mierzone na kilometry. Przy dwu olbrzymich młynach wysokości 2 do 3 metrów siedzi dwu pogrążonych w „modlitwie” Lamów, rachując obroty bębna, o których dają znać umieszczone na górze głośnie dzwoneczki, każdy dzwonek to sto tysięcy modłów posłanych

w niebiosa! W rogu siedzi skulony mnich i zawzięcie smaruje farbą drewniane tabliczki z wyciętymi na nich czcionkami, a drugi przenosi je na lichy biały perkal — to flagi, które za każdym podmuchem wiatru będą chwalić Tajemniczego. Na zewnątrz znowu pod ścianą stojących obok budynków widać setkę bębnow na pionowych osiach, a cho-

dzący naokoło Lama ru hem ręki, podobnym do wodzących patykiem po parkanie dzieci, wprowadza je wszystkie w ruch, dodając znowu kilkaset tysięcy, bo każdy bęben zapchany jest zadrukowaną bibułą. Westchnąwszy po bożnie „om mani padmi om” na inencję moich dalszych poczynąń, zwracam z powagą do domu.

Następnego ranka wcześniej posuwam się stromą ścieżką na wschód z zamiarem udania się

na Natu-la. Droga wiję się wśród dziewiczych lasów, po nieskończonych stokach odsłaniając coraz to nowe widoki. Co chwila pokazuje się słońce i już parę razy zdołałem choć częściowo rzucić okiem na wspaniałą śnieżną panoramę Kanczendzungi, Sinjol-czu, ostrego jak igła Narsing, Kabru i całego szeregu innych. Mijam w ten posób Karponang.

Stąd droga zaczyna się coraz dziksza, wspina się po skałach, sztucznie gdzieś nawet w nich wykuwana, przechodzi stromą jary i żleby, w których leżą zmarznię-



Bogaty kupiec tybetański



Most wiszący przez Tiszę

te cielska zimowych lawin. Minawszy boczną przełęcz Lagyapla, wchodzę już w najwyższy zalesiony rejon — w wysokopięny las himalajskiej sosny. Z początku wspaniały, równy, strzelający ku niebu prostymi jak strzała pniami potężnych drzew, im wyżej tem bardziej żałosny przedstawia widok. W wielkiej części uschnięty, zbity wicherami i połamany lawinami, z trudem stawia czoło ciężkim warunkom klimatycznym. Na wysokości 3.850 metrów dochodzę do Czangu, uroczu położonego domu pod osłoną potężnej skały chroniącej go od wichrów i lawin nad brzegiem zamrożonego jeszcze jeziora tejże nazwy. Tu też zastaję dwóch „kuli”, których parę dni przedtem wysłałem z Gangtoku z potrzebnym zapasem jedzenia i ciepłej odzieży.

Po pokrzepiającym noclegu wyruszam samotny ku przełęczy, położonej na wysokości około 4.600 metrów. Obszedłszy naokoło jezioro, zaczynam odrazu wspinąć się stromo w górę i wkrótce wchodzę już na jeszcze bardzo obficie leżący w tym roku śnieg. Boję się tylko czy wobec tego możliwem mi będzie wogóle wyjść na przełęcz. Rozwiewa trochę moją obawę spotkana karawana tybetańskich kupców czy pasterzy, prowadzących gromadę objuczonych wełną i skórami yaków. Zaręczają oni, że przejść można, choć śniegu dużo i wiatr wciąż zawiewa ślady. Ciekawie wyglądają ci ludzie, rośli, o mongolskich aż do przesady twarzach, w charakterystycznych tybetańskich rogatych czapach i w miękkich

filcowych chińskich butach na nogach. Godnie wyglądają obok swoich niskich długowłosych yaków nieodłącznych przyjaciół, którzy im dostarczają wszystkiego czego im do życia potrzeba.

Nie tracę więc nadziei, tem bardziej, że i pogoda zrobiła się cudowna; na niebie ani jednej chmurki, co ogromnie dodatnio wpłynęło i na moje usposobienie. Widoki na okół otwierają się niezwykle, choć niestety zachód i grupa Kanczendzangi zasłonięta stąd boczniem pasmem górskim. Tymczasem przechodzę na południowy stok bocznej grzędy i znowu posuwam się raźniej naprzód po wolnej od śniegu przestrzeni. Następuje jednak niedługo właściwe wejście na przełęcz coraz stromsze i coraz bardziej zaśnieżone. Z ogromnym wysiłkiem zaczynam brodzić po kolana głęboko w świeżo nawianym śniegu, a ścieżki ani śladu. Idę więc na ślepo, wyczuwając instynktownie przypuszczalny kierunek drogi; wiatr się zaczął niemilosierny. Odpoczywając co kilka minut, przemarznięty od lodowatych podmuchów, stoję nareszcie po ośmiodzinnej drodze koło kopca kamieni otoczonego wytkniętymi bambusami z kolorowemi szmatkami dokoła; — widok to nieodłączny dla każdej przełęczy w Tybecie. Pogoda jednak stokrotnie wynagrodziła mi przebyte trudy, pozwalając objąć okiem niezmierny szmat kraju osobiwie na wschód. Przedemną jak na dłoni rozciąga się głęboka zalesiona dolina, na dole Czumbi, Fari-dzong, a nad nim strzela do wysokości 7.500 metrów wspaniały Czumolari z swemi wiszącymi lodowcami, miejsce pielgrzymek dla pobożnych. A dalej morze szczytów, przechodzących wolno w olbrzymi płaskowyż tybetański ku Giantse, ku Bramaputrze i w końcu ku świętej Lhassie. Drogę tę przez Natu-la, w Fari-dzong i przez Kampa-dzong już dwa razy przechodziła ekspedycja śmiałków, wyruszających na zdobycie niedosięgniętego Everestu, tedy też powróciła, zostawiwszy ostatnio wśród wiecznych lodów swych najcięższych przywódców.

Niedługo jednak zabawiam na przełęczy. Przypomina mi o przykrych rzeczywistości zimny wiatr, a także będąc sam boję się być zaskoczony przez noc, lub burzę w tych wysokich rejonach, tem bardziej, że przebywszy ostatnie trzy lata prawie, że na poziomie

morza odczuwam na tej wysokości ogromne zmęczenie. Raz więc jeszcze rzucam okiem na wschód i północ, mocno żałuję, że nie mogę się choć na krótko zapuścić w ten ciekawy kraj gusł, zabobonów, klasztorów i intryg i rozpocząć odwrót z powrotem do Czangu.

Późno wieczorem dochodzę do schroniska wśród srożącej się burzy śnieżnej, dziękując Opatrzności za to, że śnieżnica złapała mnie dopiero na dole, i wyobrażając sobie co się przy takiej pogodzie działo na przełęczy. Noc całą wyła wichura, trzęsąc drewnianymi zrębami domku i przejmując mnie nawet siedzącego przy płonącym ogniu, chłodem. Całą noc przepędziłem tak w półśnie i półjawie, nie mogąc usnąć mimo zmęczenia z powodu przykrego zapalenia oczu, spowodowanego odbłaskiem śnieżnym.

Nad ranem przy znośnej już pogodzie, po świeżym śniegu schodzę tą samą drogą, aby pod wieczór stanąć znowu w Gangtoku. Po całodziennym wypoczynku żegnam serdecznie, tym razem już na długo, majora B. W programie moim leży objechać jeszcze w ciągu sześciu dni — zachodnią część kraju i dojść w najdalszym punkcie do Pamiongczu, sławiącego się swoim starym choć niewielkim klasztorem i pięknym widokiem na Kanczendzangę. Jest to jedna z najbardziej

na północ wysuniętych miejscowości, — ku śnieżnym szczytom Himalajów. Wyruszywszy z Gangtoku, udaję się przez Singtam, Temi, Damtang, Kiuzing, aby po trzech dniach ucią-

żliwej podróży częścią konno, częścią pieszo, stanąć w Pamiongczu. Droga prawie cały czas przechodzi nieprzerwane dziewicze lasy i po przez doliny rzek. Wszystkie miejscowości leżą przeważnie na szczytach gór, tak że nieodzownie każdego dnia trzeba się wydrapać nie mniej jak 1.000 do 1.500 metrów do góry i w przybliżeniu tyleż zejść na dół.

To też dość zmęczony przyjeżdżam do ubogiej wsi; nie tracąc jednak czasu, zaraz po spożyciu skromnego posiłku, spieszę odwiedzić klasztor.

Lamowie bardzo usłudźni, chętnie pokazują wszystkie osobliwości swej świątyni, nie bez nadziei oczywiście otrzymania bakczy-szu. Wcale okazałe przedstawia się solidny kamienny piętrowy budynek, zbudowany na samym wierzchołku góry. Widok też stąd jest osławiony, niestety, jak zwykle wieczorem mgły zasłaniają wszystko dookoła. Dopiero następnego ranka wysunęła się zpoza chmur wstydliwa Kanczendzanga w porannym stro-

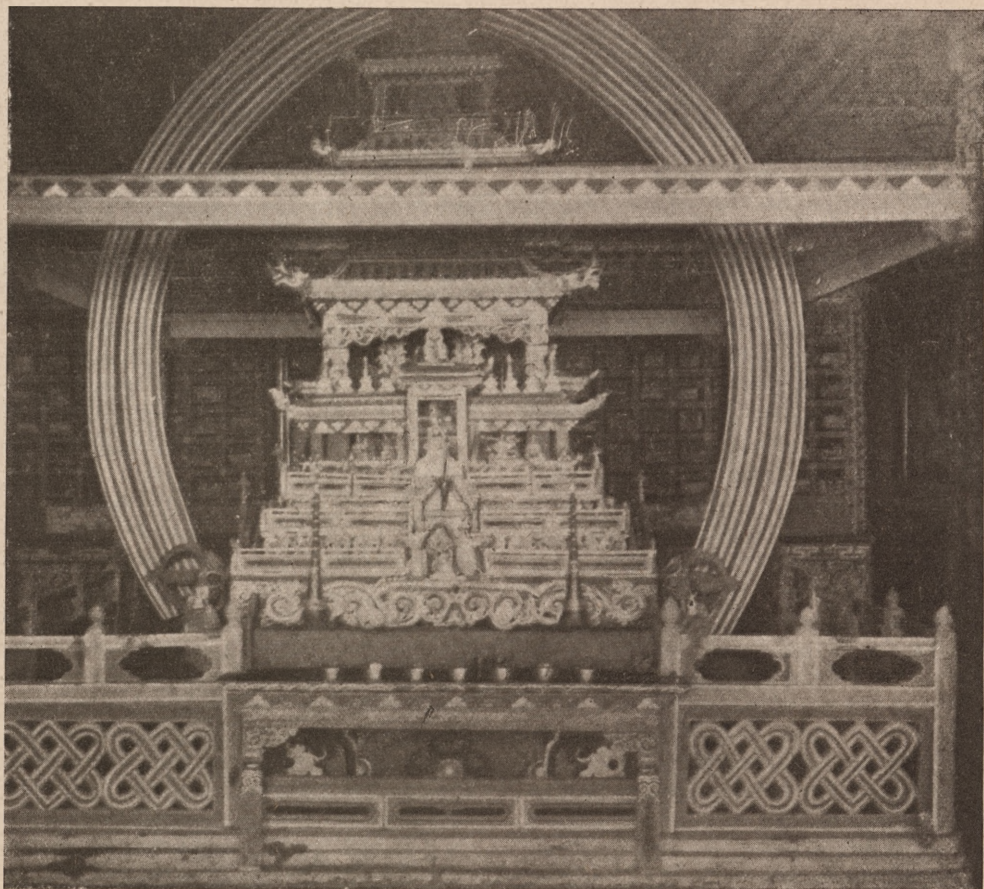
ju powiewnych mgiełek, lekko zaróżowiona karminem wschodzącego słońca. Na zielonym piedestale dziewiczych lasów, wyglądała raczej jak jakaś zjawia nieziemską. Je-



Klasztor buddyjski w Gangtoku



Jezioro Czangu



Wnętrze klasztoru w Pamiongczu (koło życia)

den taki widok wynagrodzić może trudy długich tygodni.

Wnętrze klasztoru bogato malowane; przeważają różne sceny z życia samego Buddy, piękne rzeźbione posągi i balustrady skupiają się wokoło największej figury w złożonym brzoźnie wykonanej, a przedstawiającej jak zwykle, modlącego się Buddę. Młyny modlitewne, bębny, trąby i dzwonki dopełniają całości. Na piętrze pod rzeźbionym bogato w drzewie dachem podobne malowidła; pośrodku w miejscu ołtarza umieszczono olbrzymi krąg; to symboliczne koło życia. Też same koła życia widnieją i na ścianach, tylko przedstawiają już szczegółowo cały bieg trudów ludzkich od pierwszej chwili istnienia aż do śmierci.

Pełen wrażeń opuszczam Pamiongczu, spędziwszy tam niezapomniane wieczór i rano,

i godzę się już spokojnie na nowych 1.200 metrów zejścia w dół i wyjście ponowne tysiąca do Kiusing. W Kiusing podziwiam znowu pasmo Kanczendźangi o wschodzie słońca, — najlepsza to pora koło godziny piątej rano do oglądania górskich cudów. O godzinie 6, już znowu zapada ciężka osłona mgieł. Z Kiusing przechodzę przez Namczu i Mandzitar do doliny rzeki Randzit. Tu przez śmiało wiszący most o 200 metrowej rozpiętości przechodzę na drugą stronę, aby wybijałym tropikalnym lasem przejść jeszcze ostatecznie piętnaście kilometrów, dzielące mnie od stacji kolejowej w Kalinpong.

Z prawdziwym żalem wsiadam do małych wagoników wąskotorowej kolejki, wspominając, że ten tak krótki czas obcowania z dzikim pięknem natury już minął, tych

trzysta kilometrów przemierzonej drogi, to trzysta razy po trzysta obrazów zmieniających się jak w kalejdoskopie, coraz to nowych i coraz to piękniejszych, bo nieznanych. I zamiast zaspokoić moją ciekawość powiększyłem tylko w sobie chęć poznania dalszych tajemnic tych skał nieznanych, otulonych szatą dziewiczych lasów z czapką wiecznych śniegów nasuniętych głęboko na zadumane czoło, jakby w chęci zasłonięcia się od natrętnych spojrzeń mieszkańców dolin.

Niemilościerny gwizd lokomotywy daje jednak hasło do odjazdu. Tego samego wieczoru jestem już z powrotem w Siliguri, następnego ranka już stąkam po rozpalonych i zapylonych płytach miljonowej Kalkuty. Wieczorem siadam do zarezerwowanego dla mnie przez uprzejmość dyirekcji Zachodnio bengalskich kolei, przedziału pierwszej klasy, aby w przeciągu dwóch nocy i dnia przelecieć 2.000 kilometrów, dzielących mnie od Bombaju.

P i e n i ą d z

czyli moneta obiegowa w Polsce od wieku X do XVI włącznie

W tysięcznym roku koronacji bohaterskiego króla Bolesława Chrobrego otrzymaliśmy pierwsze produkty nowej mennicy — monety niepodległej Polski. Nowa mennica zaopatruje kraj obficie i w bilon i w srebro, ale niestety znany i wytrawny artysta tym razem miał pomysł niebardzo szczęśliwy. Zamiast str. główną ozdobić roslym zdrowym wieśniakiem w stroju narodowym, np. łowickim, szczepiającym drzewo wolności, umieścił anemiczną niewiastę, spoglądającą ze smutkiem na cztery lub trzy kłosa suchotnicze, które nie są w stanie wyżywić ani jej ani narodu. Nasze położenie geograficzne wśród wrogów odwiecznych na wschodzie i zachodzie wymaga od nas, aby symbolem Polaka była siła i praca, jako źródło siły. A co jest więcej propagandowym jak moneta? Na monetach zmarłego państwa właśnie należało umieścić symbol siły i energii, a któż ma i powinien mieć więcej siły i energii jak nie rolnik? On, co niekiedy przez cały rok napróżno czeka na owoc swych zabiegów a pomimo tego w następnym roku wznawia swą pracę z nową energią, bo powiedziane jest „pracuj, a Bóg ci dopomoże”.

W wieku XI skot czyli bydło (wół) kosztował dwa grosze, a dzisiaj w wieku XX jeden kłg. mięsa kosztuje wyżej dwóch złotych, ciekawem więc jest jakie peripetie przechodziły pieniądze, aż doszły do takiego obezwartościowania.

Za czasów Mieczysława I (962—992) i Bolesława Chrobrego (992—1025) wybijano z funta srebra systemu Karola Wielkiego

wagi 367,2 grama 240 grubych denarów, monet obiegowych o wadze według przepisu 1,5 grama sztuka, w rzeczywistości zaś waga tych pierwszych monet obiegowych była często mniejsza, bo znamy monety z tego czasu o różnej wadze, a to z powodu braku odpowiednich technicznych urządzeń, które dałyby możność wygotowania blach o jednolitej grubości oraz brak urządzeń do mechanicznego wycinania krążków. Oprócz powyższych przyczyn na wagę wpływała i ta okoliczność, że prawo bicia monety było przywilejem władzy książęcej lub królewskiej, która to władza ciągnęła z tego źródła zyski na opłatę urzędników menniczych i swych osobistych. Po Bolesławie Chrobrym nastały w kraju czasy ciężkie: bunt, nieporządki i wojny doprowadziły, że monety czasów Bolesława Śmiałego (1058 — 1080) ważyły tylko połowę wagi poprzedniej. Uczenni zapewne słusznie przypuszczają, że ten król zaprowadził nową polską wagę grzywny, której dwie grzywny po 183,6 szły na jedną dawną. Z tej nowej grzywny o wadze połowicznej wybijano również 240 denarów a nie mniejszych. Bolesław Krzywousty, umierając w 1139 roku, podzielił państwo między swych synów i przez to zarządzenie pograżył kraj w stałą chroniczną anarchję, która doprowadziła do strasznej dewaluacji pieniądza, gdyż doszło do tego, że wybijano z grzywny srebra zamiast 240 sztuk monet do 1400 sztuk i okazało się, że monetka z końca XII wieku ważyła tylko 0,17 grama zamiast 1,5 grama, jak moneta z czasów Bolesława Chrobrego, zamiast 0,75 grama jak



Tabl. 1

moneta z czasów Bolesława Śmiałego. Te cienkie blaszki z konieczności mogły mieć stempel tylko z jednej strony, czyli że to były już nie denary, o wizerunku dwustronnym, ale braktesety czyli blaszki bardzo cienkie o rysunku jednostronnym, który przechodził na stronę odwrotną gładką.

Dr. Gumowski w swem dziele na str. 20 pisze „Aby ta operacja finansowa się udawała, wydawali książęta specjalne rozporządzenia i rozsyłali po kraju specjalnych urzędników, zajmujących się nadto jeszcze sprzedażą soli. Zaprowadzono trzykrotną do roku zmianę monety, czyli wycofywanie z obiegu starego, a zaprowadzenie monety nowego stempla. Ludność obowiązana była znosić monetę dawną i wymieniać na nową u urzędników książęcych, którzy na jarmarkach ze swemi bankami i solą zasiadali. Postępowanie takie połączone zwykle ze zdzierstwem urzędników i krzywdą ludności, było ciężarem, od którego bronili się biskupi, narzekał papież, krzywdzony w świętopietrze, i od którego różne warstwy pragnęły się uwolnić. Książęta, doprowadziwszy monetę do minimum wagi i wartości, nie mogąc jej dalej zmniejszać, przestali zupełnie w połowie XIII wieku bicia monet i z wyjątkiem Śląska poprzestali na dawniejszych emisjach lub na krzyżackich brakteatach. By jednak dochodu nie tracić, zaprowadzili podatek teraz już bezpośredni, tak zwany moneta czyli obraz, który razem z innymi ciężarami prawa polskiego ludność obowiązana była składać“.

Z końcem XIII wieku kończy się okres wyłączności denara, jako monety obiegowej w Polsce. W ciągu całego czasu swego istnienia powstawał denar według wzorów anglosaskich, czeskich i niemieckich, spotykamy więc na nim różne oznaki i wizerunki następujące jeden po drugim. I tak spotykamy wizerunki kościółka, ptaka, krzyża, a następnie św. Wojciecha, św. Jana oraz trzywieżowy kościół krakowski, wizerunki książąt i orła, a także różne aforyzmy i nieme ozdoby. Orzeł na przyszłość pozostanie główną ozdobą monety.

Wobec tego, że cały wiek XIII zeszedł na walkach następców Bolesława Krzywoustego,

co doprowadziło państwo prawie do utraty niepodległości, coraz bardziej stało się pożądanem zjednoczenie dzielnic pod berłem jednego panującego. Wraz z królem czeskim opanował Polskę grosz praski. Grosz praski został radośnie przyjęty, gdyż na początku był pełnej wagi i z dobrego srebra, z łatwością więc zastąpił surogat pieniężny poprzedniej epoki. Władysław Łokietek (1296—1300 i 1306—1333) bardzo zajęty wojnami, których celem ostatecznym było połączenie dzielnic w jedno państwo, nie miał czasu na przeprowadzenie reformy pieniężnej, która stała się udziałem jego syna Kazimierza Wielkiego (1333—1360).

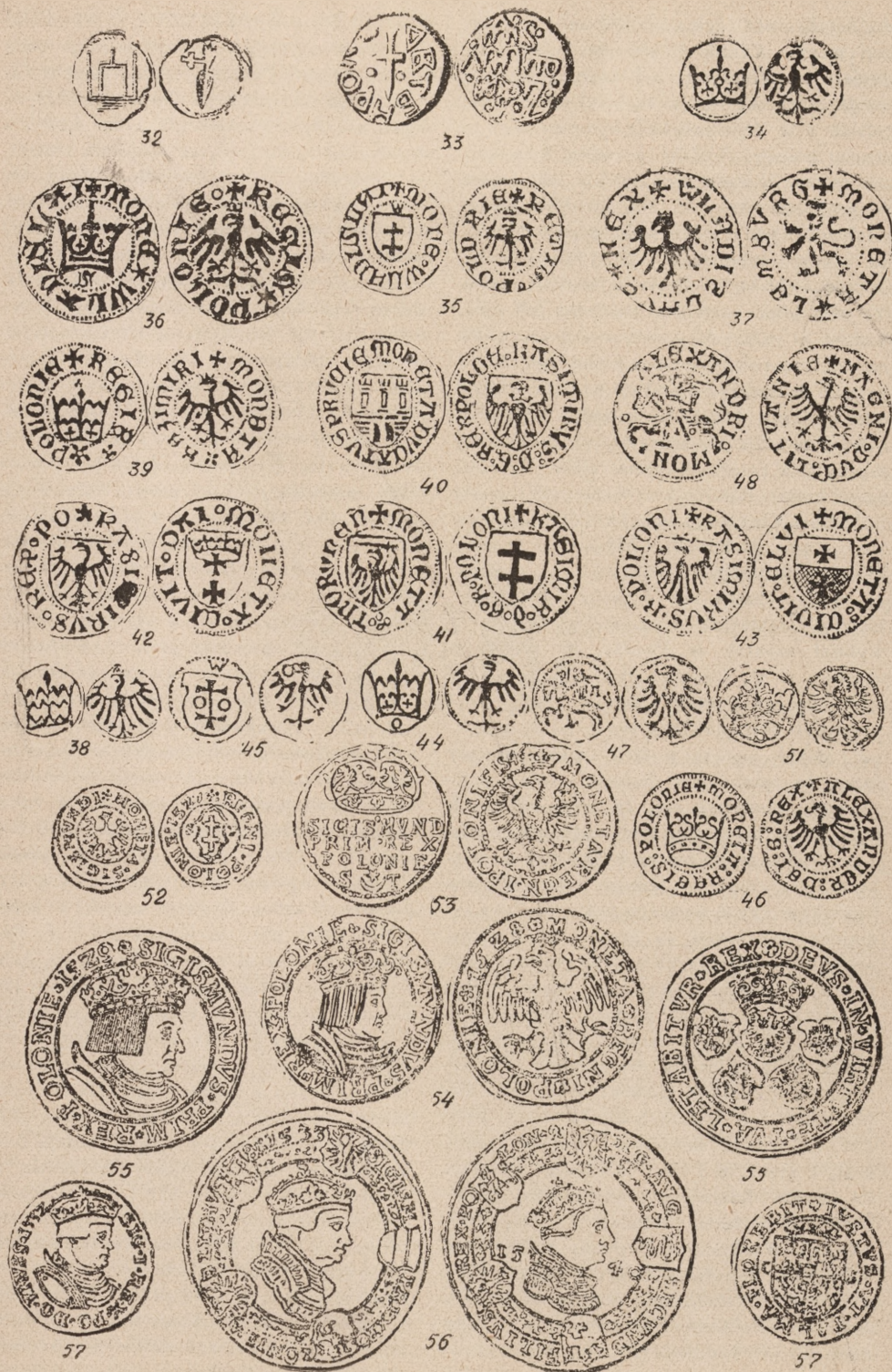
Z punktu widzenia sztuki monety epoki opisanej nie przedstawiają prawie wcale okazów pięknie i artystycznie wykonanych, ponieważ w Polsce brak było zupełnie nie tylko artystów, ale nawet i rzemieślników, znających mincerstwo, czyli sztukę robienia stempli i wybijania pieniędzy.

W naturze wypadki następują po sobie i nie znamy żadnych skoków z epoki w epokę. Tak samo i kultura narodów rozwija się stopniowo. Narody, mające starszą kulturę, rozszerzają takową na narody o małej kulturze, tak i w danym wypadku, Polska przed zaprowadzeniem chrześcijaństwa, a nawet i później, przez długi czas nie miała pieniędzy obiegowych, a w rachunkach między sobą i z zagranicą były w użyciu skóry, łupieżę, które zastępowały kruszec. I tak np. w ustawodawstwie wiślicko-piotrkowskim króla Kazimierza Wielkiego z roku 1346/7 między innymi spotykamy następujące postanowienie: „kto nagani (niesłusznie) wyrok kasztelana krakowskiego, pokupi łupieżę gronostajowe, kasztelanom sandomierskiemu lub lubelskiemu łupieżę popielicze, każdemu z wojewodów łupieżę łasicze, sędziom krakowskiemu lub sandomierskiemu łupieżę kunie, podsędkom łupieżę lisie, podkomorzym po 6 grzywien i t. d. I tak w wykopaliskach (skarbach) monet znajdujących na ziemiach Polski, a odnoszących się do czasów przedchrześcijańskich w Polsce, znajdujemy monety greckie, rzymskie, oraz arabskie, a także ozdoby srebrne i kawałki kruszcu, a to się tłumaczy tem, że Pol-



Nr. 50





Tabl. II

ska leżała na trakcie handlowym, który łączył morze Czarne z morzem Bałtyckiem. Dopiero za Mieczysława I zaczyna się wyraźnie zaznaczać wpływ zachodu na stosunki polskie i w wykopaliskach, datowanych z drugiej połowy X lub początku XI wieku, znajdujemy monety niewątpliwie odnoszące się do Mieczysława I. (Nr. 1). Ilość monet z tej epoki jest bardzo mała, z powodu braku w kraju kruszców. Aby w Polsce wybić monetę swojską, należało wyszukać mince-
rza oraz topić monety zagraniczne lub spro-
wadzać w sztabach srebro z zagranicy, ale
już za czasów Bolesława Chrobrego, który
potrafił rozszerzyć państwo na wszystkie 4
strony świata, bogactwo w kraju w kruszce
szlachetne stało się znaczne, jak to widzimy
z przyjęcia cesarza Ottona III w Gnieźnie
przez króla Bolesława. Monety za czasów
Bolesława Chrobrego bite (Nr. 2), dają nam

wrażliwość, że Bolesław był
księciem, a następnie królem,
że miał mennicę we Wro-
cławiu i Gnieźnie, oraz, że
wybił monety w Pradze
czeskiej i w Kijowie. Po-
mimo, że za czasów Chro-
brego była pewna obfitość mo-
net, jednak monety w tych czasach służyły

tylko do załatwiania drobnych spraw han-
dlowych, ponieważ raz, że waga takowych
była różna z powodu wadliwego wykonania,
a po drugie, że nie można było liczyć na wię-
kszą ilość monet w jednym ręku. Większe
transakcje czy to wewnątrz kraju, czy też z za-
granicą załatwiano za pomocą sztab srebra,
ważonych i obliczanych według grzywny czyli
pewnej jednostki pieniężnej, więcej stałej,
niż denar lub też za pomocą surogatu pie-
niądza, t. j. skórek cennych. Grzywna pie-
niężna stała się zmieniała swą wartość w zależ-
ności od dobrobytu ludności. Z powodu nie-
porządków po Mieczysławie II (1025—1034)
(Nr. 3), wywóz surowców stał się zmniej-
szał, a przez to i siła nabywcza ludności.
Za czasów Kazimierza Odnowiciela (1040—
1058), Bolesława Śmiałego (1058—1080),
(Nr. 4), Władysława Hermana (1080—1102)
(Nr. 5) i Bolesława Krzywoustego (1102—
1139) monety stały się o połowę lżejsze. Po-
tomkowie Bolesława Krzywoustego, Włady-
sław II (1139—1146) (Nr. 7), Bolesław IV
Kędzierzawy (1146—1173) (Nr. 8), Mieczy-

sław III Stary (1173—1177 i 1195—1202)
(Nr. 9), przez ciągłe wojny między sobą
zniszczyły kraj zupełnie, tak że moneta za-
miast wagi srebra 1,5 za Chrobrego, 0,75 za
Bolesława Śmiałego, ważyła tylko 0,17 i z
dwustronnej grubej p. ytki pozostała cieniut-
ka monetka. Z czasów Mieczysława III
spotykamy monety o hebrajskich napisach,
czyli, że żydzi zapewne byli dzierżawcami
mennicy i bankierami tego panującego.

Ten stan rozpaczliwy mennicy trwał i na-
dal za Kazimierza II Sprawiedliwego (1177—
1194) (Nr. 10), Władysława III Laskonogie-
go (1194—1207) (Nr. 11), Leszka Białego
(1207—1227) (Nr. 12), Bolesława V Wsty-
dliwego (1227—1279) (Nr. 13), Leszka Czar-
nego (1279—1289) i za Przemysława II
(† 1296). Za Władysława Łokietka (1303—
1333), spotykamy już monety odmiennego
wyglądu (Nr. 14), a nawet z tego panowania

znany dukata (złota moneta)
w zbiorach muzeum Czap-
skich w Krakowie (Nr. 15).

Potrzeba grubego dobre-
go pieniądza dawała się
odczuć w całej Europie.
Pierwszy gruby pieniądz
„nummus grossus” zwany

zajął miejsce cienkich denarów w Tours we
Francji, a na wzór tych nummi grossi turo-
nenses czyli grubych groszy z Tours wpro-
wadził u siebie w Pradze czeskiej król Wa-
claw II w 1290 r. nowe pieniądze grosze.
Grosze te ogólnie znane pod nazwą groszy
praskich Wacław II, król czeski i polski
(1291—1305) (Nr. 16) wprowadził i do Pol-
ski, a ponieważ ta moneta okazała się dale-
ko praktyczniejszą od drobnych cienkich pie-
niązków dawnych, to takowa się utrzymała
i po Wacławie II. Tę epokę znamy w nu-
mizmatyce, jako początek epoki groszowej,
która to epoka w Polsce przetrwała do pan-
owania Zygmunta I, a nawet do roku 1528,
kiedy po raz pierwszy wyszła ordynacja (roz-
porządzenie) wybita monet większych, aż
do złotego. W wiekach XIV i XV rozróżnia-
my grzywnę szczerzego srebra, grzywnę min-
cerską i grzywnę pieniężną. Pierwsza zawie-
ra czysty kruszec szlachetny, czyli srebro
zupełnie czyste, t. j. 16 próby. Takie srebro
przychodziło do nas drogą handlu przeważ-
nie z Węgier, u nas zaś niewielką ilość swoj-
skiego srebra wytapiano z ołowiu z kopalni



olkuskich. Grzywna mincerska obejmuje kruszec szlachetny z przymieszką kruszcu podlęjszego w stosunku ordynacją menniczną wskazanym, t. j. z przymieszką miedzi, gdyż tylko z tak mieszanego kruszcu bito u nas monetę w tej epoce. Stosunek srebra do miedzi zawisł od rodzaju monety, jaka z tej mieszaniny kruszca wybijana być miała.

Do monety grubszej, jak np. do groszy, półgroszy i kwartników ($\frac{1}{4}$ grosza) używano srebra lepszej próby, do monety drobnej denarowej dodawano dużo miedzi, aby pomimo małej wewnętrznej wartości uzyskać monetę tak co do grubości jako i objętości zdatną do wybicia na niej obustronnego stempla. Grosz Kazimierza Wielkiego dochodzi próby XIII^{1/2}, półgrosze tegoż króla wczesne wykazują XIV, a późniejsze VIII próbę, Władysław Jagiełło (1386—1434) poczyną bić półgrosze próby VIII, a kończy na V. Moneta denarowa polska wybijana za Łokietka z XIV próby, schodzi za Kazimierza Wielkiego do srebra V, a za Władysława Jagiełły nawet do II próby. Między grzywną szczerzego srebra, a grzywną mincerską powinna istnieć różnica tylko co do jakości kruszcu, to jest co do ziarna, nie zaś co do wagi czyli szrutu. Nie dotyczy to atoli drobnej monety denarowej, gdyż grzywna tej monety z powodu znacznej przymieszki miedzi jest o wiele cięższą od grzywny mincerskiej. Grzywna pieniężna zaś dzieli się na grosze, półgroszki, kwartniki i denary.

Podział grzywny pieniężnej krakowskiej wagi 197.68 gr. czystego srebra przedstawia się:

grzywna liczy	groszy	pół groszy	kwart- ników	dena- rów
około r. 1326	48	96	—	576
po 1326 do 1396		96	192	768
„ 1396 „ 1398		96	288	768
„ 1398 „ 1506		96	288	864

Za czasów Kazimierza Wielkiego monety w Polsce bite mają na stronie głównej koronę lub wizerunek królewski, a na odwrotnej orła polskiego (Nr. 17—20), monety zaś halickie inicjał królewski i koronę lub lwa wspinającego się (Nr. 21, 22). *Ludwik I węgierski* (1370—1382) wybił dla Korony denary (Nr. 23), a dla Rusi denary i półgrosze (Nr. 24, 25), oraz denary poznańskie, królowa *Jadwiga* (1382—1386) — denary (Nr. 26), *Władysław ks. Opolski i Ruski* — denary wie-

łuńskie (Nr. 27), denary ruskie oraz półgroszki ruskie (Nr. 28, 29). Poza tem znamy monety *Mazowieckie* ostatnich Piastów — denar *Ziemowita III* (1341—1381), oraz półgrosz, a także trzeciak *Ziemowita IV* (Nr. 31, 32).

Znamy także *Litewskie* monety z czasów przed-unją z Polską: kopiejki *Kiejstuta*, kopiejki *Witolda* (Nr. 32), oraz ks. *Korybuta nowogrodzkiego* (Nr. 33). Z czasów *Władysława Jagiełły* (1386—1434) znamy denary koronne (Nr. 34), trzeciaki (Nr. 35), półgrosze (Nr. 36), poza tem półgrosze ruskie (Nr. 37), półgrosze lwowskie (Nr. 37), i denary wschowskie. Z czasów *Kazimierza Jagiellończyka* (1447—1492), znamy denary koronne (Nr. 38), półgroszki (Nr. 39), szelągi: ziempruskich (Nr. 40), toruńskie (Nr. 41), gdańskie (Nr. 42), i elbląskie (Nr. 43). Z czasów *Jana Olbrachta* (1492—1501) znamy koronne denary (Nr. 44) i półgroszki (Nr. 39), oraz denary wschowskie (Nr. 45). Z czasów *Aleksandra Jagiellończyka* (1501—1506) znamy półgroszki koronne (Nr. 46), oraz denary (Nr. 47), półgroszki (Nr. 48) i grosze litewskie.

Po śmierci króla Aleksandra wstąpił na tron polski Zygmunt I Stary (1506—1548). Położenie w kraju było bardzo poważne: wojna groziła od Wschodu, mistrzowie krzyżacy chcieli zrzucić zależność od Polski, Litwa trzymała się ostrożnie na uboczu, władza królewska osłabiona przez możnowładców i szlachtę, kraj wyniszczony wewnątrz i ogólny brak zaufania i kredytu. Król Zygmunt przeciwstawił wszystkiemu temu swoją energję i najlepszą wolę i chęć uszczęśliwienia kraju. Król zrozumiał, że przede wszystkim należy wewnętrznie kraj wzmocnić i podnieść dobrobyt masy ludności. Przez przyłączenie Prus i uzyskanie drogi do morza znacznie się rozszerzył eksport i import różnych surowców i towarów, ale brak dobrej monety obiegowej utrudniał wewnątrz kraju obieg pieniężny oraz wszelkie operacje drobno handlowe, na których opiera się dobrobyt szerokich warstw ludności i dochody państwa.

W sąsiednich Niemczech od dwustu lat z górą, egzystował pieniądz złoty i pomyślnie wpływał na transakcje handlowe, ponieważ złoto miało stałą wartość i nie ulegało dewaluacji, co było i jest powodem, że po dziś



dzień, pomimo różnych kataklizmów dziejowych, do złota mają zupełne zaufanie i ludność i rządy. Oprócz tego nawet na początku XVI wieku zaczęto wybijać na zachodzie dla powiększenia środków obrotowych grube sztuki srebrne, tak zwane „talary” (Nr. 56). Wyraz talar z niemieckiego Thaler = Joachims-thaler. Tak nazywano monety 15 próby, a następnie 14 próby, które, jedne z pierwszych, były bite w mennicy Joachimstalskiej w Czechach. Gdy w końcu XV wieku udało się z kopalni Joachimstalskiej wydobyć znaczne ilości srebra, hr. Schlick eksploatujący tę kopalnię, nie mając możliwości w inny sposób wykorzystać znaczne zapasy kruszcu, poszedł za przykładem Tyrolu, gdzie już dawniej wybijano tak zwane Gulden-thaler, t. j. talary równe złotemu dukatowi i zaczęli w wielkich ilościach wybijać talary, które jako pieniądze wygodne i znacznie powiększające obieg pieniężny radośnie były przyjmowane i nazwa ich talar, skrót Joachimsthalera, przyjęła się w całej Europie, tak dalece, że w wielu państwach przeszli z systemu złotego do systemu talara, t. j. srebrnego.

A tymczasem Polska była jeszcze niedość zamożna, żeby mogła zaprowadzić złoto i talary i takowe wybijać w wielkich ilościach; dlatego też trzymano się w Polsce jeszcze systemu dawnego, t. j. bicia drobnej monety, za którą przy zamianie na złoto należało płacić znaczne ażio. I tak, za króla Wacława II złota moneta floren albo ducat kosztował 14 groszy praskich, a już za króla Aleksandra tenże pieniądz osiągnął cenę 30 groszy w monecie pospolitej drobnej i cena tegoż dukata stale ulegała podwyższaniu pomimo uchwał sejmowych, usiłujących wzrost jego ceny zatrzymać. Floren czyli złoty pieniądz florencki (Nr. 49), m. Florencji we Włoszech. We Florencji zaczęto wybijać jeszcze w XIII wieku złote pieniądze, mające po str. głównej herb miasta „lilję”, a po str. odw. św. Jana, ponieważ te pieniądze się bardzo podobaly i znalazły ogólne zastosowanie w Europie, nazwa ich stała się kosmopolityczna czyli ogólnie znaną. Dukac (Nr. 50), ostatni wyraz napisu (legandy) na str. odw. złotych cekinów weneckich. W Wenecji w 1284 r. zaczęto wybijać złote monety przedstawiające na str. gł. św. Marka z chorągwią w ręku, którą wręcza klęczącemu doży. Napis

S. M. VENET — 10. DANDUL — Venet (10. Dandvi — DVX”, a na str. odw. wizerunek Chrystusa otoczonego gwiazdami, a legendę spotykamy: „SIT. T. XRE DAT. q. TV. REGIS. ISTE. DVCAT” (sit tibi Christe datus, quem tu regis iste ducatus — to księstwo, któremu ty przewodzisz (panujesz) niechaj będzie Tobie, Chryste, poświęcone). Otóż moneta złota otrzymała następnie nazwę według ostatniego słowa legendy „DUCAT”, która to nazwa stała się ogólną, kosmopolityczną i stosowana była we wszystkich krajach do złotych pieniędzy, mających tę samą wartość złota, t. j. 23½ karata i wagę 3,53 gr., a czystego złota 3,5 gr. Nasz rysunek przedstawia dukata doży weneckiego, Mikołaja Donata z 1618 r., który to rysunek podajemy dla lepiej zachowanego stempla, także pod Nr. 49, podajemy śląski dukat, który jest na modłę florencką wybity, w braku rysunku z oryginału.

I król Zygmunt na początku wybijał drobne półgroszki jak Nr. 46 po 192 sztuki z 6 łutowej krakowskiej grzywny srebra. Bicie to trwało od 1507 do 1511 r. Otóż te półgroszki były fałszowane w wielkich ilościach w kraju, a w Świdnicy na Śląsku została nawet urządzona mennica, która wybijała fałszywe półgroszki, t. j. lichsze pod względem zawartości srebra, na wywóz do Polski. Ponieważ polityczne zabiegi ani ekonomiczne środki nie mogły ukrócić tego zła, pozostała jedyna droga, t. j. wprowadzenie nowej odrębnej monety, zupełnie odmiennej od dawnej. Tego też chwycił się król i 15 października 1526 r. wydany został edykt królewski na wybicie nowej monety, zupełnie od dawnej odmiennej. I tak, postanowiono pod nadzorem podskarbiego (kanclerza skarbu) Szydłowieckiego nakazać wybicie dla polskich ziem koronnych trzech gatunków nowej monety.

Ponieważ dla czytającej publiczności nie jest zapewne zrozumiały termin „ziemia polska koronna”, gdyż wszystkie ziemie polskie należały do korony polskiej, dajemy niniejszem następujące wyjaśnienie. W czasach dawnych, o których piszemy, nie było kolei ani urzędzonej po rzekach żeglugi, a często nawet nie było dróg odpowiednich, przez co w czasach krytycznych, t. j. wojennych było bardzo trudno o środki pieniężne dla wyżywienia, ekwipowania i opłaty wojska. Ta

przyczyna zmusiła rząd do otworzenia mennic w różnych stronach państwa. Za Zygmunta Starego była mennica w Krakowie, Poznaniu i Wschowie, dla krajów koronnych (Wielkopolska, Małopolska i Mazowsze), dla Litwy była mennica w Wilnie i Tykocinie, dla Prus Królewskich czyli ziem pruskich—państwowa mennica w Toruniu, a oprócz tego były miejskie mennice w Toruniu, Gdańsku i Elblągu. Za panowania Wazów t. j. Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza było jeszcze więcej mennic.

Według ordynacji z 1526 r. uchwalono wybijanie denarów (Nr. 51), trzeciaków (Nr. 52) i groszy (Nr. 53). We dwa lata później 15 lutego 1528 r. reforma posunęła się dalej i uchwalono wybijanie szóstaków (Nr. 55) i trojaków grubych (Nr. 54), z wycofanych półgroszków świdnickich oraz wprowadzono monetę złotą czyli dukaty (Nr. 57), a nawet znamy już i talara (Nr. 56), oraz dwuducatkówki. Te ostatnie gatunki monet zaprzeczono nadto popieraniem królewskim, które od-tąd stałe na monetach jest wybijane. Jednocześnie na sejmie w Malborku w 1528 r. uchwalono wybić według tej samej ordynacji w mennicy toruńskiej denary (Nr. 58), szelągi (Nr. 59), grosze (Nr. 60), trojaki (Nr. 61), i szóstaki (Nr. 62) dla ziem pruskich. Na monetach tych widać piękny rysunek i staranne wykonanie. Szczególnie grosze, trojaki, szóstaki i dukaty polskie z tej epoki pod względem artystycznym nie ustępują monetom państw o wysokiej kulturze. Na Litwie wybijano półgroszki między 1508—29 (Nr. 4^a) i grosze w r. 1535 i 1536 (Nr. 63). Litewskie pieniądze za tego panowania miały w Polsce obrotową wartość większą od polskich, ponieważ były większe i cenniejsze, jako więcej wagi mające i z lepszego srebra bite. Miasto Gdańsk wybijało denary (Nr. 64), szelągi (Nr. 86), grosze (Nr. 65), trojaki (Nr. 66), szóstaki (Nr. 67) i dukaty (Nr. 68).

Miasto Elbląg wybijało denary (Nr. 69), szelągi (Nr. 70), trojaki (Nr. 72) i szóstaki (Nr. 73). Oprócz tego król Zygmunt w latach 1505—06, jako książę Głogowski, wybił grosze głogowskie (Nr. 74). Wraz ze stałą dobrą monetą wraca powoli i dobrobyt do kraju, co daje się zauważyć po pięknych stemplach i bogactwie typów monet, ponieważ gdzie ład, tam i skład, czyli duże zapasy wszystkiego.

Za czasów Zygmunta Augusta wybijano monety na Litwie: półdenary (Nr. 75), denary (Nr. 76), dwudenary (Nr. 77), półgrosze (Nr. 48), grosze na stopę polską, grosze na stopę litewską (Nr. 78), dwugroszówki (Nr. 79), trojaki (Nr. 80), czworaki (Nr. 81), szóstaki (Nr. 82), półtalary (Nr. 83), talary czyli półkopki (Nr. 83), dukaty (Nr. 84), dziesięcioducatkówki czyli portugały (Nr. 85), poza tem półtalary hiszpańskie, pochodzące z części posagu matki królewskiej Bony, a zwrócone przez króla hiszpańskiego kontrasygnowano monogramem królewskim. Gdańsk wybijał w dalszym ciągu denary (Nr. 64), szelągi (Nr. 86), grosze (Nr. 65), trojaki (Nr. 66), i dukaty (Nr. 68), a w roku 1567 polska numizmatyka wzbogaciła się o nową wartość, a mianowicie Gdańsk wybił pierwszego talara (Nr. 87). Miasto Elbląg i Wschowa wybijały tylko denary (Nr. 45 i 69).

Ciekawym zabytkiem z tej epoki jest moneta inflancka, wybita dla zapłacenia wojsk najemnych. Zygmunt August zdobywał Inflanty wojskami najemnymi, którym żółd płacić należało. W 1570 roku po ostatecznem zawojowaniu kraju znalazło się 400 rajtarów i 100 pieszych w Parnawie, którym się należało 400.000 złp. Aby im zapłacić, król wydał pozwolenie 2 przedsiębiorcom na wybić monety inflanckie, z których zysk królewski miał służyć na opłatę zaległego żołdu. W roku 1572 wybito szelągi (Nr. 88), a w następnym 1573 r. wiardunki (ferdyngi) (Nr. 89), półmarki (Nr. 90) i całe marki (Nr. 91).

Ze śmiercią Zygmunta Augusta kończy się dynastia Jagiellonów i na tem kończymy naszą pracę, w celu nieprzeciążania czytelników zbyt wielką ilością monet wybitych za królów elekcyjnych.

Dane nasze czerpiemy z następujących prac: J. Lelewel „O monecie polskiej”, Poznań 1863, dr. Fr. Piekosiński „O monecie i stopie mennicznej”, Kraków 1878, tegoż „Moneta polska w dobie piastowskiej”, Kraków 1893, Strończyński „Monety Piastów i Jagiellonów”, dr. M. Gumowski „Podręcznik numizmatyki polskiej” Kraków, 1914, dr. M. Kirwis „Handbuch der polnischen Münckunde”, Posen, 1892 oraz H. Halke „Handwörterbuch der Münckunde”, Berlin, 1909. I. Zagórski „Monety dawnej Polski”, Warszawa, 1845.



„ostrze pługa przerywało łkanki jego serca



Ilustrował J. Kozuchowski

Człowiek i mech

Napisał

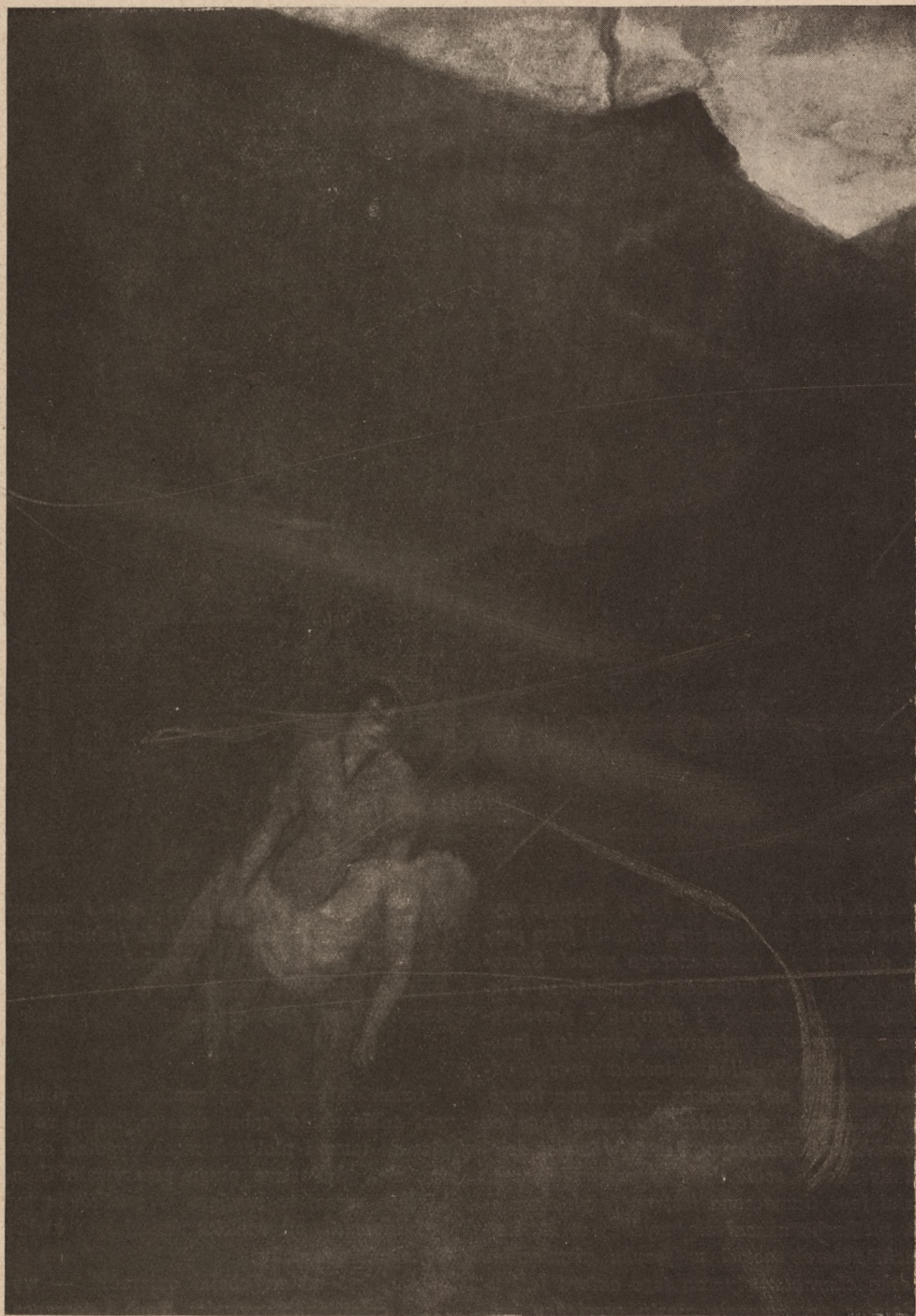
Larin Kyösti

Larin Kyösti (ur. w r. 1873), zajmuje wybitne miejsce w literaturze fińskiej jako poeta, dramaturg i autor szeregu nowel. Szerokiej skali jego twórczości zawdzięcza Finlandja kilka znanych i granych z powodzeniem utworów scenicznych, pomiędzy innymi „Ad astra”, kilka zbiorzków poezji, odznaczających się zarówno wyszukaną formą, jak subtelnem odczuciem. Nowele jego są dorobkiem późniejszym, i w tej również dziedzinie zdobył sobie duże uznanie. Większość dzieł jego tłumaczona jest na język szwedzki, niedawno ukazał się, wydany w Katowicach, zbiorek nowel w języku niemieckim. Cechą charakterystyczną tego autora jest umiejętność przerzucanie mostu pomiędzy rzeczywistością a fantazją, co zaznacza się np. w zbiorzku zatytułowanym „Prawda i baśń”.

W swoim kraju słynie jako głęboki znawca duszy narodu fińskiego, posiada jednak wiele utworów, poruszających zagadnienia ogólnoludzkie, zasługuje przeto na to, by być cytowanym pomiędzy autorami europejskimi.

Człowiek przybył na pustkowie. Wybudował sobie chatę, rąbał drzewa, kopał rowy, stawiał tamy i płoty. A mech dygotał, skarżąc się, gdy ostrze pługa przerywało tkaniki jego serca, tu bowiem, w pustkowiu był jego dom, tu od wieków zieleniały i kwitły pokolenia praojców.

„Czyżbyś mi się chciał opierać?” — wyrzekł człowiek, wyrrywając mech i rozrzucając go na cztery wiatry. Ale wicher rozsięwał nasiona wkoło i zanim się człowiek spo-



Ślaniając się na nogach, niósł w ramionach zwłoki kobiety

strzegł, już znowu mech go otaczał. „Niepodobna, bym nie zwalczył tego pełzającego zielonookiego potwora” — mówił człowiek i kopał głębiej. Przerażony mech uciekł za płot, pełzał tam powolutku, rozglądając się swemi zielonemi oczyma. Pragnienie go nie dręczyło, w pobliżu bowiem szemrał strumień, z którego za pomocą korzeni pił mętną wodę. Strumień był dobry i zawsze chętny do pomocy.

„Ma przyjaciela” — pomyślał człowiek, rzucając na wodę spojrzenia, pełne nienawiści. W odpowiedzi strumień wysłał trujące wyziewy i mroźnem tchnieniem niweczył pracę człowieka i owoce jego trudów. Z radości mech aż przeskoczył przez płot prosto do rowu. „Cóż za przekłety mech!” — gniewał się człowiek, i dodał: „ma przyjaciela”. Westchnął przytem głęboko, gdyż był samotny.

Ale pewnego dnia przyprowadził sobie z okolicy, położonej za pustkowiem, kobietę i natychmiast wspólnemi siłami poczęli kopać głęboki rów przez błotnisty strumień. Uciekając z powrotem za płot, mech szepnął do strumienia: „Ma przyjaciółkę...”

Odtąd człowiek zabrał się do łępienia mchu ze zdwojoną energią. Piosenki jego rozbrzmiewały radością, dym z komina chatki wesoło unosił się ku niebu. Mech uciekał, sapiąc gniewnie, a gdy się na chwilę odwrócił, widział ukochane miejsca swych zabaw dziecięcych zamienione na pola. Łan za łanem kołysały się, jak złocista makata, utkana we wzór szachownicy. Mech usunął się na kraj gęstwiny leśnej, szepcząc: „Wytrwałym jest człowieki!” Jednakże nie uważał się za pokonanego i pędził za pędzią zdobywał las, przerzucał przez moczary lekkie zielone mosty, aby czworonodzy niewolnicy człowieka tonęli w bagnie, zasnuwał ciemną przedzą nory, aby człowiek nie wytrópił lisa, który mu porywał drób. Zmęczony się, stanął pod drzewem i śmiał się. „A tuś mi znowu!” — wycedził człowiek, „Niełatwo cię zgłodzić”. Poczem jął wycinać gęstwinę leśną, podczas gdy mech umykał z sykiem w kierunku skał, tak szybko, że aż się kurz za nim kłębił.

Upływały lata, stulecia. Łąki szemrały trawami, pola błyszczały w słońcu. Człowiek triumfował, widząc, że mech schronił się na

skale, jak pustelnik. Tam nie dosięgał ogień i miecz człowieka i stamtąd wygnaniec ze smutkiem w duszy spoglądał suchemi oczyma na dolinę i drzemał, pieszcząc się wilgotnemi, zielonemi snami z zarania swej młodości.

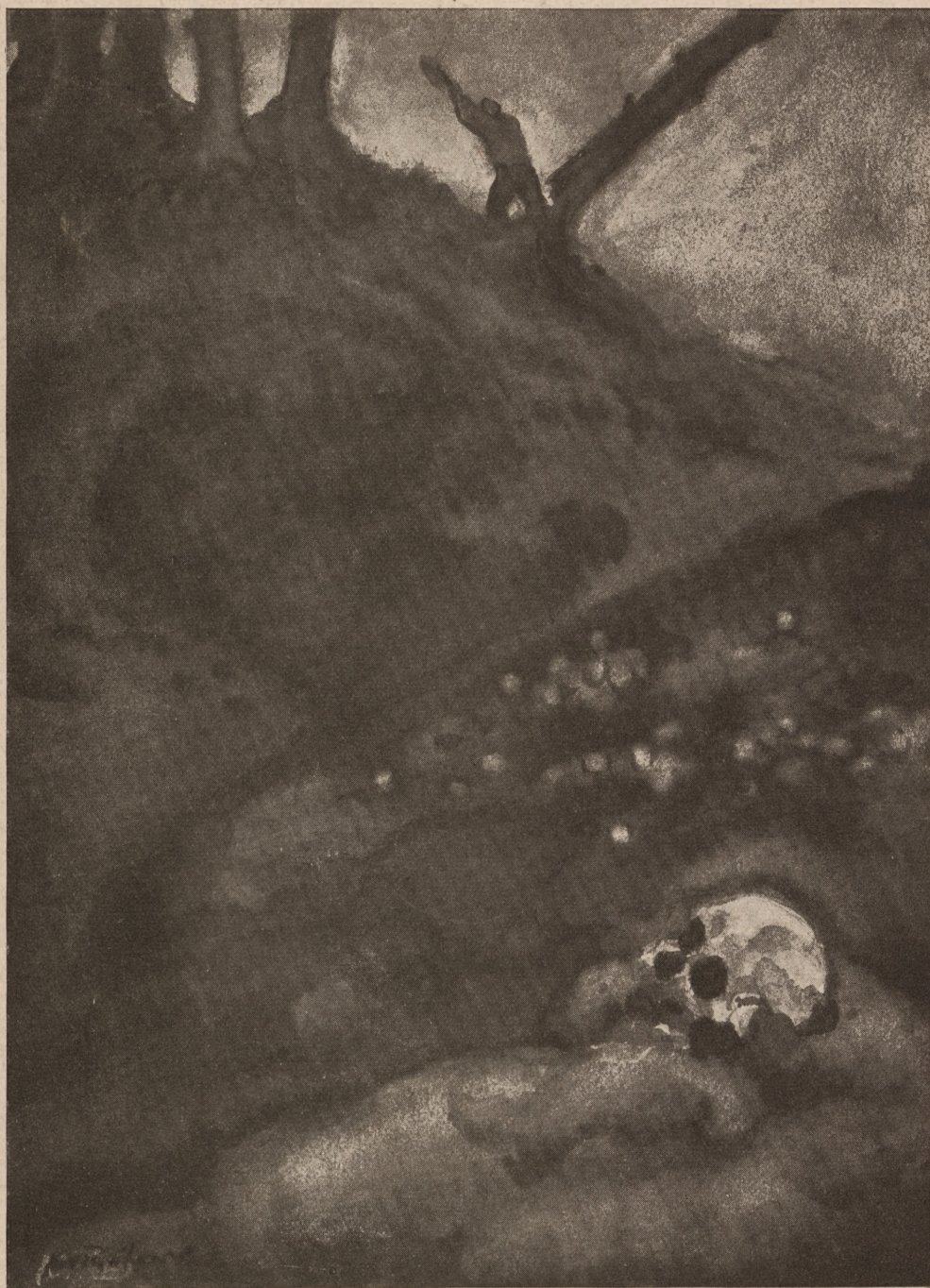
A tymczasem w dolinie Pan Przyrody, nieśmiertelny człowiek wybudował sobie ołtarz z torfu. Dyny ofiarne unosiły się ku niebiosom. „Potężnyś, człowieku, słońca chyłą się do twych stóp” — obijało się o skały i człowiek nie myślał już wcale o swym starym wrogu mchu. Odpoczywał — a we wzroku jego przebiegało znużenie.

Mech spał. Nie widział, że w dolinie zachodziły zmiany. Przeciągały nad nią złe duchy moru, głodu i wojny, naksztalt cieni. Niebo przesłoniło dym, broń lśniła w słońcu. Cisza panowała dookoła, tylko nad chatą człowieka unosił się dym i odbijał się w oczach mchu. „Człowiek żyje” — wyszeptał i powłókł się przed siebie, z trudem, zmęczony latami pragnienia i żaru. Na drodze swej napotkał znajomy strumień i zawołał doń: „Żyjesz więc, przyjacielu, — pozwól mi przyłożyć usta do twego źródła, pali mnie pragnienie”. Pił, czując jak w żyły wstępowała nowa moc. Z ustami pełnemi pytał, co się stało, że tu znów tak cicho. „Dziwy się dzieją” — odparł strumień — „długoś spał. Pójdź i zobacz”.

Orzeźwiony mech popelznął ku moczarom i znalazł po drodze zardzewiały pług. „Aha, zabawka mego wroga!” — zawołał, miękkiemi, mocnemi ramionami przygniatając pług do ziemi — „wrzynałeś mi się w serce, niechże cię otula noc i zapomnienie!”

Wciąż dalej i dalej rozpościerał się mech, gęste jego sploty kołysały się na coraz większej przestrzeni, rósł jak zielony smok z ogniem opartym o skałę, z ciałem wijącym się poprzez las. Przecisnął się pod płotem do rowu, stamtąd wznosił głowę na pole, gdzie rosły dzikie głogi, rozplecił się chwast i zielisko. „Widzę, że moi krewni już tu są” — wyrzekł i skrzył na dróżkę, prowadzącą do chaty. „Oto droga człowieka, wiele się po niej nachodził, lecz ja zatrę ślady jego, aby nawet wspomnienia o nich n'e zostało”.

Z chaty unosiła się cienka smuga dymu, podobna do nici, zawieszanej w powietrzu.



*Mech wysunął głowę pomiędzy wyszczerzonymi zębami człowieka,
Nowy człowiek się zbliżał,*

„Człowiek jest słaby” — szydził mech i wpełzł na podwórze.

Nagle z chaty wyszedł człowiek. Staniając się na nogach, niósł w ramionach zwłoki kobiety, które pochował pod kwiecistym pagórkiem. „Przyjaciółka jego umarła” — pomyślał mech.

Ostrożnie posuwał się wzdłuż ścian, uniósł głowę i zajrzał pod okno. W izbie nie było nic, prócz barłogu słomianego, ściany były wilgotne i zmurszałe, po podłodze tańczyły myszy polne. „Tańczcie sobie, łobuzy, niebawem będziecie miały zieloną salę balową” — zawołał mech. Lecz w tej chwili wszedł samotny człowiek i zepchnął mech z okna. „Znowu tu jesteś? Tyle lat cię nie widziałem. Precz z przed moich oczu, zielona żmijo!”

„Tu urodziła się moja babka” — rzekł mech — ale tyś przyszedł, ogniem i żelazem szarpałeś moje ciało. Zapłać teraz za swoje winy, — ja już się ciebie nie boję, bo ci sił zbrakło”.

Mech zaległ na czatach, wpełzał za wszystkie rogi, wspinał się na schody. Dzień i noc czekał z błyszczącymi oczyma. Aż pewnego dnia dym nie ukazał się już z otworu dachu. Człowiek wypełznął z chaty, jak robak.

„A więc i ty uczysz się pełzać, nieśmiertelny człowieku!” — śmiał się szydlerczo mech.

Człowiek znikł w lesie, a mech przedostał

się przez próg. Z izby wionął ku niemu zapach stęchlizny. „Tu zamieszkać na stałe, dobrze mi tu będzie” — rzekł mech i powlókł się wzdłuż podłogi. Tysiącem nóg począł tańczyć po szparach i przegryzionych przez myszy belkach. Ściany się zwały, dach spadł na podłogę — wszystko zachłanianie przykrywał mech. Po długiej pracy ułożył się w zieloną szatę swej babki i śmiał się dźwięcznym śmiechem. „Patrz, jestem wszak dobroczyńcą, całe zniszczenie ludzkie pokrywam miękkim zielonym całunem snu, buduję świetny gmach zapomnienia na ciemnych gruzach pamięci. Wyrastam, jak las niebotyczny, gwiazdy mnie witają, ścieląc się do mych stóp” — rzekł mech, kiwając się do słońca.

„Ale gdzież jest człowiek? Czy nie powróci z ogniem i mieczem? Zapomniałem o wrogu!” I mech powlókł się śladami człowieka, które prowadziły do ruiny jakiegoś kamiennego budynku. U stóp kwiecistego pagórka leżała trupia czaszka. „Patrzcie, człowiek śmieje się nawet po śmierci” — zawołał mech i podpełznął do czaszki.

Lecz w tej samej chwili rozległ się w lesie łoskot siekier, drzewa jęły się walić, skały powtarzały echo. Mech wysunął głowę pomiędzy wyszczerzonymi zębami człowieka.

Nowy człowiek się zbliżał.

przekład Zofji de Bondy.

Świat kobiety

Napisała

Parisette

(Modele Juliette Courtisien)

Nowy porządek dnia. — Klasyczne i fantastyczne kostiumy kąpielowe. — Wszystko na białe. — Pudełko paseli. — Suknie i potrawy. — Papierosy pastelowe.

Czy kto słyszał o syrenie bez bioder i z płaską piersią? Chyba nie. Żaden bowiem marynarz nie złożyłby takim stworzeniom swego życia w ofierze!

Zastanowiły się nad tą prawdą nasze elegantki i... przestały chudnąć. Strach przed zdradzieckim kostiumem kąpielowym i okrutnym kodakiem zdołał zatem więcej uczynić w tej kwestji, aniżeli morały, prośby, zakłęcia... Kto wie, czy ten nowy porządek dnia będzie jeszcze obowiązywał w jesieni. Nic

bowiem niema wiecznego pod słońcem, zwłaszcza, gdy chodzi o świat kobiety, którego całym wdziękiem jest właśnie uroczą zmienność. Pomimo więc całej naszej dobrej chęci nie możemy powiedzieć, czy październik powróci nam odżywianie się sucharkiem i parą łykami herbaty, czy też przyniesie orgię befsztyków, makaronów, ciastek i gęstych sosów. Konstatujemy jedynie z przyjemnością, że obecnie kształty się zaokrąglają, co przyniesie wy-

gląda przy klasycznych czarnych kąpielowych trykotach, ozdobionych na ramieniu białym monogramem. Niektóre ekscentryczne i... nieszczególnie zbudowane niewiasty sprawiły sobie zielone, liljowe lub czerwone kostiumy o długiej, chińskiej, pod szyję zapiętej tunice. Prawdziwie jednak sportsmenki odrzucają zawsze podobne fantazje i tylko, gdy idzie o wybór szlafroków kąpielowych, pozwalają sobie na najoryginalniejsze pomysły. Szlafroki te są często ozdobione wyciskaniem kwiatami tropikalnymi o jaskrawych barwach lub dowcipnymi kubistycznymi deseniami. Lecz biały szlafrok, obrobiony jaskrawym pasem, pozostał klasycznym modelem w tej dziedzinie.

Biały kolor cieszy się w ogóle ogromnym powodzeniem. Lecz nie jest egoistą i podziela je z barwą



„Rose de mai”

Na beżowym tle różowe
i lila róże



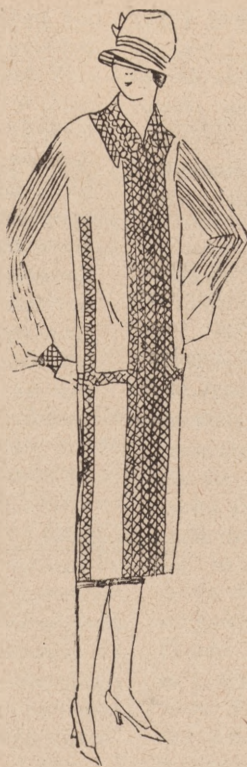
„Candide”

Białe i czarne atłas

różową, niebieską, lila, zieloną, które znów, aby mu się zbyt nie sprzeciwiać, przypuszczają się pastelowym pyłkiem, a czasem się układają w przemilą harmonję półcieniów.

Niewiasty „sportowe” przyjęły z otwartymi rękami białą „toile de soie” (rodzaj czeczundzy), w szkockie desenie lub pasy. Jest bowiem nadzwyczajnie świeża w noszeniu i, plisowana z przodu, daje dużą swobodę ruchów.

Białej piki o czerwonym, barwinkowym lub beige'owem odrobieniu używa się do sukienek tenisowych, najczęściej karbowanych i ozdobionych kratą, związanym „à la Lavalière”. Biały zaś, mięciuchny trykot niezbędny jest w górach, a zwłaszcza nad morzem, gdy wiatr zbyt już zuchwale obchodzi się z muslinowemi i woalowemi su-



„Muscadin”

Georgetta i galonik

lub też z jedwabnego włosia, ujętego w pastelowe barwy i ozdobionego aksamitną wstążką, towarzyszą zazwyczaj do kasy, bardziej wytwornym sukienkom. Fasony tych sukienek są rozmaite, lecz zanotować należy powodzenie szerokich „robes de style” z przezroczystej tkaniny, narzuconej na krótszym jedwabnym spodzie.

Ofensywa powiewnych koronek i muslinów zaprzecza teorii, powstałym na ukazaniu się sławetnego surducika, świadczącym o rzekomo nowym typie „kobiety-mężczyzny”. Dzisiaj, jedynie sukienki „chemisier”, o sportowej linii, czynią z niewiasty uroczę stworzonką, nawpół dziewczynkę, nawpół pazią.

Wieczorem, w kasynie króluje również biały kolor... Dużo tiulu, zatrzęsienie Georgette'y,



Juliette
Bourgeois

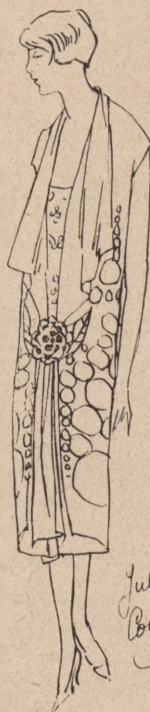
Primerose

Różowy woal z białym haftem

kienkami. Drobne kapełusiki z „duvetine’y” lub aksamitu w kolorze sukni oddają ogromne usługi podczas spaceru lub w czasie spoczynku na plaży, pod rozwartemi parasolkami z kretonu i jedwabiu o jaskrawych kwiatach. Obszerne zaś pastyki z egzotyczniejszomy

orgja koronek... Wszystko to lśni od perelek lub rozsypuje naokoło pióra przeróżnych rodzajów, począwszy od arystokratycznego „paradis” i skończywszy na arcydemokratycznej kaczce.

Z Londynu dotarły do nas dwie sensacyjne wiadomości. Obie dotyczą sposobu prezentowania sukien: w jednej z pierwszorzędných restauracji



Juliette
Bourgeois

„Hébe”

Czarne i beige'owe
Crêpe de chine

defilowały modelki wielkich firm — cóż w tem sensacyjnego, powiecie — tak, ale kolory ich sukien dostosowane były do potraw. Przy łososiu, ukazywała się różowa dama, przy rosbeef'ie czerwono brunatny atłas; przy sałacie błado zielona Georgette'a, a wreszcie, przy kawowym kremie — ciemno beige'owy tiul...

Drugi pomysł krawców angielskich polega na wysyłaniu do Doovre'u, na spotkanie statków ładnych modelek, które potem towarzyszą w pociągu pasażerom aż do Londynu. Paryscy artyści mody nie omieszkają chyba pójść za tym przykładem... A, zresztą może

już to dawnić czynią, tylko nie odczuwają potrzeby zdradzania się przed światem.

W każdym razie, w Deauville, w Le Touquet, w La Baule i na innych modnych plażach, klientki pierwszorzędnych firm są dla twórców mody żywą reklamą. Bardziej bowiem, niż w zakurczonym pociągu można ocenić subtelnie szarmonizowane stroje na precudnem tle morskiem lub bogato oświetlonym kasynie, gdzie zażarcie przegrywa się w ruletkę własną i cudzą fortunę, rytmiczną gimnastyką odpowiada na dźwięki jazz'u, lub wreszcie, tonąc w głębokich fotelach, pali się pastelowych kolorów papierosy dostosowane do toalety...

TURNIEJ LITERACKI

ROZSTRZYGNIĘCIE TRZECIEGO KONKURSU

dla czytelników Naokoło Świata

(patrz Nr. 14 miesięcznika).

Dnia 22 lipca, o godzinie 14, zebrał się w lokalu Redakcji „Naokoło Świata” sąd konkursowy w następującym składzie:

Red. nac. Z. Dębicki

Red. nac. F. Goetel

Red. J. Moszyński

celem rozstrzygnięcia Konkursu 3-go dla czytelników „Naokoło Świata”, polegającego na napisaniu drugiej części, zapoczątkowanej w zeszytce Nr. 14 „Naokoło Świata”, opowieści zbiorowej p. t. „Książd Kudełek i djabeł”.

Wszystkie nadesłane przez czytelników opracowania, w ilości 106, zostały uprzednio dokładnie odczytane, przyczem pewna ilość z pośród nich została zakwalifikowana do wspólnej ściślejszej oceny. Po odczytaniu tych prac sąd konkursowy uznał za najlepszą pracę, podpisaną godłem: „Volo-ergo vicero” (autor Aleksander Majewski — Tczew —

Pomorze), ze względów jednak formalnych (znaczne przekroczenie dopuszczalnego maksimum tekstu: patrz warunki konkursu Nr. 14, — 400 wierszy maksimum), *zmuszony był przyznać nagrodę autorowi drugiego z kolei opracowania, podpisanego godłem: „Podkowa” (autor Kazimierz Nowosad-Jedwabne, z Łomżyńskiej).* Zdobywca nagrody proszony jest o osobiste lub listowne zgłoszenie się do Redakcji, celem otrzymania nagrody za drukowaną w zeszytce niniejszym część drugą opowieści „Książd Kudełek i djabeł” w wysokości jednego złotego za wiersz druku. Prócz tego sąd konkursowy uznał za wyróżnione opracowania: A. Majewskiego, (Tczew — Pomorze, godło: „Volo-ergo vicero”), oraz J. Konorskiego, (Łódź — Narutowicza 30, godło: „Alkor”) i postanowił wydać autorom tych prac dodatkowe nagrody w postaci cennych książek oprawnych.

Książd Kudełek i djabeł

Opowieść zbiorowa. Część II.

W bezmiernej, zastygłej ciszy starych murów, stanęli obaj bez tchu, z rozszerzonymi łękami i zgrozą zrenicami. Żółte światło świecy w trzęsących się rękach księdza Jacka czepiało się niepewnymi blaskami szarej powierzchni ścian i odsłaniało przeraźliwą próżnię skarba.

Długo nie mogli przyjść do siebie. Lichtarz w drobnej dłoni wikarego drżał coraz silniej. Głowa Nikodema zapadła między barki skulone z przestachu, a obłąkane oczy biegały od szafki do poźółklej od płomienia twarzy księdza.

Ciszę przerwał wreszcie jęk kościelnego.

— O Jezu przenajświętszy!... Boże!... A gdzież relikwie?... kielich?...

Książd Kudełek ocknął się i przetarł ręką

oczy. Zagłębił lodowate palce w szafkę i błędził niemi w pustce, napróżno.

Obejrzał się wokoło po sionce. Chwiejnym krokiem, wszedł do zakrystji. Najmniejszego śladu. Za oknem otwartem spokojna, bezszelstna noc. Oddał światło Nikodemowi, a sam opadł kolanami na wytartą pluszową poduszkę klęcznika przed wizerunkiem Chrystusa. Zimnymi dłońmi objął skronie.

Nikodem nieprzytomny prawie, ogłupiały, poruszający bezdźwięcznie wargami, stał chwilę ze świecą przy księdzu, wreszcie został klęczącego i, rozglądając się z najwyższym strachem po kątach i ścianach, a piersi znacząc krzyżem, ruszył z zakrystji przez sionkę do głównej nawy kościoła. W grobo-

wej ciszy głuchem echem dudniły jego ciężkie kroki.

Książd Kudełek pozostał sam. Chciał się modlić. Nie umiał. Brutalny, świętokradzki czyn zburzył pogodną głębię jego duszy. Zamykał oczy i zaciskał mocno palce na skroniach, by się wyzwolić od szalonego natłoku skłębionych w mózgu myśli. W tym chaosie zrodziło się jedno pragnienie: by oto z dalekich niebios, w których zawsze widział Boga, spłynęło ku niemu jakieś ciche, kojące światło, któreby miękką falą wygładziło rozbita, zwichrzoną toń duszy, pozwoliło zebrać beładne myśli.

Ale przez zamknięte powieki nie mógł dostrzec tej jasnej, świetlanej smugi. Widział tylko w krótkich przeblyskach spustoszoną, otwartą, sprofanowaną szafkę.

Nagle ciszą targnął okropny krzyk. Jakaś śmiertelna trwoga wyrzuciła ten głos z ludzkiej piersi.

Księdza Kudełka ściał mróz. Podniósł się jednak i skierował ku presbiterjum. Pod

sklepieniem kościoła huczała niehumanitarna wrzawa i tętniły szybkie kroki.

Przerażony wikary ogarnął wzrokiem nawę i skamieniał.

Środkiem kościoła między dwoma rzędami ławek pędził stary Nikodem, trzymając lich-tarz wysoko, jak pochodnię. Płomień świecy zmalął pod strugą powietrza, ledwie błękitniał.

— Matko cudowna!! Księżę wikary!!—darł się kościelny. Dopadł do księdza Jacka i prawie przyłgął do niego. Takiej zmienionej ze strachu twarzy nie widział wikary nigdy w życiu.

— Co, na Boga, Nikodemie?! Co się stało?!

— O tam... tam....

— Co tam?...

— Tam ktoś stoi... Na chórze...

Książd Jacek popatrzył w tym kierunku. Chór jednak tonął w mroku. Wziął tedy z ołtarza duże wielkie świece, zapalił i podał kościelnemu. Ruszyli wzdłuż nawy. Nikodem szedł w tyle i patrzył tylko na księdza, podnosząc jak najwyżej światło.

W drżącym blasku zajaśniała na parapecie chóru biała postać. Ktoś stał najwyraźniej z wyciągniętą ku nadchodzącym ręką.

— Wszelki duch... wszelki duch chwali Pana Boga — mamrotał Nikodem.

— Kto tam? — odezwał się zmienionym, dziwnym głosem wikary.

Cisza. Zjawą, spowita w biel z czarnem nakryciem głowy, stała niema i nieruchoma.

— Kto tam? — powtórzył książd Jacek, ale takim głosem, jakby się bał, by go ów tajemniczy kształt nie dosłyszał. Milczenie.

Nikodem pociągnął wikarego za sutannę.

— Księżę wikary... idźmy! uciekajmy.... Bóg wie co to... chodźmy, księżę...

Odwaga widocznie obca była owianej duchem bczym osobie księdza Jacka, bo pośpiesznie zaczął wraz z kościelnym cofać się ku wielkiemu ołtarzowi i zakrystji. Widząc zaś, że oblicze, a nie plecy należy pokazywać nieprzyjacielowi, szli w tył, oczy mając wbite w majaczące coraz słabiej widmo.

Z niejaką ulgą zamknął Nikodem drzwi od sionki. Ta pusta szafka, sromotnie, bezczelnie okradziona, była niczem w porównaniu z białym, niemym strachem. Okna w zakrystji nie zamykali. Drzwi także. Poczuli obaj



„Długo nie mogli przyjść do siebie”



U państwa Nóżków było już po herbacie...

wzmogłą potrzebę szybkiego ruchu. Dali jej wyraz w pospolitej ucieczce na plebanję.

Kiedy dopadli furtki ogrodowej, poczuł ksiądz Jacek gorący napływ krwi do twarzy. Zawstydził się swego tchórzliwego kroku.

— Ja, proszę księdza, pognam po księdza proboszcza i na posterunek. Trzeba policji. Tu nic nie poradzi. Za słabiśmy sami...

— Dobrze, dobrze... — wyszeptał złamany wikary. Po policzkach spływały mu palące łzy. Święty, słoneczny gmach jego duszy jakgdyby zarysował się i drżał w posadach.

Nieuchwytnie, niejasne zwątpienie poczęło się do niej zakradać. Skarcił siebie i starał się wszystko co widział i przeżył wiązać w całość i szukać rozwiązania...

U państwa Nóżków było już po herbacie, wzmocnionej rumem. Ksiądz proboszcz Biegaj siedział wygodnie w trzcinowym fotelu i słuchał opowiadania o łotrze, jakiego Korona polska do tego czasu nie widziała. Był nim burmistrz Lipowa, wedle słów opowiadającego, pana Cyrjaka.

Szlachetna pani Nóżkowa z uwielbieniem

patrzyła na krzywą nieco twarz małżonka, ozdobioną oczyma miłego brudno-zielonego koloru, i powtarzała w myśli z rozkoszą każde słowo swego pana, jakby ono było obficie olejkiem różanym polane.

Prócz tej trójki w pokoju nie było nikogo. Aniela była u siebie.

Książd proboszcz obserwował właśnie szklanym wzrokiem dziwaczne figle kukułki zegarowej, która wskutek wady w mechanizmie, od kilku lat próbowała wyskoczyć z budki i ucieść ludzi, kiedy otwarły się drzwi i wpadł, jak dorożkarski koń, stary Nikodem, zziębnięty, przejęty ważnością chwili i wieścią, którą przynosił.

— Nieszczęście, księżo proboszczu! Nieszczęście!!!

Proboszcz oderwał oczy od nieszczęśliwego ptaka, i byłby może zerwał się z fotela, gdyby to było kilkanaście wiosen wstecz.

Zwrócił zato głowę ku drzwiom.

— Okradziony skarbiec... relikwie... kielich, duch na chórze... wysapywał przybyły.

— Co, gdzie, jak?!

Po chwili zrozumieli wszystko. Pan Cyrjak poszedł do kościelnego i ujął go za rękę.

— Czyście nie pijani przypadkiem?!

Nikodem cofnął się. Twarz aptekarza była przerażająca. Tak się przejął wiadomością zapewne.

— Żeby do domu nie doszedł, święta prawda...

Ruch się zrobił nie do opisania. Książd Biegaj porwał sękatą łaskę, kapelusz i wybiegł. Za nim aptekarz i żona.

We dwie minuty później był Nikodem przed posterunkiem. Mały domek, z czerwono-białą tablicą stał nieoświetlony. Rzecz inna, że nie był pusty. Pan komendant, Wincenty Boguła, żelazną ręką trzymający Lipów i okolice, osobiście był obecny — tylko spał. Chciał pocziwy i zmęczony kościelny walić kijem we drzwi przybytku władzy, ale się zaraz pomiarkował. To byłby krok nierozważny, choćby nawet z tyłu naglił od tego ten tam — z chóru. Stary nie głupi. Przypomniawszy sobie, jak to komendant z jednym podwładnym prał po pysku podczas odpustu czterech pijanych drabów. Oj, grzał ich, aż bębniło!

Powoli zatem zapukał w okno. Nic. Ponoził pukanie. Tym razem ze skutkiem.

— Kto tam? — warknęło z wewnątrz.

Nikodem przedstawił się.

— To teraz, do cholery, po nocy?!

Nieszczęśliwiec pośpiesznie opowiedział o kradzieży. O strachu przemilczał. Bał się mówić na dworze.

— Ja ich tu zaraz za frak wezmę — ryczał Boguła. — Chodźcie do środka.

Zapalił światło. Okazało się niedługo, że buty pana komendanta są u szewca, dlatego też tak wcześniej poszedł spać. Pobiegł Nikodem po buty. Nie upłynęło pół godziny, a już był Boguła gotów. Dowiedział się o dziwie na chórze. Uzbrojony w karabin, Mauser, elektryczną latarkę, dwie pary kajdanków, zwanych pieszczotliwie „Konstytucją”, podręcznik daktyloskopii — wyszedł.

Teraz dopiero Nikodem odetchnął. Poczut ogromną wdzięczność dla Boga zato, że w mądrości swojej stworzył takich kolosów, jak idący z nim policjant. W drodze do kościoła opowiedział Bogule wszystko ze szczegółami.

Obaj księża, Nóżkowie i kilku poważnych obywateli zgromadziło się przed zakrystią. Świątynia cała otoczona była gęstym łańcuchem mieszkańców, nie wyłączając żydów. Pobudził i sprowadził ich krzyk pyskatej księżej gospodyni, która na wiadomość o niesłychanym świętokradztwie tak się darła, że z kościelnego strychu, wień i pobliskich drzew pouciekały kawki i wrony. Połowa miasta stała tedy na cmentarzu kościelnym, pilnując bacznie, by się nie wymknął żywy duch. Dodać trzeba, że dzielní Lipowianie trzymali się w przyzwoitej od murów odległości, a do ucieczki brakowało tylko jakiegos szmeru od strony kościoła. Ale noc była cicha, a ducha ani złodzieja najbystrzejsze oczy nie mogły wypatrzyć.

Prawdziwe jednak męstwo zalało gwałtownie szlachetne dusze zgromadzonych dopiero wtedy, kiedy ukazał się komendant. Djabeł nie pokazał się tylko dlatego, że obawiał się oskalpowania.

Rozpoczęto akcję. Komendant, księża, pan Cyrjak, zastępca burmistrza, kilku śmiałków, a na końcu Nikodem ruszyli do zakrystji. Zbadano, że okno było otwarte od wnętrza. Zamek od szafki nietknięty, a klucz od niej wisiał w miejscu znanem oprócz księży tylko kościelnemu. Nikt się zresztą zbytnio skarbcem nie interesował, bo po-

chłaniała wszystkich sprawa ważniejsza, groźna i ponura: widmo na chórze.

Znaleźli się w presbiterjum. Zapalono świece na wielkim ołtarzu. Trwożne oczy bohaterów wybranych z tysiąca ujrzały to, co obłędny lękiem oblało biednego księdza Kudełka i jeszcze biedniejszego Nikodema — białą, bez ruchu postać.

Mrozem, jaki ogarnął plecy patrzących na ten posąg, możnaby w grube lody ściąć powierzchnię połowy oceanu Spokojnego.

Wszystko jednak mija. Przeszedł i strach przeogromny. Okazało się jasnem, że z tym posępnym gościem trzeba zetknąć się zbliska. Podsunęli się pod sam chór. Straszny był głos komendanta Boguły, który w stu imionach żądał poddania się albo jednego przynajmniej słowa.

— Trzeba iść po schodach na chór — zdecydowano.

— Niema głupich — szeptał każdy w duchu i trwodze.

A jednak znaleźli się.

— Ja pójdę! — odezwały się równocześnie dwa głosy. Aptekarz z krzywą twarzą, i nie wiedzieć skąd przybyły pan Jan Ohędzko.

I poszli. Za nimi komendant. Wdarli się na chór po stromych schodach i ogromnym śmiechem odpowiedzieli wyczekującej nadzwyczajności gromadzie u dołu. Na księdza

proboszcza spadł biret, który tkwił na głowie ducha, później zleciała komża, pozostał drewniany, naturalnej wielkości posąg św. Piotra, który stał na chórze za organami od długich już lat, nieużywany i zapomniany. Atletyczny komendant otwierał szeroko oczy, a triumfujący pan Jan zapraszał wszystkich do wejścia na górę. Duch został zdemaskowany haniebnie. Zrozumiano, że złodziej, który oporządził skarbiec, pozwolił sobie jeszcze na urągający kościołowi figiel.

Odtajał lód na grzbietach zacnych ludzi. Rozpoczęło się dokładne śledztwo i przeszukiwanie kościoła. Przybył jeszcze jeden policjant.

Wschodzące słońce wyłociło i różem obłoczyło brzegi widnokręgu, kiedy po obejrzeniu miejsca czynu, wychodzili znani nam jeźdźcy na świątyni.

Tłum rozchodził się powoli do domów, bo epi'og badań miał się rozegrać na plebanji.

Ciekawsi, co dotrwali do piątej rano, ujrzeli ku swemu zdziwieniu, że obaj policjanci prowadzą starego Nikodema, zgarbionego pod brzemieniem posądzenia o współudział w zbrodni.

Nie pomogły prośby księdza proboszcza, który ręczył za prawość służgi. Na nic się zdały wrzaski gospodyni, której gwałtem zabierano męża. Sprawiedliwość zaczęła robić swoje.



Zawiadomiona o wypadku najbliższa ekspozytura śledcza wysłała do Lipowa zdolnego wywiadowcę.

Państwo Nóżkowie wrócili do domu, odprowadzeni przez kierownika poczty. Ożywiona rozmowa na temat zbrodni wcale im zagadki nie wyjaśniła.

Po przybyciu wszakże do mieszkania pan Nóżka zamknął się z żoną w pokoju i długo jej coś tłumaczył, przyczem Nóżkowa załamywała rozpaczliwie ręce.

W mieście wrzało. W urzędach, sklepach, wszędzie mówiono tylko o nocnym wypadku.

Włóczyły się gromadki próżniaków, a każdy starał się w bliźnim dostrzec winowajcę. Naczelnik straży pożarnej przeczytał do jedenastej przed południem dwa tomy Conan Doyle w tej błogiej nadziei, że mu przecież rozbłyśnie coś niecoś w łysej głowie.

Tuż przed dwunastą zjawił się w Lipowie wywiadowca. Odprowadziła go hałastra różnego kalibru przed posterunek. Tam młody ów gentelman wyskoczył lekko z żydowskie-

go ekwipażu i udał się do komendanta. Posterunek był zmobilizowany.

Wyszedł za chwilę z Bogułą z grubym cygarem w ustach, które niezmiennie dodawało powagi jego wygolonej gębie. Wywiął beustannie wiśniową łaską. Z uszanowaniem i trwogą rozstępowali się im z drogi.

Z księdzem Biegajem obejrzeni kościół. Ksiądz Jacek został przesłuchany, ale nie pokazywał się. Czuł się zanadto chorym.

Wygolony wywiadowca posiedział trochę na schodkach zakrystji. Musiał myśleć głęboko, bo na czoło wystąpiły mu duże krople potu, a cygaro dymiło coraz mocniej. Wreszcie zerwał się, kiwnął na jakiegoś dzieciaka i kazał zaprowadzić się do aptekarza.

Pan Jan Ohędużko zabierał się właśnie do zamknięcia sklepu na obiadową przerwę. Nagle nieco pobleł.

We drzwiach stanął sympatyczny Sherlock Holmes w polskim wydaniu.

(d. c. n.).

Kazimierz Nowosad.

Godło: Podkowa.



Z TEKI HUMORYSTY

Nie wierz gębie,

rys. B. Nowakowski



aż położysz na zębie

Z TEKI HUMORYSTY

Rys. B. Nowakowski



3), „Dajcie taką krawcową, a będę wyglądać tak jak ona”. 4) Urzędnik państwowy (odbierając pensję): „Powinno mi wystarczyć do 1-go”. 5) „Wierzę, że wychodzisz za mnie z miłości”. 6) „Jestem naprawdę mężczyzną”.



I TURNIEJ ZADANIOWY

6. KRZYŻÓWKA.

(Za rozwiązanie 2 punkty).

Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Organ rośliny. 6. Przegląd wojska. 7. Jegomościę. 8. Małżonka Alkinoos'a. 11. Miasto w Rosji. 15. Pieniądz obcy. 16. Rodzaj pokoju. 17. Imię żeńskie. 18. Liczebnik pytający. 19. Pruski mąż stanu. 22. Miasto w Galicji. 24. Roślina palmowa. 25. Imię żeńskie. 26. Przeciwnik dogmatu nieomyślności papieża. 28. Ograniczona część materji. 29. Filozof grecki.

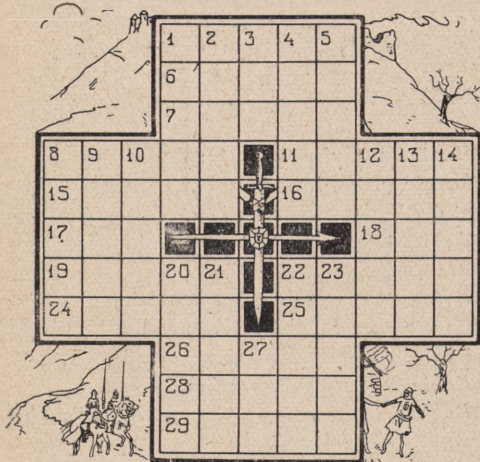
żeńskie. 9. Bicykl. 10. Starożytne miasto. 12. Wybór (po franc.). 13. Mędrzec grecki. 14. Bezogonowe płazy. 20. Rodzaj robotnika. 21. Uroczystości. 22. Roślina. 23. Dopytywzki Cher. 27. Waga japońska.

Ułożył ks. Julian L. Arlitewicz.

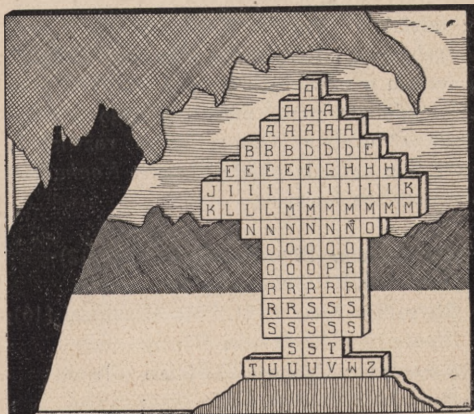
7. PRZEKŁADANKA LITEROWA.

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Z podanych w figurze liter ułożyć 15 wyrazów w 15 rzędach, (nie zmieniając figury) w ten sposób, by ich środkowe litery utworzyły imię i nazwisko wielkiego uczonego francuskiego, niedawno zmarłego.



Znaczenie wyrazów pionowych: 1. Przegródza więzienna. 2. Rzeka. 3. Wierzbza. 4. Pierwotny japończyk. 5. Słynna hetera. 8. Imię



Znaczenia wyrazów (zaczynając od góry):

1. Spółgłoska. 2. Poeta chorwacki XIX w.
3. Płodny powieściopisarz francuski. 4. Bohater walk o niepodległość Ameryki Płdn.
5. Znakomity astronom XVII w. 6. Botanik polski.
7. Miejsce śmierci Byrona. 8. Sławny historyk arabski XVIII w.
9. Polski geograf współczesny. 10. Filozof francuski zamordowany w XVI w.
11. Sławny architekt angielski XVIII w.
12. Uczony kardynał Weroński XVII w.
13. Ekonomista angielski XVIII w.
14. Pisarz amerykański XIX w.
15. Słynny karykaturzysta francuski XIX w.

Ułożył *Wacław Teitelbaum*.

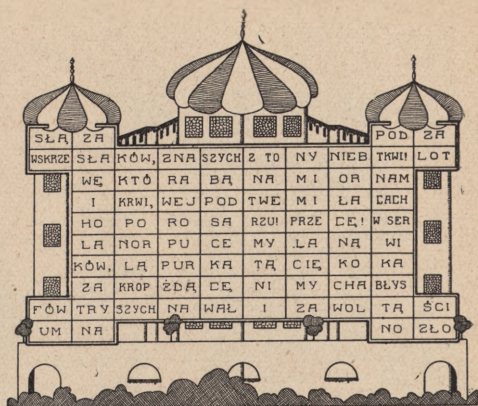
8. NIĆ ARIADNY.

(Za rozwiązanie 2 punkty).

Odczytać urywek wiersza *Ant. Bogusławskiego*, przeskakując z kratki na kratkę załączonej figury, poczynając od sylaby, znajdującej się w jednej ze środkowych krutek.

Warunki uczestniczenia w *I Turnieju Zadaniowym* zostały ogłoszone w Nr. 15 „*Naokoło Świata*”; termin nadsyłania rozwiązań zadań z bieżącego numeru upływa 15 września; przypominamy o dołączaniu kuponu do rozwiązań.

W rozwiązaniu *Przekładanki literowej* na-

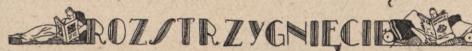


Przechodzić można na sąsiednie kratki w ośmiu kierunkach — jest to ruch króla szachowego; należy w ten sposób obejść całą figurę i podać odczytany urywek.

Ułożył *Mitrosław*.

leży podać, prócz głównego, wyrazy pomocnicze.

Najlepiej i najestetyczniej wykonane rozwiązania *Krzyżówki* oraz *Przekładanki literowej* zostaną umieszczone na łamach naszego działu.



DRUGIEGO KONKURSU ROZRYWEK UMYSŁOWYCH

Niżej zamieszczamy spis osób, które wzięły udział w *Drugim Konkursie Rozrywek Umysłowych miesięcznika „Naokoło Świata”*, przyczem w nawiasach podana jest ilość punktów zdobyta przez poszczególnego z uczestników turnieju. Osoby, które rozwiązały wszystkie zadania objęte *Drugim Konkursem* oznaczeni są kursywą.

- Anastazewo*: Bigoszewski Feliks (12);
Baranów: Kirschowa Katarzyna (7);
Białystok: Konart (9), Potocki Antoni (16);
Błonie: Kędzierzawski (3);
Borszczów: Ogonowski Stefan (3);
Borysław: Psarska Zofia (10);

- Brwinów*: Guirard J. (6);
Brześć n. Bugiem: por. Lewandowski Wincenty (6), por. Olszewski S. (6), por. Wątróbski Stefan (14), Wyganowski Włodzimierz (3);
Bytom-Nowy: Skoczylas Włodzimierz (16);
Częstochowa: Labęcki Zygmunt (3), Patorski Eugeniusz (6), święcicki W. (3);
Dąbie n. Nerem: Kornelion (7);
Dęblin: ppłk.-inż. Filipowski St. (17), Sochacka Helena (4);
Dobrzeliń: Kwiekowa Jadwiga (16);
Dorohucza: Ratajewicz Bernard (10);
Gdynia: Majewski Marjan (9);
Granica: Kiedroń Franciszek (3);

Grójec: Maczarski Antoni (9); Nowicki Kazimierz (13), Poinc Alfons (13), Sipowicz K. (5);

Gostyń: dr. Laskowski Michał (17);

Jaśle: Bal Antoni (3);

Jaworzno: Zieliński Tadeusz (3);

Kalisz: Sokołowski Aleksander (10);

Kamienica Polska: Szejn Tadeusz (13);

Katowice: Widuchowska Wanda (16);

Kielce: Bieńkowski Tadeusz (20), Kalinowski Kazimierz (20), Okólska Marja (19), inż. Święcki Włodzimierz (20), Żwanówna Marja (9);

Klemensów: Zamoyska Róża (3);

Kluczkowice: Brzózy K. (3);

Kłobucko: Biluchowska D. (16);

Koluszki: Kamoda Roman (3);

Konin: Baranowicz Franciszek (14);

Konstancja: Wittek Jadwiga (5);

Kraków: Bąkowska Anna (3), Bednarska Helena (6), Bernacka Ida (10), Fallowa Eugenia (6), Filek Andrzej (10), Gajewski Franciszek (6), Kasiewicz W. (2), Steinmassel Leopold (1), Szumowski Janusz (11), Wędrchowska Zofja (6), prof. dr. Vorbrodt Władysław (13);

Krasnystaw: Lipczyński Lucjan (17);

Krocze: Czarnowska Wanda (4);

Kościan: Chojcka Janina (17);

Kutno: Zalewski Zygmunt (3), por. Sedlaczek Kazimierz (14);

Lacko: Winogrodzki Franciszek (10);

Lubawa: Sierszeński Józef (3);

Lubianków: Kalinowska Anna (7);

Lublin: Jaworowski Rajmund (17), Krzyczkowski Lucjan (3), Piechołowa Halina (3), Sozański Albin (3), Śmigieński Henryk (3), Wojtuszkiewicz J. (3);

Lwów: Bickels Leon (6), Buszyńska Janina (17), Ceislerowa Jadwiga (6), Królak Bronisław (2), Kurowski J. (17), Ogonowska Marja (13), dr. Płatowski Kazimierz (13), kpt. Skoczylas Szymon (19), Świątkiewicz Michał (13), Szczepańska Helena (3).

Łapy: Etkun Wanda (3);

Łowicz: Tarnasiewicz Aleksander (10);

Łódź: Brzozowski Ignacy (2), Danielewiczówna Barbara (6), Głowacki Kazimierz (8), Markowski Józef (3), Maurinkiewicz Mieczysława (3), Plac Zygmunt (3), Prażmowski Edward (2), inż. Salm Jan (17), Sołowiejczyk Włodzimierz (6), Starzyńska Zofja (6), Sztaut Paulin (1), Tatarzanka Z. (6);

Łuck: Baradziejowa Zofja (3), Mickaniewski Eugenjusz (3), Wojniczowa Walerja (5);

Marcinkowo: inż. Herman Władysław (9);

Margonin: Płachcińska Helena (3);

Milanówek: Dziewicki Tadeusz (6), Makowska Helena (3), Rychterówna Helena (3), Słuczanański Władysław (9);

Modlin: kad. Pietrzak Edmund (3);

Morzyszewo: Michalska Klara (9);

Nadwórna: Kostański Władysław (3);

Niepołomice: Broniowski Aleksander (13);

Olkusz: naucz. Jarnowa Ludmiła (3);

Opole: Makowska Marja (10);

Ostrawa Morawska: Vetulani Zygmunt (6);

Ostrołęka: Wojciechowski Mieczysław (6);

Ostrów Mazowiecka: Lachmanówna Tekla (6);

Owińska: d-wa de Beaurain Marja (3);

Piotrków: Przechadzka Łucja (19), Tamiłin W. (19);

Poznań: inż. Blok Teodor (13), Biesiadecki Z. (6), Chmielewski Tadeusz (3), Chojnowski Mieczysław (16), Gajewski Ryszard (9), Kłodnicki Jerzy (2), Kuczewski Henryk (6), Lewicz Marja (20), Mielżyński Mieczysław (6), Pietrasz Antoni (6);

Praszków: Kiepuski Tadeusz (14);

Pruszków: Łazarek Władysław (3), Bagdach Konrad (10);

Przemysł: inż. Boberski H. (3), Sanocka Eugenia (6);

Pszczyna: prof. Iwanowski Wacław (17);

Pysznica: Barański Jan (6), Bourdon Marja (6);

Radom: Chmielewski Januszek (2), Chojko Irena (17), inż. Łypaczewski W. (16), Zak Stanisław (16);

Równe: Wolański Witalis (6);

Sambor: Choróbski Roman (6), Górawska Zofja (3);

Sandomierz: Koseła Roman (9);

Sawczyn: hr. Plater Zyberkowa Marja (6);

Skierniewice: Gasparski Władysław (2), Przeorski Stanisław (3);

Smardzewice: ks. Arlitewicz Julian Ludomir (13);

Sosnowiec: Gadomski Stanisław (6), Płodowski Stanisław (9), Sauter Ewald (3), Sławińska Marja (19);

Stanisławów: Grauer Roman (7);

Suwałki: chor. Bekielewski Franciszek (16), inż. Świerczewski Mieczysław (2);

Świnice-Wartskie: Linowiecka Bronisława (3);

Świerczyn: ks. Kubicki Władysław (13);

Tarnopol: Pleskaczówna Lili (6);

Tczew: Maresz Aleksander (6);

Tomaszów Rawski: Konarzewska Aniela (9);

Toruń: dr. Kozłowski Kazimierz (3), por. Lesser Eugenjusz (17);

Turek: inż. Wachsztyński Jerzy (7);

Warszawa: Arlitewicz Jan (6), Bahr Adam (7), inż. Bartnicki Julian (5), Bayer Wacław (6), Beynarówna Helena (16), bez nazwiska (3), (7), Bironowa Wanda (3), Bohdanowiczówna Jadwiga (3), inż. Bóbr Witold (15), Brzozowski Edward (14), Bukowiecki Albin (8), Chądzyński Janusz (3), Chociwska Czesława (6), Chojnacki Eugenjusz (3), Chrostowski W. (6), Czarkowski Józef (6), Czarski Jan (6), Damieniecki Henryk (3), Daniecka Janina (17), Emler Ignacy (8), *Ener Władysław* (20), Fel—ski (6), Fiszer Józef jun. (2), Fiszkantówna Janina (14), Franaszkówna Aniela (17), Goebel Hanna (2), Gosławski E. (2), Górski Leonard (4), Grembowski Leszek (2), *Herbstmanówna Dorota* (20), Hermanowski Gierwazy (11), Hoffman Kazimierz (3), prof. Hułna—gel—Podkowiecki Seweryn (6), Jabłoński Mieczysław (2), Jackowski Władysław (5), Jakobsfeld W. (2), Jaroszevska Stanisława (6), Jastrzębski Aleksander (3), Kadziłowski M. (10), Karbowski Eugenjusz (3), por. Karbowski Władysław (14), Kowalczyk Tadeusz (10), *Kozłowski Czesław* (20), Kozłowski R. (10), Krasieński Józef (16), Krasucka Janina (3), Kreczyńska Wanda (1), Król Stanisław (6), Krzyżanowski Julian (16), Kulikowska Klementyna (3), Kurtz Wanda (17), inż. Landau Jan (9), Lange (2), Le—hr—ówna Zofja (3), Liwska Marja (17), Łada Jan (9), Łukoska Danuta (10), Maciejowski Antoni (3), Malinowski Włodzimierz (3), Mańkowski Antoni (9), Markówna Halina (3), Menes Arnold (10), Michalski Czesław (16), Miller Antoni (6), Miłoszewski Edward (6), Miłoszewski Tadeusz (6), Miszczakowa Marja (3), Moczarski Kazimierz (9), inż. Modrzejewski Józef (6), Moszkowski Kazimierz (6), Nowicki Wiesław (6), Nyczke Jan (6), Oniszczyk Wieczyśław (6), inż. Oxiński Tomasz (17), Pawlikowski Stefan (3), Pia—secki K. (3), Piniński Władysław (6), Pio—

trowski Antoni (9), Piotrowski Tadeusz (6), Pogorzelski Czesław (17), Racinowska M. (9), Radziłowska M. (6), Rajchman Henryk (3), Rajchman Mieczysław (3), Rapacka Emilia (3), Rembiszewski Tadeusz (6), Rembowski Z. (1), Richling Wiesława (9), Rosental Antoni (5), Rusiecka Natalja (9), Rychterówna Zofja (3), Rysz Z (0), Sawicki Tymoteusz (17), *Siedzieniewski Henryk* (20), Spotowska Hanna (10), Stokowski T. (6), Szymanowska Janina (9), *Te—cki Jerzy* (20), Teitelbaum Wacław (16), *Tietz Zygmunt* (20), Tylbor Stanisław (6), Ulanicki Juljusz (6), Wielowiejski Jerzy (3), Wierzbicki Michał (6), Wierzchoń Edward (16), Włodarczykówna Wacława (6), Wyszynska Marja (6), Zaborowski Roman (16), Zawadzki J. (3), Zawrocka Marja (16), Zie—liński F. (16);

Wasilków: Tarło—Maziński Wacław (3);

Wieliczka: Redlich Aleksander (3);

Wielki Piątek: Fiszerówna Marja (6);

Wieluń: Grabiński Stefan (6);

Wilno: Głownicki Stanisław (2), Jastrzębski Stanisław (9), Kraszewski Witold (16), Misiewicz Stefan (2);

Wiśniewo: Hirszel Stefan (6);

Wizna: Dardziński M. (10);

Włocławek: Brodówna Ewa (3);

Włodzimierz: Przybyła Otton (2);

Włoszczowa: Nowakówna Helena (8);

Wola Filipowska: Dolaisówna Janina (6);

Zakopane: Deneka Józef (13), Nawrocka Marja (6);

Zambrów: Sadowski Eugenjusz (16);

Zamość: Tchorzewski Krystjan (7);

Zawiercie: Göttel Henryk (9), Janu... (9), prof. Rączka Stanisław (16);

Zduńska Wola: Kolanek Stanisław (2);

Żyrardów: Szymczak Wincenty (3), Za—lewska Marja (0).

Nagrody otrzymują zgodnie z warunkami konkursu:

1. „Tygodnik Ilustrowany” z dodatkami, całoroczna gratisowa prenumerata — p. inż. Włodzimierz Święcki z Kielc.

2. „Tygodnik Ilustrowany” z dodatkami, półroczna gratisowa prenumerata — p. Władysław Ener z Warszawy.

3. „Tygodnik Ilustrowany” z dodatkami,

kwartalna gratisowa prenumerata — p. Tadeusz Bienkowski z Kielc.

4. „Naokoło Świata”, całoroczna gratisowa prenumerata — p. Marja Lewicz z Poznania.

5. „Naokoło Świata”, kwartalna gratisowa prenumerata — p. Zygmunt Tietz z Warszawy.

6. „Naokoło Świata”, kwartalna gratisowa prenumerata — p. Henryk Siedzieniewski z Warszawy.

7. „Chłopi” Reymonta w wytwornych oprawach — p. Jerzy Te—cki z Warszawy.

8. „Chłopi” Reymonta, wydanie oprawne — p. Kazimierz Kalinowski z Kielc.

9. „Chorągiew na dachu”, Ostrowskiego — p. Dorota Herbstmanówna z Warszawy

10. „Standar na maszcie”, Ostrowskiego — p. Czesław Kozłowski z Warszawy.

11. „Czandu”, Barszczewskiego — p. Marja Sławińska z Sosnowca.

12. „Samoseki”, Grzymały-Siedleckiego — p. Marja Okólska z Kielc.

13. „Iwonka” Germana — p. Łucja Przechadzka z Piotrkowa.

14. „Duch pruski”, cykl reprodukcji Wojciecha Kossaka — p. kpt. Szymon Skoczyła z Lwowa.

15. „Duch pruski”, Wojciecha Kossaka — p. W. Tamiłin z Piotrkowa.

Dodatkowo redakcja „Naokoło Świata” przeznaczają:

1. „Ludzkość”, Goetla z *autografem autora* — za najładniej wykonane rozwiązanie zadań — p. por. Stefanowi Wątrobskiemu z Brześcia n. Bugiem.

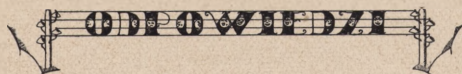
2. „Ludzkość”, Goetla z *autografem autora* — za starannie wykonane rozwiązanie zadań — p. pplk.-inż. St. Filipowskiemu z Dębina.

3. „Ludzkość” Goetla z *autografem autora* — p. inż. Tomaszowi Oxińskiemu z Warszawy — za najdokładniejsze rozwiązanie zadań.

4. „Duch pruski”, Wojciecha Kossaka — zagranicznemu zwolennikowi „Rozrywek Umysłowych” miesięcznika „Naokoło Świata” — p. Zygmuntowi Vetulani z Ostrawy Morawskiej.

Nagrodzeni proszeni są o porozumienie się z kierownikiem działu *Jarosławem Kotwiczem*: zamieścili listownie, miejscowi — osobiście (w piątki od 2 do 3 w lokalu redakcji „Naokoło Świata” — poczynając od 28 sierpnia b. r.), celem podjęcia nagród oraz ewentualnej zamiany; zamieścili winni podać dokładny adres, pod którym nagrody zostaną niezwłocznie wysłane. Osoby nagrodzone *gratisowemi prenumeratami* proszone są o wyznaczenie terminów w jakich pisma mają być wysyłane. Poza tem nagrodzeni proszeni są o łaskawe nadesłanie swych podobizn celem umieszczenia na łamach naszego pisma w dziale „*Galerja Laureatów Rozrywek Umysłowych*”.

Wszystkim, którzy brali udział w tym konkursie, składamy podziękę, tusząc sobie, że ci, którzy nie otrzymali — narazie — nagród, niezrażeni tem, staną w szranki bieżącego i następnych turniejów zadaniowych.



(1). *Bu—cki Z.* — Warszawa. Zadania nadesłane — bezceremonjalnie przekalkowane z dodatku literackiego rosyjskiego tygodnika *Niwa* z lat przedwojennych — kwalifikują Pańską lekkomyślność dostatecznie, by za całą odpowiedź wystarczyło milczenie. Jednak przesadna natrętność wymaga już interwencji omal nie policyjnej; rezygnujemy z niej jedynie z powodu braku odpowiedniej ustawy sejmowej. A szkoda!...

(2). *Dubiel L.* — Częstochowa. Terminy podajemy wyżej. Rozwiązania — dobre.

(3). *Esteel* — Kruszwica. Wykorzystamy *Zadanie matematyczne*. Reszta — nader łatwa i szablonowa. Prosimy o nowy materiał.

(4). *Fiszkant J.* — Warszawa. Zbyt jednostronne uwagi przyjmujemy do wiadomości, jednak — narazie — przechodzimy do utartego porządku dziennego. W swoim czasie skorzystamy z łamów „Naokoło Świata”, ce-

łem podjęcia dyskusji ze zwolennikami i antagonistami naszego działu. Wówczas poprosimy i Sz. P. w szranki.

(5). *Rękawicz L.* — *Putusk.* Nie pójdzie — zły układ. Słowo w krzyżówce powinno się całkowicie rozciągać między czarnymi kratkami, względnie linjami bocznymi figury.

(6). *To—ski G.* — *Kraków.* Na dwunastu stronach swoich ekstra-pomysłów powtarza Pan cztery razy *do licha!*... i dwa *do chole-ry!*... A my na to wszystko tylko raz, ale prosto — *do kosza!*...

(7). *Wątróbski St.* — *Grześć n. B.* Z przyjemnością skorzystamy z pięknej krzyżówki,

jednak na przyszłość prosimy o wyraźniejsze i grubsze oprowadzanie tuszem konturów i liczb krzyżówki — ze względów techniczno-drukarskich. Sz. P. por. od siebie życzymy jaknajszybszego wyrazu 55 w kierunku pionowym z własnej *Zagadki Krzyżykowej*.

(8). *Wróblewski St.* — *Działoszyce.* Gdyby rozwiązujących wszystkie zadania *Konkursu Czerwcowego* było niewiele — nagrody zostaną przyznane za rozwiązanie poszczególnych zadań. Zresztą prowincji będą przysługiwały pewne względy z uwagi na charakter *Rozsypanki*.

J. K.

